



Jabłoniowy Sad



Spełnione
marzenia

KRYSTYNA MIREK

KRYSTYNA MIREK

Jabłoniowy Sad

Spełnione
marzenia

FILIA

PROLOG

Tej nocy niebo wyglądało wyjątkowo pięknie. Konstelacje i układy gwiazd gęstą siateczką okalały ziemię. Noc była ciepła i cicha.

Kiedy gwałtowny, nieprzyjemny dźwięk sygnału karetki pogotowia rozdarł spokój okolicy, kilka osób nerwowo poruszyło się w łóżkach.

– Ciszej – wyszeptała młoda matka, śpiąca na skraju tapczanu tuż przy małym łóżeczku. – Dziecko mi obudzicie.

– Coś się stało – w domu obok starsza kobieta podniosła głowę.

– Śpij – powiedział jej mąż. – Ciebie to przecież nie dotyczy.

– Pachniesz obłądnie – gdzieś dalej nagi mężczyzna mocniej przytulił się do żony, zastanawiając się, czy da radę pokonać potrzebę snu i zmęczenie, by spróbować jeszcze raz.

Niektórzy tylko przewrócili się na drugi bok lub szczerzej nakryli ciepłą kołdrą. Nie zastanawiali się, dokąd pędzi po nocy szpitalny samochód.

Tymczasem dla kogoś innego właśnie kończył się świat. Teraźniejszy, przeszły i ten, który miał dopiero nadejść.

– Jak mogliśmy do tego dopuścić? – Jan Zagórski rwał siwe włosy z głowy i pełnym niedowierzania wzrokiem wpatrywał się w dwie ukochane kobiety. – Jak to możliwe, że nikt niczego nie zauważył? Kochamy was przecież ponad wszystko.

– Ta noc będzie decydująca – powiedział lekarz. – Dla obu pacjentek.

Sprawiał wrażenie doświadczonego i mądrego człowieka. Nie było powodów, by mu nie wierzyć.

Jan miał ochotę uderzyć głową w ścianę. Z całej siły. Może ten fizyczny ból przytłumiłby choć na moment inny. O wiele gorszy. Ból wyrzutów sumienia.

Czuł, że dzisiaj rozstrzygną się dalsze losy rodziny. Ktoś odejdzie i nic już nie będzie takie samo.

Życie za życie – szybko odpędził tę okropną myśl. W jego skołatanej głowie wibrowało już tylko jedno pytanie: Jak można było dopuścić, by coś takiego zdarzyło się w zgranej, kochającej się rodzinie?

ROZDZIAŁ 1

Kilka dni wcześniej...

Miłość powinna być na receptę – pomyślała Julia. – Wydawana tylko osobom przebadanym przez lekarzy, z dołączoną informacją, że wcześniej należy przeczytać ulotkę, by być świadomym wszystkich skutków ubocznych.

Przetarła zmęczone oczy i odeszła wreszcie od okna. Przez ostatnie tygodnie coś ją do niego ciągnęło. Już dawno powinna była spakować się, założyć płaszcz i wrócić do domu, a tymczasem tkwiła na swoim stałym miejscu, jakby jej podeszwy zapuściły korzenie.

Minęła już dwudziesta pierwsza i Julia czuła to charakterystyczne zmęczenie z przepracowania. Ostatni pacjent, pomachawszy ogonem na pożegnanie, opuścił gościnne wnętrza jej przychodni pół godziny temu. W pomieszczeniu panowała teraz nienaturalna cisza. Psy nie czekały w poczekalni, nie słychać było gniewnych pomruków rozzłoszczonych kotów, żadnych papug komentujących na swój sposób sytuację ani szczeniaków popiskujących radośnie.

Julia, mimo podjętego przed momentem postanowienia, znów podeszła do okna i po raz kolejny tego dnia odsłoniła żaluzję. Po drugiej stronie ulicy, w klinice weterynaryjnej Ksawerego też kończono pracę. Gasły światła w kolejnych pomieszczeniach. Wiedziała, że za chwilę zostanie tylko jedno. W sali, gdzie pełniono nocny dyżur. To był nowy pomysł właściciela. Zwykle ponoć sam przesiadywał tam do rana. Jakby nie chciało mu się wracać do domu.

Julia westchnęła. Wszyscy znajomi uważali, że to jej wina. Zerwała długoletni związek tuż przed zaręczynami.

– Nie pierwszy raz odstawiła Ksawerego na boczny tor. Właściwie bez powodu – mówiły złośliwie jego koleżanki z pracy.

– Bo zrozumiałam, że go nie Kocham – wyszeptała, choć nikt nie mógł jej słyszeć. Przemyślała sprawę (tak jej się przynajmniej wydawało) i podjęła dojrzałą decyzję. Zerwała.

Była przekonana, że Ksawery rzuci się teraz w szybkie romanse, będzie się przechadzał przed kliniką w towarzystwie długonogich blondynek, których nigdy wokół niego nie brakowało. Miał prawo być zły, skrzywdziła go przecież. Mógł też mieć już dość samotności oraz dziwnego związku z Julią, z którego, mimo upływu lat, wciąż nic konkretnego nie wynikało. Naturalną reakcją byłaby chęć znalezienia wreszcie kogoś, kto zbudowałby z nim rodzinę, której tak bardzo pragnął. Ale nic takiego nie nastąpiło. Mężczyzna skupił się na pracy. Julia widziała reklamy jego firmy w gazetach i w sieci. Klinika przeprowadzała nowatorskie projekty, oferowała kolejne usługi, rozwijała się.

Co to oznaczało dla małej przychodni znajdującej się naprzeciwko? Oczywiście, zmniejszenie liczby pacjentów. Julia stawiała na relacje, bardzo lubiła swoich

podopiecznych. Znaczna część z nich była jej wierna. Ale ci nowi wybierali Ksawerego. U niego było szybciej, lepiej działała klimatyzacja, zabiegi wykonywano w trzech niezależnych salach, kolejek praktycznie nie widywano, ceny ostatnio spadły. To stanowiło zabójcze połączenie.

Znajomi plotkowali, że szef kliniki chce wykończyć swoją byłą dziewczynę i w ten niezbyt elegancki sposób zemścić się za złamane serce. Ale Julia w to nie wierzyła. Według niej Ksawery ratował się jedynym sposobem, jaki znał. Zaangażowaniem w obowiązki. A ponieważ był dobry w swoim fachu, nic dziwnego, że szybko doczekał się efektów.

Julia westchnęła. Byli w tych działaniach bardzo do siebie podobni. Ona też od świtu do nocy przesiadywała w przychodni. Uporządkowała papiery, jeszcze nie tak dawno czekające miesiącami, by ktoś się nimi zajął. Osobiście przemaalowała zakurzone nieco magazyn. Przyjmowała pacjentów, zamawiała leki i dokładnie analizowała sytuację finansową firmy. Wiele wieczorów spędziła na poszukiwaniu dobrych rozwiązań. Po kilku miesiącach kondycja jej biznesu miała się lepiej niż kiedykolwiek, mimo rosnącej popularności konkurencji.

Tak, to była ich siła. W tym oboje byli jednakowo mocni. Świetnie budowali swoją zawodową pozycję.

Czy to było w ogóle możliwe, by tak zapaleni pracoholicy mogli stworzyć prawdziwą rodzinę?

Julia pokręciła głową.

– Bez szans – odpowiedziała sobie. – Chyba dobrze się stało.

Na chwilę odzyskała spokój, jaki daje zawsze świadomość dobrze podjętej decyzji. Ale już po kilku sekundach czoło jej się zmarszczyło, a serce zaczęło bić szybciej. Przez okno dostrzegła, że Ksawery wyszedł z kliniki. Najwyraźniej dzisiaj nocny dyżur go nie dotyczył. Zdecydowanym krokiem pokonał parking, po czym otworzył bagażnik samochodu. Odprowadziła go wzrokiem z mimowolną tęsknotą. Wydawało jej się, że marnie ostatnio wygląda. Ramiona miał pochylone, włosy ułożone niedbale, a na twarzy krótki zarost. Wcale nie odejmowało mu to uroku. Są mężczyźni, którzy muszą się mocno postarać, by dobrze się prezentować. Ale Ksawery był z tych prawdziwych przedstawicieli gatunku, którym wystarczy prysznic, dobra woda kolońska i pięć palców prawej ręki do czesania. A kiedy do tego dochodziła błękitna koszula, kobietom automatycznie miękły kolana.

Julia właściwie po raz pierwszy spojrzała na niego w ten sposób. Wiedziała oczywiście, że Ksawery jest przystojny, ale traktowała to jak coś naturalnego. Nie pasjonowała się szczególnie jego urodą. Tym bardziej że miała inne wzorce. Romantyczne wspomnienia chłopaka w dżinsowej, powycieranej kurtce i znoszonych butach. Pierwsza miłość pozostawiła w jej sercu trwałe ślady, zbudowała mur, którego Ksawery – mimo wielu starań – nie był w stanie zburzyć. Julia wciąż porównywała obu tych mężczyzn i wynik zawsze był korzystniejszy dla nieobecnego.

W końcu doszło do konfrontacji i... obaj odeszli z jej życia.

– Co ty wyprawiasz? – skarciła się ostro półgłosem. – Przestań się wreszcie miotać i wracaj do domu odpocząć, bo się wykończysz.

Cała rodzina traktowała ją takimi pouczeniami od tygodni, a właściwie od dzieciństwa. Teraz jednak połączyli siły i stanęli w wyjątkowo zwartym szyku. Bo Julia biegła nakręcona jak ten królik na baterie z reklamy.

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrwało ją z głębokiego zamyślenia.

– Wiedziałam... – Gabrysia, jej starsza siostra, energicznie weszła do środka. – Siedzisz tutaj i się zamartwiasz, zamiast odpoczywać w domu i cieszyć się życiem, jak przystało na młodą i ładną dziewczynę.

– Pochlebiasz mi – powiedziała Julia, ale odruchowo poprawiła włosy i spojrzała ostatni raz w stronę parkingu.

Ksawery jeszcze nie odjechał. Wyciągnął tylko z bagażnika jakąś torbę, po czym wrócił do kliniki. Jednak spędzi tam noc – pomyślała Julia.

– Co masz dla mnie? – zapytała zaraz potem, bo siostra postawiła na biurku paczkę owiniętą białym papierem. Z pewnością było w niej coś smakowitego. W tej kwestii Gabrysia zgarnęła chyba wszystkie geny mamy. Jako jedyna z czterech córek Jana i Heleny Zagórskich zaciekle piekła oraz gotowała.

– Kiedy ty masz czas pichcić te wszystkie smakołyki? – pusty żołądek pokierował krokami Julii. Ostrożnie rozwinęła papier i zajrzała ciekawie do pudełka. – Skąd wiedziałaś, że jestem głodna?

– To akurat nie było trudne do przewidzenia – uśmiechnęła się Gabrysia. Cała jej twarz promieniała ciepłem. Zmarszczki układały się w łagodne linie, a oczy patrzyły z życzliwością. Od razu wzbudzała zaufanie. Człowiek czuł się przy niej bezpiecznie. Paradoxem było, że ta obdarzona ponadprzeciętnym instynktem macierzyńskim kobieta od lat bezskutecznie starała się o dziecko.

– Dziękuję ci – Julia przyjęła z jej rąk pudełko z ciepłym jeszcze makaronem w grzybowym sosie. – Boże! Jak to wspaniale pachnie.

– Zgadza się – Gabrysia też nałożyła sobie porcję. – Kornel osobiście zbierał borowiki. Same najładniejsze. Okrągłutkie i zdrowe.

– Twój mąż jest dobry w wielu sprawach – puściła do niej oko.

– Byłby – Gabrysia zrozumiała aluzję. – Gdyby w tych momentach miał szansę pomyśleć o czymś więcej niż tylko o tym, czy tym razem wreszcie się uda.

Julia westchnęła. Szczerze kibicowała siostrze, ale nie dawała jej większych szans w tej walce. Lekarze byli niestety wyjątkowo zgodni.

– Wracasz po dyżurze? – zapytała Julia, kiedy przełknęła kilka pierwszych kęsów.

– Tak. Makaronik prosto ze służbowej kuchenki. – Gabrysia usiadła na obrotowym krześle i z ulgą wyciągnęła nogi. – Jestem zmęczona, chociaż dzisiaj było wyjątkowo spokojnie. Pomagałam na innym oddziale. Tylko jeden nowy pacjent. Sześćioletni chłopczyk. Marcinek. Jego mama bardzo przeżywa. Ale to prosta sprawa. Podejrzenie zapalenia wyrostka robaczkowego. Na moje oko za dwa dni bezpiecznie wróci do domu. Nic mu nie jest.

– Twoje diagnozy są zawsze celne, więc nie ma się o co martwić – Julia, mówiąc to, wbiła widelec w okrągły kapelusz borowika. – Mogłaś skończyć medycynę, nie zdzierałabyś teraz zdrowia jako pielęgniarka.

– Lubię swoją pracę, więc nie narzekam, chociaż faktycznie łatwo w tym zawodzie nie

jest. Zwłaszcza kiedy się widzi chore dzieci.

– Wyobrażam sobie.

– Jednak nie chciałabym siedzieć w domu. Miałam przerwę i pamiętam, jak się wtedy czułam. Teraz jest dobrze.

– Naprawdę? – Julia spojrzała na nią czujnie. Siostra przez wiele lat robiła wszystko, by móc urodzić dziecko. Jej mąż rzucił pracę w Polsce i wyjechał za granicę, by jako prosty pomocnik budowlany harować na kolejne badania i leki. Ona też się zwolniła. Poświęciła wszystko jednemu celowi. Ale ta opowieść nie skończyła się happy endem. Za to niewiele brakowało do rozpadu ich małżeństwa. Walka pochłonęła wszystkie ich siły i sprawiła, że małżonkowie oddalili się od siebie.

Teraz na szczęście w ich związku zapanował spokój. Kornel wrócił do kraju, Gabrysia znalazła pracę w szpitalu. Idąc za radą ciotki Marty, zajęła się tymi dziećmi, które już są, zamiast tracić życie w pogoni za nieistniejącymi. Opiekowała się małymi pacjentami z troską i czułością.

Rodzina obserwowała ten proces dyskretnie. Bo Gabrysia wbrew pozorom nie zapomniła o swoich marzeniach. Wiedzieli o tym. Była zapracowana, poświęcała się bez reszty, dbała o swoje siostry, męża, ale czuli, że to uspiony wulkan. Wielka siła drzemiąca gdzieś w środku, która w każdej chwili może ponownie wybuchnąć.

– Oczywiście. Wszystko, na ile to możliwe, jest w porządku – siostra machnęła uspokajająco widelcem. – Jedz i nie martw się o mnie. Lepiej powiedz, jak tobie się układa. Nie wyglądasz najlepiej.

– Dzięki – roześmiała się Julia. – Nie ma jak siostrzana szczerłość. Przed chwilą mówiłaś co innego. Ale z bliska pewnie gorzej się prezentuję. A pomyśleć, że kupiłam sobie tydzień temu taki drogi puder. I po co?

– No, nie wiem. Jesteś ładna i bez niego.

Julia usiadła przy biurku i spojrzała na swoją twarz, która, nieco rozmazana, odbijała się w ekranie służbowego laptopa.

Rzeczywiście, natura była dla niej dość łaskawa. Podarowała zarwane noce na studiach i wiele godzin pracy, kiedy rozkręcała firmę. A także ostatnie zmartwienia. Julia wciąż wyglądała jak dwudziestoletnia dziewczyna. Jej cera była gładka, a falujące naturalnie jasne włosy zawsze układały się w przyjemną fryzurę – Julia nie musiała wkładać w to wiele wysiłku. Oczy patrzyły ze zrozumieniem. Jako córka księgarza przeczytała w życiu wiele, zatem jej twarz zdradzała inteligencję oraz bystrość.

– Uroda to ostatni problem, który mnie teraz zajmuje – westchnęła i odwróciła wzrok. – Muszę jakoś wyglądać, bo pracuję nie tylko ze zwierzętami, ale także z ich właścicielami. Wierz mi, maluję się tylko po to, żeby wizerunek firmy nie ucierpiał.

– Nie wątpię – powiedziała Gabrysia z przekąsem. – Ale to mnie wcale nie cieszy.

– A dlaczegoż to? Ludzie mają różne pomysły na życie. Mój jest właśnie taki. Będę pracować, pracować i pracować. Do niczego innego się nie nadaję. Próbowałam, więc wiem.

– Nie mów tak.

– Dlaczego? Czy coś się zmieni, jeśli zacznę udawać, że jest inaczej?

– Może... Przynajmniej nie przekreślisz swoich szans.

– Ja ich i tak nie mam. Nic nie rozumiem z tej pokręconej zabawy w miłość. Przeżyłam w maturalnej klasie burzliwy związek. Zakończył się zdradą...

– Feliks tylko kilka razy spotkał się z tamtą dziewczyną – przerwała jej siostra.

– Byliśmy nastolatkami, to wtedy oznaczało właśnie zdradę – zawołała Julia. Przeboleła już tamtą stratę, ale wciąż nie umiała mówić o niej spokojnie.

– Wiem, kochana, tylko że to dawne dzieje.

– Potem poszłam za głosem rozsądku – Julia była mocno wzburzona. – Związałam się z Ksawerym, bo wszyscy mi zgodnie doradzali, żeby tak właśnie zrobić. I jak to się skończyło? On się zakochał naprawdę, a ja zostawiłam go tuż przed zaręczynami. Nie miałam dla niego nawet dobrego wytłumaczenia.

– Nie bądź dla siebie taka surowa. Człowiek ma prawo się pomylić, twoje intencje były szczerze i dobre.

– Powiedz to Ksaweremu – zawołała Julia z goryczą. – Zobaczymy, jak przyjmie te słowa.

– Dlaczego postrzegasz wszystko w ciemnych barwach?

– Dlaczego? Zasłużyłam na samotność. Mówię tylko prawdę. Może inni łatwo się poruszają w dziedzinie uczuć. Pewnie tak jest. W końcu ogół ludzkości na wszystkich kontynentach łączy się w pary i zakłada rodziny. Jakoś dają radę. Tylko ja nie umiem.

Gabrysia podeszła do siostry i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie martw się. Ja najlepiej wiem, że piękny dzień może się pojawić nawet po najgorszej nocy. A Ksawery wciąż na ciebie czeka. Mimo wszystko. Jestem o tym przekonana.

– Dajmy temu spokój – Julia zjadła resztkę makaronu. – Zostawmy złote myśli mamie. Ja z kolei najlepiej wiem, że wszystkie zasady mogą ci się nagle pomieszać w decydującym momencie i można się łatwo pomylić. Przyjechałaś samochodem? – zmieniła temat.

– Autobusem – odpowiedziała siostra. – Sos grzybowy tak pachniał, że wszyscy pasażerowie odwracali głowy w moją stronę.

– Wcale im się nie dziwię. To było przepyszne – Julia wytarła usta i wyrzuciła styropianowe opakowanie do kosza. – Chodź, podwiozę cię do domu. Kornel z pewnością już czeka, a mój chomik też się stęsknił. Nie mogę go tak zaniedbywać. W końcu to jedyny trwały związek w moim życiu.

Założyła płaszcz i czapkę. Połowa października była w tym roku wyjątkowo zimna. Jakby jesień wyczerpała siły już pod koniec lata, kiedy to owoce dojrzewały w przyspieszonym tempie, a wiatr strącał z drzew żółte z braku deszczu liście.

Dziewczyny wyszły z przychodni, zamknęły drzwi i włączyły alarm. Na pustym parkingu stał już tylko stary, wysłużony ford Julii.

Gabrysia spojrzała na drugą stronę ulicy. Klinika Ksawerego błyszczała nowiutką elewacją. Zimno i wiatr zdawały się nie mieć dla niej znaczenia. Wyglądała jak symbol stałości, profesjonalizmu i dostatku.

– Jak ty to znosisz? – zapytała Gabrysia, spoglądając na siostrę. – Taka konkurencja tuż obok... Niejeden już dawno by się wykończył. Nawet nasz tata, choć zwykle walczy do ostatka, poddał się i przeniósł swoją starą księgarnię do galerii. I trzeba przyznać, że

całkiem dobrze sobie tam radzi.

– Ja nie mam wielkich potrzeb – Julia uprzątnęła fotel pasażera z opakowań karmy dla zwierząt i pustych toreb. – Żyję skromnie – dodała. – Ksawery mi nie zagraża. Zawsze trochę się ścigaliśmy. Tak było już na studiach. I tak zostało do dziś. Ale nie ma w tym złych emocji. Cieszę się, że mu się wiedzie. Chwalę jego klinikę przed klientami, polecam.

Gabrysia pokręciła głową.

– Dlaczego wy nie możecie być razem? Idealnie do siebie pasujecie.

– Wręcz przeciwnie. On potrzebuje kobiety, która mu stworzy dom, a ja tego nie potrafię. Ciągle jestem w pracy.

Zatrzasnęła drzwiczki i włączyła silnik.

– Nie będzie ci przykro, kiedy on w końcu kogoś sobie znajdzie? – zapytała Gabrysia, opuszczając szybę. To auto woniało niczym sklep zoologiczny, a ona lubiła czystość, porządek oraz zapach płynów dezynfekujących. Oczyma wyobraźni widziała miliardy bakterii rozmnażających się w tym wnętrzu jak w dniu stworzenia świata. Bez przeszkód i ograniczeń, za to z wielką radością i entuzjazmem.

Julia nie od razu odpowiedziała na pytanie. Ale kiedy już to zrobiła, w jej głosie brzmiała niezachwiana pewność.

– Ależ skąd – uśmiechnęła się. – Wytańczę się na jego weselu za wszystkie czasy.

Choć powiedziała to bardzo stanowczym tonem, w tym samym momencie zacisnęła mocno dłonie na kierownicy. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza i odwróciła głowę. Trwało to wszystko мгновение oka, szybko się bowiem opanowała. Gabrysia o wiele dłużej wpatrywała się w młodą czarnowłosą dziewczynę, która właśnie wyszła z Ksawerym z kliniki. Ciasno do niego przytulona coś mu opowiadała ze śmiechem. Podeszli do samochodu. Mężczyzna otworzył jej drzwi, pocałował, a ona wsiadła. Ksawery przebiegł na drugą stronę, jakby się nie mógł doczekać momentu, kiedy znajdzie się w samochodzie w towarzystwie swojej nowej dziewczyny.

– Wstąpimy jeszcze po drodze do sklepu – powiedziała szybko Julia. – Muszę coś kupić. Lodówka mi zamarza, bo takie pustki, że się zastanawiam, czy jej nie odłączyć od prądu. Szkoda marnować energię. Nie mam za grosz zacięcia do gospodarskich spraw – słowa płynęły gładko, ale głos jej drżał.

– Może się jeszcze nauczysz? – Gabrysia taktownie podjęła temat. – Sama widzisz, nasza Maryla też się zarzekała, że ona nigdy, że to nie dla niej. A po przeprowadzce do domu rodziców jest zupełnie odmieniona. Wprawdzie nie piecze i nie gotuje, ale ogród i sad to teraz jej prawdziwa pasja.

Samochód Ksawerego wykręcił na parkingu i, błyskając w mroku światłami, odjechał w stronę centrum miasta. Julia ruszyła w przeciwnym kierunku.

– W kuchni nie ma dla Maryli miejsca – powiedziała, oddychając miarowo jak kobieta ćwicząca przed porodem. Widać było, że z całych sił stara się zachować spokój. – Mama i ciotka Marta tak łatwo swojego królestwa nie oddadzą.

– Masz rację – Gabrysia bardzo jej współczuła i z całych sił starała się wspierać. – A zatem na kolację zapraszam cię dzisiaj do nas. Twoja pusta lodówka może jeszcze poczekać. Żwirek także. Jak go znam, śpi teraz zakopany w trocinach, a pewnie słusznie się domyślam, że zostawiłaś mu spory zapas jedzenia i rozrywek w klatce. O swojego

chomika umiesz zadbać jak mało kto.

– Bo też on jest wyjątkowy. Nie uwierzysz, ale wszystko rozumie.

– A jaki jest jego pogląd na twoje sercowe kłopoty? – Gabrysia próbowała obrócić w żart delikatny temat. – Skoro to taki ekspert, może warto posłuchać.

– Jak wszystkich – westchnęła Julia. – Trzyma stronę Ksawerego. Ale związek z rozsądku to nie dla mnie. Nawet chomik mnie nie przekona – uśmiechnęła się wreszcie.

– Ja tam nikomu nie życzę, choć ciocia Marta jest zwolenniczką takiej teorii. Twierdzi, że uczucia w przeciwieństwie do rozumu zwykle umierają bardzo młodo.

– Pewnie wie, co mówi. O jej szczęśliwym małżeństwie krążą legendy.

– To było dawno. Nie stawiaj sobie takich celów. Dzisiaj już nie ma idealnych związków. Są tylko normalne i tego się trzymajmy.

– A mnie mimo wszystko marzy się taka bajka... – Julia zatrzymała się na czerwonym świetle i spojrzała na siostrę. – Jak u naszych rodziców. Tylko skąd wziąć faceta, żeby się nadawał na księcia?

– Chyba tylko jeszcze w książkach tacy zostali – stwierdziła Gabrysia stanowczo. – Możesz sobie wyciąć albo wydrukować.

– Tak właśnie zrobię – roześmiała się Julia.

Zły nastrój prysnął.

Zaparkowały pod blokiem, w którym znajdowało się mieszkanie Kornela i Gabrysi. Kupili je na kredyt, kiedy zaprzestali drogiej terapii, mającej na celu poczęcie dziecka. Julia popierała tę decyzję. Została lekarzem i choć jej specjalizacją była weterynaria, wierzyła w fakty także wtedy, gdy chodziło o leczenie ludzi. A te mówiły wyraźnie, że pragnienie siostry jest nierealne.

– Powiem ci jedno. Jesteśmy dziwne. Marzenia nam się jakoś nie spełniają. Cały świat huczy od opowieści z happy endem i chyba tylko u nas układa się inaczej. Dlaczego?

– Nie wiem – odparła Gabrysia. – Ale coś w tym jest. Najgorsze, że mam wrażenie, że robimy wszystko jak należy, a i tak nie wychodzi. Nie mogłaś dłużej okłamywać Ksawerego. Miałaś rację, ale przecież widzę, że jest ci teraz przykro.

Julia zacisnęła usta i na chwilę odwróciła głowę.

– Reaguję jak prawdziwa blondynka. Aż mi wstyd. Sama nie wiem, czego chcę.

– Przestań. Jesteś świetną dziewczyną. Po prostu życie nie każdemu gładko się układa.

– Dajmy już temu spokój. Nie dojdziemy do żadnych wniosków. Jutro sobota. Mama zaprasza po południu na herbatę. Wybierasz się?

– Chyba tak – odparła Gabrysia. – A ty?

– Też. Zjem coś dobrego, odpocznę trochę. Następny tydzień zapowiada się ciężki.

– Będziemy udawać?

– Trochę tak, ale nie trzeba będzie aż tak bardzo się starać – Julia w lot zrozumiała, co siostra ma na myśli. – Mama nie zada już żadnego pytania dotyczącego naszych prywatnych spraw.

– Wiem. Po ostatnich wypadkach mocno się pilnuje. Tak się zżymaliśmy na tę nadopiekuńczość, ale powiem ci szczerze, teraz czasem trochę mi tego brakuje.

– Chcesz? – roześmiała się Julia. – To zrobię to w zastępstwie. Gabrysiu! – powiedziała uroczyście. – Czy ty się na pewno dobrze odżywasz?

– Przestań. Mama nie jest taka. Ma dużo szersze spojrzenie.

– Zgadza się. Kocha nas po prostu. Ale prawdziwym mistrzem jest ciotka Marta.

Wszystko ci z oczu wyczyta.

– Będzie miała łatwe zadanie. W moich nic już nie ma – westchnęła Gabrysia. – Tylko rezygnacja.

– No to znów dobrze się rozumiemy, bo u mnie też niewiele zostało. Praca, chomik...

– Myślisz, że tak już będzie zawsze? Wszyscy wokół będą żyć na całego, spełniać marzenia, kochać, dążyć do jakichś celów, a my na bocznym torze, już do końca z etykietą: „Niemożliwe”?

– Nie wiem – Julia nie ceniła taniego optymizmu, nie zamierzała zaprzeczać. – Możesz mieć rację. Ja raczej będę sama.

– Materiał z ciebie na singielkę żaden. Do tego też trzeba mieć powołanie i predyspozycje, a tobie ich brakuje. Będziesz się męczyć.

– Więc co mam zrobić?

– Skąd miałabym to wiedzieć? Ja już chyba wszystkiego próbowałam. Walczyć, nie mieć nadziei, podchodzić rozumowo, odpuścić, postawić wszystko na jedną kartę... Nic nie pomogło.

– Lepiej zachowajmy to w tajemnicy – powiedziała Julia. – Po co komu takie wnioski? Rodzice, ciotka Marta, nasze siostry... Życie ostatnio dobrze im się układa. Potrzebują sił i wiary, żeby codziennie dawać sobie radę.

– Zgadza się. Nie wiem, czy takich kobiet, jak my, nie ma więcej. Które zrobiły wszystko, co w ich mocy, a jednak przegrały i straciły już wszelką nadzieję.

Julia westchnęła i mocno zaplotła dłonie.

– Tata nie byłby z nas dumny. On zawsze walczy do końca. W każdym murze znajdzie jakąś szczelinę, którą spróbuje się wydostać.

– Może – powiedziała smutno Gabrysia. – Ale nigdy nie starał się o dziecko, nie wie, jak to jest. Miłość też mimo wszystkich komplikacji dostał szybko i od razu na całe życie. Co on może o tym wiedzieć?

– Zatem pozostajemy przy naszym wniosku, że czasem się po prostu nie da? – zapytała Julia.

– Ja tak – Gabrysia otarła łzę. Rzadko płakała, dlatego ten widok mocno łapał za serce.

– I proszę cię, żadnego pocieszania. Po tylu latach nic już na mnie nie robi wrażenia.

Julia oparła głowę i przymknęła oczy. Była zmęczona ciężkim dniem i wszystkim, co do tej pory przeżyła.

– Na mnie też – powiedziała cicho. – Ale nikomu się do tego nie przyznamy. U nas w domu cyników ani pesymistów nikt nie ceni. A przecież oni też mają swoje racje.

– Umowa stoi – odparła Gabrysia. – No to teraz uśmiech na twarz i ruszamy na kolację. Kornel już się pewnie okropnie niecierpliwi. Może nawet będziemy się dobrze bawić. Człowiek posiada zaskakującą moc przystosowawczą. Nawet gdy mu serce amputują, daje radę.

– Proszę cię. Takie słowa jednak mnie chyba przerastają. Mam nadzieję, że obie się mylimy i życie nie jest takie, jak myślimy.

Gabrysia nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę wejścia. Wypracowanym gestem

podniosła ramiona i wyprostowała plecy. Kochała Kornela i obiecała sobie, że już nigdy nie narazi tego małżeństwa na kryzys. Miała szczęście, że jej uczucie do męża było prawdziwe. Miłość to potężna siła. Można z niej czerpać właściwie bez końca i przetrwać nawet najtrudniejsze czasy. To dzięki niej Gabryśia dawała radę. Pracowała z poświęceniem, dbała o dom, spotykała się z siostrami, często uśmiechała. Naprawdę chciała doceniać to, co ma, cieszyć się życiem, a nie zatruwać go tym jednym niespełnionym pragnieniem...

Była mądrą kobietą. Ale nic nie mogła poradzić, że jej organizm skonstruowano na potężnym biologicznym błędzie. Z jednej strony hormony, instynkty, charakter i cała konstrukcja psychiczna w stopniu maksymalnym ustawione były na macierzyństwo, jakby to miało być jej główne powołanie i cel życia, a z drugiej na trwale pozbawiona była tej możliwości. Jakie miała szanse w starciu z podstawowym pierwotnym instynktem głęboko zapisanym w genach, który pchał ją ku własnemu dziecku w każdej minucie dnia i nocy?

Niewielkie. Ale wciąż próbowała.

– Cześć, kochanie – przywitała się z Kornelem. – Długo czekałeś?

– Nie było tak źle. Domyśliłem się, że spotkanie z Julią z definicji nie może być krótkie. Wchodźcie. Zrobiłem górę kanapek. Jeśli będziecie miłe, to może was nawet poczęstuję.

– Patrz, jaki dżentelmen. Dobrze wybrałam – uśmiechnęła się Gabryśia.

– Pewnie, że dobrze – przyznała Julia i weszła do środka. – Jemu jestem skłonna wybaczyć, nawet gdyby pożarł wszystkie kanapki. Pod warunkiem oczywiście, że schłodził wino.

– Za kogo mnie masz? – obruszył się Kornel. – Już od trzech godzin nabiera mocy w lodówce. Twoje ulubione. Jakbym wiedział, że przyjedziesz, a przecież nie dostałem nawet esemesa.

– Fantastycznie przewidujesz przyszłość – pochwaliła go Julia. Lubili się od lat i dobrze rozumieli.

– Jeśli chcesz napić się wina, to znaczy, że zostajesz na noc! – ucieszyła się Gabryśia. – I bardzo dobrze. Pogadamy sobie, zjemy kolację. Będzie super.

Julia uśmiechnęła się do niej ciepło. Nawet nieźle im wychodziło radzenie sobie z życiem bez nadziei. Wbrew temu, co same o sobie sądziły, były silne.

ROZDZIAŁ 2

Czekolada spływała na ciasto, tworząc na jego powierzchni błyszczącą, gładką i lekko pofalowaną tafłę. Helena jak zawsze zapatrzyła się z wielką przyjemnością na ten dobrze znany jej widok. Na środku stołu stał ciemny, kakaowy biszkopt przełożony mleczno-waniliową masą ze świeżymi borówkami w środku, polany gęstą czekoladą rozpuszczoną na parze z dodatkiem słodkiej śmietanki. Codzienne dzieło sztuki.

– Doskonały – powiedziała i odeszła kilka kroków, by mieć lepszy ogląd.

– Jak zawsze – westchnęła jej siostra Marta. Nawet nie podniosła wzroku znad ekranu smartfona.

– Co robisz? – ofuknęła ją Helena. – Zachowujesz się jak zakochana nastolatka. To nie przystoi kobiecie w twoim wieku.

– Ach, daj spokój – Marta poprawiła odruchowo siwe włosy na skroniach. – Wiesz, że mam teraz inne zmartwienia.

– Coś się dzieje? – Helena oderwała wzrok od swojego kulinarnego dzieła i czujnie spojrzała na siostrę.

– Nie wiesz, co słyhać u Gabrysi? Jakoś dawno się nie meldowała.

– Chyba lepiej – ostrożnie odparła Helena.

– A Julia?

– Nie ma co wracać na stare ścieżki. Dziewczyna jest dorosła. Radzi sobie. Ja się nie będę wtrącać do jej życia. Dobrze wiesz, że ostatnio skończyło się to prawdziwą katastrofą. Gdyby nie moje rady, kto wie, może byliby już po ślubie?

Włożyła ciasto do lodówki i energicznie zatrzęsnęła drzwiczki.

– Dość o tym. Bierz kubek i idziemy na taras. Stare już jesteśmy. Czas odpoczywać. Grzać plecy w promieniach słońca.

– Ciemno już – Marta spojrzała w stronę okna, za którym kołysały się smagane mocnym wiatrem gałęzie. – I zimno jak cholera. Nie za późno wpadłaś na ten pomysł?

– A Janka ciągle nie ma – zaniepokoiła się Helena. – Przesiaduje w księgarni coraz dłużej.

– Bawi go to, a i pracy ma sporo – siostra próbowała ją uspokoić. – Dobrze zrobił, że sprzedał stary budynek i przeniósł się do galerii. Ta nowa lokalizacja to był strzał w dziesiątkę.

– To prawda – przyznała Helena. – A tak się tego obawiał. Twierdził, że cały urok rodzinnej księgarni zawiera się w tym miejscu... Okazało się, że to on jest główną atrakcją i dobrze sobie radzi. Tylko że do domu nie wraca.

Marta westchnęła, po czym odłożyła wreszcie telefon i wstała. Na stole, kuchennych blatach i półkach panował nieogarniony chaos. Siostra piekła w natchnieniu, zapominając jak zwykle o tak przyziemnych sprawach, jak porządkowanie.

– Daj mu trochę czasu – powiedziała, po czym zabrała się za pakowanie naczyń do

zmywarki.

– Tak zrobię – posłuchała jej Helena podejrzanie szybko. Zaczęła nawet ścierać blaty, co oznaczało, że coś knuje, zazwyczaj bowiem chętnie pozwalała się wyręczać w tych nieromantycznych, jej zdaniem, czynnościach. – Słyszałaś, że Feliks wraca?

– Tak – westchnęła Marta. Jednak intuicja jej nie zawiodła. Siostra miała swoje plany. – Ale nie rób ze mnie szpiega. Nie będę donosić. Niezręcznie się czuję.

– Och, nie ma o tym mowy – Helena zrobiła minę niewiniątka. – Po prostu sobie rozmawiamy. Co w tym złego? To mów? – nacisnęła.

– Jego ojciec coś wspominał, że może chłopak przyleci w ten weekend – powiedziała ostrożnie Marta i zaczęła energicznie czyścić zlew. – Ale dla nas to już nic nie oznacza. Nie sądzisz chyba, że Julia będzie wiecznie grać w tę dziecienną zabawę i miotać się między Ksawerym i Feliksem. To skończone.

– Chyba tak – przyznała Helena, choć wcale nie wyglądała na przekonaną. – Nie ma czego żałować – dodała wojowniczo. – Przyjechał, narobił zamieszania, zarzekał się, że ją tak bardzo kocha, a zwiął, jak tylko usłyszał, że jego stanowisko pracy jest zagrożone.

– Nie potępiaj go tak od razu – siostra wytarła blaty, umyła ręce i z przyjemnością rozejrzała się wokół. Kuchnia znów była czysta. – To Julia go pogoniła – dodała, odwracając się w stronę siostry. – A on jest lekarzem, na stanowisku. W Monachium długo pracował na swój sukces.

– Ja nie wiem, jak ci młodzi teraz układają swoje sprawy... Nic się nie liczy, tylko praca... – Helena westchnęła, bo od razu pomyślała o mężu. On też coraz częściej przesiadywał poza domem. Sytuacja finansowa rodziny się poprawiła, zyskali względny spokój i poczucie bezpieczeństwa, ale powoli zaczęli tracić coś innego, o wiele bardziej cennego. Czas dla siebie i poczucie, że dobrze się nawzajem rozumieją.

– Nie użalaj się nad sobą – Marta wydała twarde zarządzenie. – I przestań żyć złudzeniami. Niby my byliśmy inni? To nieprawda. Za naszych czasów też niełatwo było ułożyć sobie życie. Bierz ten kubek, idziemy do salonu. Dość tego pichcenia, sprzątanania i niekończącej się roboty. Siądziemy sobie na kanapie, nakryjemy kocem, pogawędzimy. Może coś poczytamy.

Helena odwróciła się. W słabym świetle bocznej kuchennej lampy wciąż wyglądała młodo. Jej figura łagodnie zniosła narodziny czterech córek, na twarzy malowały się dobre emocje.

– A ty? – zatrzymała na chwilę swoją siostrę. – Przyznaj się wreszcie. Zakochałaś się, tak?

– Daj mi spokój – Marta jak zwykle nie traciła opanowania. – Za stara jestem na takie dyrdymały. Nigdy zresztą specjalnie nie wierzyłam w podobne rzeczy.

– Ale do Leszka biegasz...

– Chodzę – odparła godnie. – To tylko znajomość. Może w sumie i z tym skończę. Cała okolica huczy od plotek. Po co nam dodatkowy kłopot?

– Naprawdę nic do niego nie czujesz? – zdumiała się Helena. Ona była bardzo emocjonalna. Miłość do męża i dzieci stanowiła jej siłę napędową. Wszystko podporządkowała tym uczuciom. Rodzina była jej szczęściem i nieustającą troską jednocześnie. Nie potrafiła zrozumieć spokoju siostry wobec szansy, jaką dawało jej życie.

Tyle lat znosiła samotność.

– Nie ma nic gorszego niż starość, która jest pozbawiona rozumu – powiedziała filozoficznie Marta. Wzięła swój kubek i poszła do salonu. To miał być jasny znak, że dyskusja została zakończona.

Helena została na chwilę sama w kuchni. To nie zdarzało się często. Ten dom tętnił życiem. Maryla, jej najstarsza córka, miesiąc wcześniej przeprowadziła się na poddasze wraz z synami oraz byłym mężem. Wzięli rozwód, oboje próbowali na nowo ułożyć sobie życie, ale nie udało się. Wciąż się kochali, choć kryzys mocno ich poturbował. Teraz zaczęli od nowa. Razem.

Na poddaszu trwały intensywne prace remontowe. Przerabiano dawne pokoje dziewczynek na mieszkanie dla nowej rodziny. Wciąż coś się tłukło, buczało, kurzyło. Mężczyźni w poplamionych roboczych ubraniach maszerowali przez dom niczym mrówki faraonki. A ona – jak przystało na prawdziwą panią domu – wszystkich próbowała nakarmić.

Ofiarnie zajmowała się wnukami. Uczyła Marylę prac ogrodowych. Sprzątała, bo siostra, zwykle pomagająca w tych czynnościach, miała teraz dla niej mniej czasu. A mąż ciągle był w pracy.

Nie narzekała. Czuła się tylko dziwnie zmęczona. Bardziej niż zwykle. Pocieszała się, że to upływ czasu, po prostu starość.

Serce, doświadczone ostatnio ponad zwykłą miarę, daje znak, by trochę zwolnić. Trzeba spojrzeć na numer pesel i zadbać o siebie – tak powiedziałyby każdemu, kto by ją zapytał o samopoczucie. Ale kiedy zostawała sama ze sobą, dopadał ją niepokój. Zawsze była zdrowa. Martwiła się tylko kondycją męża. To on musiał dbać o serce i jechał do szpitala, kiedy tylko podniosło mu się ciśnienie. A to zdarzało się często, bo bardzo emocjonalnie podchodził do życia.

Ona była silna, choć sprawiała wrażenie kruchej. Teraz jednak czuła, że coś się czai obok niej. Jakiś cień niedostrzegalny ludzkim okiem. Chłodny. Podstępny. Niemożliwy do uchwycenia.

– Babcia! – Helena aż drgnęła, wyrwana gwałtownie z zamyślenia tym nagłym okrzykiem. Do kuchni z impetem wpadli chłopcy. Byli umorusani od ziemi, pyłu i trawy. Od razu było widać, że pomagali w jesiennych zbiorach.

– Ja nie wiem, po prostu nie mam pojęcia, jak ty sobie z tym wszystkim dawałaś radę przez tyle lat?

Maryla weszła do kuchni, taszcząc spory kosz wypełniony cukinią, papryką i pomidorami z przydomowej szklarni – ostatnie zbiory w tym roku. Położyła go na podłodze, padła na krzesło, po czym otarła spocone czoło.

– Wiem, mam, był plan, że zrobimy z tego leczy do słoików – westchnęła ciężko. – Ale dzisiaj to niemożliwe. Ledwie się trzymam na nogach. Do jutra nic im się nie stanie – spojrzała w stronę warzyw bez życzliwości. – Poza tym muszę przecież wykąpać chłopaków – dodała. – Dobrze, że łazienki na górze już działają, choć wciąż nie ma glazury.

– Remont zawsze jest kłopotem, ale będzie się wam wygodnie mieszkało – Helena podeszła do niej i odgarnęła włosy ze spoconego czoła, jakby głaskała małą, potarganą od

zabawy w ogrodzie dziewczynkę. – Nie martw się tymi warzywami. Idź na górę. Odpocznij. Za godzinę kolacja. Zrobimy coś pysznego.

– Dziękuję, mamo. Wystarczy, że powiesz jedno zdanie, a już człowiekowi jest lepiej. Może to ja dzisiaj coś przygotuję do jedzenia? Ty pewnie też jesteś zmęczona, a do wykarmienia cała gromada. Za chwilę Marcin wróci z pracy. Pewnie głodny.

Z przyjemnością wypowiadała te słowa. Znów byli razem i mogła czekać na jego powroty, martwić się, czy zjadł posiłek, i przytulać w nocy. Dali sobie drugą szansę i to był wspaniały czas w jej życiu.

– Spokojnie – odparła Helena. – Nic mi nie jest, dam radę.

Chłopcy pobiegli już na górę, więc Maryla ruszyła za nimi. Byli bardzo brudni. Bała się, że jeśli ich nie przypilnuje, zachlapią całą łazienkę.

Helena wzięła głęboki oddech. Odpoczynek znów przesunął się w czasie.

Miała wrażenie, jakby cień obok nieco urósł. Odpędziła te nieracjonalne myśli. Zostało jej jeszcze przecież dość sił, by przygotować kolację dla rodziny. Całe życie to robiła, nie było w tym nic trudnego. Nie zamierzała się też porywać na jakieś skomplikowane dania. Pół godziny i będzie po sprawie. Otworzyła lodówkę.

– Niezły zapas – usłyszała za plecami. Odwróciła się i zobaczyła siostrę z pomidorem w ręce. – Mocno dojrzałe, zaraz puszczą sok. Trzeba przynajmniej obrać i przesmażyć. Papryka może poczekać, ale cukinia wygląda mi na taką, którą trzeba natychmiast pokroić.

Helena westchnęła. Już wiedziała, że noc będzie długa. Nie zostawi przecież Marty samej z taką masą roboty.

Cień przysunął do niej swoje chłodne ramię.

– Dobrze się czujesz? – zapytała siostra. – Jakoś blado wyglądasz. Może się położysz na chwilę?

– Dziękuję, wszystko w porządku – odpowiedziała. Nie umiałyby wytłumaczyć, dlaczego skłamała. Przyzwyczajona była, że czasem traktuje się ją z lekkim przymrużeniem oka. Że krążą legendy o bałaganie, jaki tworzy, a bliscy się nią opiekują, chronią. Ostatnio nagle zaczęło jej to przeszkadzać. Kiedy była młodą dziewczyną, potrafiła nawet udawać chorobę, by się wykręcić od obowiązków, a teraz, kiedy po raz pierwszy miała prawdziwy kłopot z siłą do pracy, nie powiedziała prawdy.

– Daj mi deseczkę, będę kroić. A ty zrób kolację. Nogi mnie trochę bolą. Ale na siedząco mogę wszystko – uśmiechnęła się.

Bardzo czujny, ostry, sprawnie działający system ostrzegawczy ciotki Marty, który wykrywał wszelkie problemy siostrzenic i innych członków rodziny, czasem nawet wcześniej niż oni sami zdolali je sobie uświadomić, tym razem nie zadziałał. Marta nie zauważyła cienia obok ukochanej siostry.

ROZDZIAŁ 3

Tymczasem Maryla rozglądała się po nowej łazience. Pachniało tu wapnem i świeżym, wciąż jeszcze wilgotnym tynkiem. Lustro stało oparte na parapecie okiennym. Czekalo na swój czas, by zająć miejsce na ścianie.

Maryla poprawiła niesforną fryzurę. Wszystkie siostry Zagórskie szczyliły się wspaniałymi włosami. Trzy z nich były blondynkami, a najmłodsza, Anielka, urodziła się rudzielcem i, pomijając jeden brzemienny w skutkach eksperyment we wczesnej młodości, całe życie dumnie obnosiła marchewkowo-ceglane barwy. Maryla natomiast od dzieciństwa zmagala się z lokami. Temu, kto tego nie przeżył, ciężko zrozumieć ten trud. Jakby się człowiek starannie nie uczesał, zawsze coś wystaje, wymyka się spod gumek, spinek i upięć. A opieka nad dwoma obdarzonymi wyjątkową ilością energii chłopcami bynajmniej nie sprzyja zachowaniu ładu na głowie. Zwykle biegala za nimi spocona i potargana, próbując mieć oczy z każdej strony głowy. Do ubioru też nie przywiązywała większej wagi. Wyróżniala się na tle sióstr, a przede wszystkim mamy, która nawet do obierania ziemniaków siadała z ładnie pomalowanymi paznokciami i w starannie wyprasowanej sukience. Maryla zarzucała na ramiona to, co jej rano pierwsze wpadło w ręce. Zwykle sprawdzała mniej więcej, czy poszczególne części garderoby do siebie pasują, ale bez przesadnego nacisku.

Po rozwodzie, obolała od doznanych krzywd, próbowała na nowo ułożyć sobie życie. Przez jakiś czas przykładala do wyglądu większą waga. Ale źle się czula wystylizowana na elegancką kobietę. Nieprzyzwyczajona do makijażu rozmazywała sobie oczy jednym nieopatrzonym gestem. Włosy nie chcialy być posłuszne, na obcasach skręcala sobie kostki, a eleganckie sukienki plamiły jej wiecznie czymś pobrudzone rączki dzieci. To nie był jej świat.

Do dawnego układu też nie chciala wracać. Zaczęli z byłym mężem nowy rozdział w życiu. Formalnie wciąż byli rozwiedzeni, ale dali sobie szansa i zamieszkali razem. Ich wzajemna relacja była bardzo krucha. Codziennosc przypominala ostrożne stapanie po polu minowym. Krajobraz po zdradzie.

Wiele słów niosło niebezpieczeństwo kłótni. Mnóstwo tematów prowadziło prostą droga do niekończącej się słownej przepychanki, mającej na celu ustalenie, kto kogo bardziej skrzywdził. W tej wzajemnej litanii oskarżeń nie było zwycięzców. Już kilka razy ustalili, że oboje równo dokopali sobie nawzajem. Ale pokusa, by próbować przeważyc szalę na swoją strone, wciąż była żywa i mocna. Musieli uważać.

Maryla delikatnie przypudrowala policzki, przykrywając podkreślone przez letnie słońce piegi. Upchnęła ostatni niesforny lok za uchem. Przez okno zobaczyła samochód męża parkujący na podjeździe. Poczula dreszcz. Jak kiedyś, gdy przejęta biegala na pierwsze randki. Ich wspólne życie było teraz naznaczone tym wzajemnym staraniem, charakterystycznym zwykle dla początkowych etapów związku.

Kiedyś było inaczej. Wzięli ślub, początkowo byli bardzo szczęśliwi, kochali się. Ale po pierwszych dwóch latach życie nabrało rozpędu. Rano spieszyli się do pracy, wracali późno. Ogarniali obowiązki, przeglądali swoje komputery i szli spać. Coraz częściej nie o tej samej porze. Potem przyszły na świat dzieci. Narodziny pierwszego syna wypełniły plan dnia po brzegi. Nie starali się o poprawianie relacji. Już na nic nie było miejsca, jeśli pominąć takie działania, jak kłótnie, coraz częstsze narzekanie i wzajemne wyrzuty.

Drugie dziecko rozłożyło ich związek na łopatki. Nie dlatego, że wychowanie dwójki maluchów było czymś szczególnie trudnym. Po prostu czuli się słabi. Ich małżeństwo było kruche – rozmowy powierzchowne, porozumienie pozorne.

– Cześć – Marcin stanął w uchylonych drzwiach łazienki. Zrobił krok do przodu, po czym zawahał się i przystanął. Zmagał się z tymi samymi trudnościami co żona. Chciał powiedzieć, że ładnie wygląda, ale nie miał odwagi. Taki paradoks. Ludzie śpią ze sobą nago, dotykają się w najbardziej intymne miejsca, a nie mają śmiałości powiedzieć zwykłego komplementu, bo nagle zjada ich trema. A Marcin miał jeszcze ochotę dodać, że szkoda mu związanych włosów Maryli. Lubił jej rozwichrzone loki, nie był tylko pewien, czy ma do tego prawo. Wciąż byli po rozwodzie.

– O, tata wrócił! – Kubuś stanął w drzwiach i uściśnął ojca. Marcin miał świadomość, że to nie było zwykłe powitanie. Czuł się ostatnio pilnowany przez dzieci na każdym kroku.

– Co słyhać? – u jego boku momentalnie pojawił się drugi synek. – Wszystko dobrze w pracy? – dwie pary pełnych skupienia oczu wpatrywały się w niego z powagą.

– Hej – zawołał wesoło, żeby rozproszyć ten dziwny nastrój. – To ja powinienem się was pytać, jak wam dzień minął. Co nowego w przedszkolu? A w zerówce? Fajnie było?

Kiwnęli potakująco głowami, nie wkładając w ten gest zbyt wiele wysiłku. Po czym natychmiast skierowali czujny wzrok na rodziców. Bali się, że mama i tata znów się pokłócą i rozstaną. Dlatego pilnowali ich na każdym kroku. A to nie było dla Maryli i Marcina łatwe.

Mężczyzna podszedł zatem do żony i pocałował ją na powitanie, uzyskując pełne aprobaty westchnienia synów. Niezręcznie się czuł w tej sytuacji. Maryla nie odwróciła się, posłała mu tylko uśmiech. Kiedyś takie gesty były naturalne, potem nagle zanikły. Nie żegnali się przed wyjściem z domu i nie witali po powrocie. Zbyt mocno byli pochłonięci tysiącem spraw, które wydawały się najważniejsze.

– Wyjdźmy z tej łazienki – zarządziła Maryla. – Rozniesiecie pył po całym domu. W naszym pokoju jest już jako taki porządek. Tam sobie porozmawiamy, a jutro może kupimy płytki? – spojrzała na męża. Chciała wiedzieć, co on na to. To była kolejna zmiana. Przestała automatycznie zakładać, że on się na coś zgodzi.

– Dobrze. Sobota w sklepach to coś, co każdy mężczyzna kocha – w jego głosie słyhać było lekki sarkazm, ale synowie tego nie zauważyli.

– Zgadza się – zawołał Szymek. – Ja też lubię.

– I ja – brat od razu go wsparł. Kryzys rodzinny ujawnił wielką więź pomiędzy chłopcami. Bronili się i wspierali na każdym kroku.

– Przykro mi – powiedziała Maryla. – Podziwiam waszą męską postawę – uśmiechnęła się – ale to będzie wyjątkowo nudne oglądanie płytek łazienkowych. Niektórzy nawet sądzą, że one są prawie identyczne i wystarczy wziąć pierwsze z brzegu – tu spojrzała

znacząco na męża. – Ale tak nie jest – natychmiast rozwiąła jego nadzieje. – Trzeba solidnie pochodzić i dobrze wybrać.

– Ja wam radzę, chłopaki, korzystajcie z okazji – westchnął Marcin. – Jeśli mama wam proponuje, żebyście zostali, zróbcie to. Poleżycie w spokoju na kanapie, odpoczniecie po pracy... – rozmarzył się lekko.

– Chyba po przedszkolu – roześmiał się Kuba. – Idziemy do babci – pociągnął brata za rękaw. – Coś głodny jestem.

– Ja też – Szymek wsłuchał się w głos własnego brzucha, ale podjęcie decyzji nie zajęło mu wiele czasu. Gotowość do pałaszowania smakołyków babci towarzyszyła mu właściwie przez całą dobę.

– Chyba zdaliśmy egzamin – powiedziała Maryla, kiedy łomot na schodach, generowany przez dwie pary nówek, ucichł. – Zostawili nas samych.

– Też masz takie wrażenie? Że ciągle nas pilnują.

– Nietrudno to zauważyć. Trochę narozrabialiśmy – powiedziała ostrożnie. – Dzieci straciły poczucie bezpieczeństwa. Ale nie martw się. Poradzą sobie.

Marcin nie odpowiedział. Cisnęły mu się na usta różne uwagi. Za każdym razem, kiedy jego synowie rzucali się na ciasto babci, myślał o tym, że wraz z jego odejściem z domu sytuacja finansowa rodziny znacznie się pogorszyła. Widać było, że dzieci nauczone są oszczędności. Ale nie chciał o tym mówić. Spierać się, czyja to wina. Bo przecież on płacił, a że za mało? Wtedy ta kwota wydawała mu się wystarczająca.

Milczeli oboje. Maryla zmagiała się z podobnymi myślami. Z żalem do samej siebie, do męża, do okoliczności. Ale nie było sensu tego wywlekać. Zalewać bieżącego dnia starym kwasem.

Za oknem szumiały drzewa sadu, zapadał zmrok. W pokoju zrobiło się przytulnie. Maryla położyła głowę na ramieniu męża. Wciąż trochę ją takie gesty tremowały i za każdym razem musiała odpędzać natrętną myśl o Paulinie, kobiecie, która jakiś czas temu zagarnęła dla siebie wszystkie jej prawa i zawładnęła Marcinem jak nikt wcześniej. Na szczęście on już o niej nie myślał. Objął Marylę i westchnął. Nie było im łatwo. Ale chcieli tego oboje. Jednakowo równo.

– Wycięłam dzisiaj stado pokrzyw – Maryla pokazała swoje pokryte czerwonymi plamkami dłonie. – Zrobił się w najdalszym rogu sadu bardzo przyjemny zakątek. Cztery lipy i miękka trawa pośrodku. Dookoła gęste krzewy aronii, a za nimi kwitnące obficie wysokie żółte kwiaty. Nie wiem nawet, jak się nazywają.

– Pokaż mi – Marcin zerwał się tak gwałtownie, że aż się wystraszyła. – Tylko tak, żeby dzieci nie zauważyły, że wychodzimy. Bo zaraz przeprowadzą śledztwo. A ja mam takie plany, że świadkowie odpadają. Zwłaszcza niepełnoletni.

Maryla stanęła na szczycie schodów i ostrożnie spojrzała w dół. Czuła się jak spiskowiec. – Siedzą w kuchni – zameldowała szeptem. – Rozmawiają z babcią i z ciotką Martą. Można ich spokojnie z nimi zostawić.

– To dobrze – powiedział Marcin. – Okoliczności nam sprzyjają.

Szybkim ruchem zerwał koc pokrywający kanapę, zwinął niedbale i włożył sobie pod ramię.

– Przydałoby się jeszcze dobre wino, ale nie czuję się na siłach skradać do barku

i podbierać twojemu ojcu butelki.

– A ja tak – roześmiała się Maryla. – Tata zawsze powtarzał, że co jego, to nasze. A do alkoholu nie ma zbyt emocjonalnego stosunku. Pewnie nawet nie pamięta, co tam trzyma. Gdybyś chciał podebrać mu książkę, to co innego. Wtedy zrobiłaby się prawdziwa afera.

– Dobra. To plan jest taki. Schodzimy po cichu. Ja czekam na tarasie, a ty idziesz na swoją tajną misję. Ale jak cię chłopcy nakryją, to nie wiem, jak się będziesz tłumaczyć.

– Coś wymyślę. Nie martw się.

Maryla wpadła w doskonały nastrój. Cieszyła się, że ładnie się ubrała i przygotowała do powrotu męża. Życie stało się bardziej nieprzewidywalne także w sensie pozytywnym. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy trafi się randka. Przypomniało jej się stare powiedzonko: „Myjcie się dziewczyny, bo nie znacie dnia ani godziny”. Roześmiała się, jakby znowu miała szesnaście lat i przeżywała wszystko po raz pierwszy.

Oboje z Marcinem zeszli powoli po schodach. Mężczyzna wymknął się cicho, a ona na palcach przemknęła do salonu. Czuła się jak wtedy, gdy miała sześć lat i apetyt na słodczy większy niż przewidywały rodzinne normy. Otworzyła barek i szybko wyciągnęła jedną z butelek. Nawet nie spojrzała na etykietę. Nie była koneserką alkoholi. Wino to wino. Najważniejsze, że czerwone. Miała nadzieję, że również słodkie. Ale nie to było teraz najważniejsze. Prawie po omacku odszukała otwieracz i wzięła jeden kieliszek, po czym, spłoszona głośniejszymi dźwiękami płynącymi z kuchni, uciekła.

Dotknęła dłoni męża i zapomniała o wszystkich innych sprawach. Miłość ma taką moc. I może pojawić się wszędzie, o każdej porze. Niezależnie od wieku, stanu cywilnego ani tego, czy związek jest po przejściach, czy też nie. Co więcej, tego wyjątkowego stanu mogą doświadczyć także ci, którzy jeszcze kilka miesięcy temu zarzekali się solennie, że nie chcą się więcej widzieć, nie mogą się znieść i marzą jedynie o rozwodzie.

A teraz biegli przez stary sad, wsłuchując się w pełen aprobaty szum jabłoni. Stare lipy, które nie takich rzeczy były świadkami, przyjęły ich pod swoje korony, a okoliczne krzewy taktownie zasłoniły przed światem.

Nikt im nie przeszkadzał.

ROZDZIAŁ 4

W pochmurny sobotni poranek Gabrysia stała na przystanku autobusowym. Zmierzała do pracy na pierwszą zmianę.

Od świtu wiał mocny południowy wiatr, niosąc zapach śniegu gdzieś z dalekich gór. Za wcześnie było na taką pogodę, ale jesień najwyraźniej nie liczyła się z opiniami i atakowała chłodnymi podmuchami. Nieliczni pasażerowie oczekujący na autobus skryli się pod wiatą i mocno zaciskali poły cieplejszych płaszczy oraz kurtek.

Gabrysia przestępowała z nogi na nogę i niecierpliwie spoglądała w górę ulicy.

Przed sklepem znajdującym się niedaleko zaparkowała właśnie dostawcza ciężarówka i wysiadło z niej małżeństwo z kilkuletnim chłopcem. Zaczęli wypakowywać stosy pudeł.

– Tak od rana z dzieckiem – obruszył się jeden z mężczyzn stojących na przystanku. – Czego to ludzie nie zrobią dla pieniędzy...

– Ja ich znam – powiedział drugi. – To już trzeci biznes w tym roku. Tym razem sklep elektryczny, ale próbowali różnych rzeczy. A kiedyś mieli pieniądze, dobrze im się powodziło. I proszę, taki upadek. Pudła noszą.

Gabrysia odwróciła się. Czuła, że dłużej nie wytrzyma i zaraz włączy się do dyskusji. Nigdy tego nie robiła, bo zwykle nie przynosiło to żadnych efektów. Ludzie oceniający innych generalnie nie są zainteresowani słuchaniem. Dlatego nie ma sensu kłócić się z nimi. Teraz jednak nie zdzierzyła.

– Czy to źle, że coś robią? – zapytała z żalem. – Skąd mogą panowie wiedzieć, co się stało? Dlaczego się znaleźli w takiej sytuacji?

– Ależ proszę się tak nie denerwować – jeden z mężczyzn wstał z ławki. – To kombinatorzy, którzy mają się każdego zajęcia, byle się dorobić.

– Bo pudła noszą? – oburzyła się. – Co za bzdura. A może zbierają na operację. Skąd pan wie?

Łzy napłynęły jej do oczu. Autobus podjechał, więc nikt jej nie odpowiedział. Mężczyźni spojrzeli tylko na nią z wyraźnym politowaniem. Nie przekonała ich, tak jak przewidywała, stwierdzili pewnie tylko, że jest dziwna i mocno przewrażliwiona. Szybko wsiedli do pojazdu, by zająć sobie najlepsze miejsca. Słyszała jeszcze, jak wymieniają się krytycznymi uwagami na jej temat.

Ona została. Ucieszyła się, że przystanek na chwilę opustoszał. Usiadła pod wiatą i czekała na kolejne połączenie, choć ryzykowała w ten sposób spóźnieniem do pracy. Musiała się uspokoić. Czasami tak miała. Charakterystyczne dla niej opanowanie zniknęło pod wpływem jakiegoś zdarzenia, słowa albo wspomnienia. To nie musiało być nic wielkiego. Wystarczył drobiazg. Symboliczna kropla przelewająca czarę. Trzęsła się wtedy z utajonego żalu do świata i ludzi. Za to, że ta jedna prosta rzecz, należna kobietom od zarania dziejów, jest dla niej niedostępna. Okrutna niesprawiedliwość.

Zwykle szybko się podnosiła, opanowywała i dochodziła do siebie. Teraz też objęła się

mocno ramionami i wyrównała oddech. Jak codzienną litanię powtórzyła wszystkie dobre rzeczy, które dało jej życie. Dom rodzinny, mama, tata, Kornel, zdrowie, praca, siostry... Nawet kolejny autobus szybko podjechał. Otarła ostatnią łzę i wskoczyła do środka. Wzięła głęboki oddech, po czym uśmiechnęła się do stojącej obok kobiety. To nic nie kosztuje, a nigdy nie wiadomo, komu może się przydać małe wsparcie. Dzieliła się tym, co miała. Uśmiechem, a kiedy było trzeba, to i dobrym słowem.

Do szpitala dojechała dziesięć minut po czasie. Miała szczęście. Odprawa jeszcze się nie zaczęła, bo przełożoną zatrzymał jakiś pilny przypadek. Na tym oddziale nie dało się niczego przewidzieć. Leżały tu dzieci po cięższych zabiegach, operacjach. Gabrysia często brała tutaj dyżury.

– Jak minęła noc? – zapytała, przebierając się szybko w fartuch.

– W miarę spokojnie – odpowiedziała jej koleżanka kończąca zmianę. – Choć ciebie czeka dzisiaj ciężka przeprawa. Sobota. Odwiedziny. Bądź dzielna i nie daj się agresywnym, nadopiekuńczym matkom.

– Tych się wcale nie boję. Gorzej z obojętnymi. Do Zuzi spod dwójki nadal nikt nie przyszedł?

– W nocy?

– A co? Skoro w dzień nie mają czasu...

– Nikt się nawet o nią nie pyta. Ale może to zrozumiałe. Ta kobieta, która ją przywiozła, była w zaawansowanej ciąży. Może źle się czuje.

– Nie broń jej. Dobrze wiesz, że to nieprawda. Miałam wrażenie, że się cieszy, bo mała zostaje w szpitalu i będzie chwila spokoju.

– Wiesz, że czasem tak bywa. Rodzice są różni. A ty jesteś profesjonalistką. Zachowaj dystans. Zuzia ma dobrą opiekę i to nie twoje piętro, przypominam delikatnie.

– Nie ma potrzeby. Wiem, co mam robić.

– To dobrze. Nie chciałabym znowu patrzeć, jak cierpisz.

– Tego się na tym oddziale uniknąć nie da – powiedziała Gabrysia. – Ale nie czas teraz na takie rozmowy. Zaraz odprawa, koniec dyżuru, pójdziesz do dzieci, może jeszcze się nie obudziły.

– To prawda. Padam z nóg, ale zjemy sobie jeszcze razem śniadanie, zanim się położę. Te nocne dyżury coraz mocniej dają mi w kość. Kiedyś lepiej to znosiłam.

– To dlatego, że jesteś coraz młodsza – roześmiała się Gabrysia. – Ja też.

Do pomieszczenia weszła przełożona i zaczęła się odprawa. Poszło nawet sprawnie i wkrótce wszyscy rozeszli się do swoich obowiązków.

Gabrysia przejrzała grafik zabiegów. Wszystkie poranne zostały już przeprowadzone. Teraz trzeba się tylko było przygotować do szybkiego sobotniego obchodu. Dzisiaj na dyżurze był młody stażysta. Miała to więc być prosta wizyta. Żadnych decyzji pewnie nie będzie podejmował. W południe miał się zjawić ordynator, by stawić czoła odwiedzającym dzieci rodzicom.

Gabrysia westchnęła, a jedna z pielęgniarek wypełniająca dokumentację spojrzała w jej stronę.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, oczywiście. Pójdę sprawdzić, co słychać. Czy dzieciaki już się pobudziły i nie

rozrabiają za bardzo.

– Nasze? – westchnęła koleżanka. – Chciałabym, żeby tak było. Przychodzimy któregoś dnia rano, a one wszystkie biegają – głos jej przez chwilę zadrżał.

To rzeczywiście było nierealne marzenie. Na drugim piętrze znajdowały się sale pooperacyjne. Dzieci leżały tutaj w łóžeczkach, podpięte do aparatury. Otoczone kablami, maszynami, z wenflonami wkłutymi w blade rączki. Kiedy tylko poczuły się lepiej, przenoszono je na inny oddział.

Praca tutaj była szczególnie ciężka. Nie można sobie było pozwolić na chwilę słabości. Rodzina protestowała, kiedy Gabrysia zdecydowała się przyjąć ten etat. Ale ona czuła się potrzebna, a jej instynkt macierzyński mógł w końcu realizować się w pełni. Musiała tylko pamiętać o jednej ważnej sprawie. By nie angażować się za bardzo. Zachować dystans.

Dzisiaj jednak nie zastanawiała się nad tym. Wzięła do ręki niewielką torbę, którą przyniosła ze sobą, i szybko przeszła przez korytarz, zaglądając tylko przez otwarte drzwi do poszczególnych sal. Uśmiechała się do rodziców. Błdych, niewyspanych i zmartwionych. Ale nie zatrzymała się na zwykłe pogawędki. Weszła do windy i zjechała piętro niżej. Serce biło jej mocniej niż zazwyczaj. Nie było zakazu odwiedzania pacjentów na innym oddziale, ale należało poprosić przełożoną o zgodę. A wiadomo było, że nie dostałaby jej. Była czujnie obserwowana. Wszyscy znali jej historię. Wiedzieli o staraniach o dziecko. Już kilka razy byli świadkami, jak nawiązała z małym pacjentem zbyt bliską relację i potem płakała po jego odejściu. Jej troska o małą Zuzię również zwracała uwagę. Ale to dla Gabrysi nie miało znaczenia. Wszystko wynagradzał widok uśmiechniętej buzi małej pacjentki.

– Ciocia! – ucieszyła się dziewczynka na jej widok i Gabrysia natychmiast zapomniała o wszystkich pouczeniach i zawodowej ostrożności. To dziecko było takie samotne, a ona miała mnóstwo czasu i miłości do zaoferowania. Czyż to nie był wspaniały zbieg okoliczności?

– Witaj, kochanie – odpowiedziała. Powinna była powstrzymać małą przed takim rodzinnym tytułowaniem, ale na razie nie miała na to siły. – Nie jesteś głodna? – zapytała.

– Trochę jestem – odpowiedziała dziewczynka i usiadła na łóžku. Obok niej dzieci bawiły się z rodzicami. Na kołdrach porozkładane były malowanki, autka i lalki, a także niepolecane przez lekarzy słodycze. Zuzia była sama. Wciąż w tej samej szpitalnej piżamce. Z domu nic jej nie przyniesiono. To nie zdarzało się często. Od momentu, kiedy na oddział wraz z dzieckiem mogli wejść rodzice, mali pacjenci mieli naprawdę łatwiej. Dbanie o nich, czasem nawet przesadnie. Ubranka, smakołyki, zachcianki, wszystko, byle ulżyć dziecku w trudnej chwili.

Tylko Zuzia niczego nie dostawała. A szpitalne posiłki były ubogie.

– Przyniosłam ci bułeczki – Gabrysia wyciągnęła jeszcze świeże, pachnące drożdżami wypieki, aż dzieci z sąsiednich łóžek odwróciły głowy w jej stronę. – Mam też malowanki i kredki. Ale najpierw powinnaś coś zjeść.

Otworzyła plastikowe pudełeczko z owocową sałatką i podała dziewczynce widelec.

Zuzia uśmiechnęła się i zabrała za jedzenie.

– Pyszne – powiedziała i spojrzała oczami pełnymi błękitu na Gabrysię, której serce miękło w tempie, jakiego nie potrafi osiągnąć żaden materiał w najwyższej nawet temperaturze. Pogłaskała małą po głowie, czerpiąc z tego gestu wielką przyjemność. Miłe były miękkie włosy dziecka i dotyk delikatnej skóry czoła.

– Jak się dzisiaj czujesz? Głowa cię już nie boli?

Zuzia została przyjęta na oddział, bo skarżyła się na uporczywy ból w okolicach skroni. Mimo wielu przeprowadzonych badań nie udało się ustalić jego przyczyny. Gabrysia martwiła się z tego powodu. Jawny przeciwnik, nawet silny, jest dużo lepszy od ukrytego. Trudno walczyć z niewidzialnym. Kiedy niczego nie można znaleźć, zaczyna się snucie przypuszczeń. Niedobrych.

– Teraz jest lepiej – powiedziała Zuzia. – Lekarstwo mi przyszło przez rurkę – wskazała na kroplówkę, wciąż jeszcze przypiętą do bladej rączki. Zostało już niewiele w pojemniku.

Gabrysia pomyślała, że musi się spieszyć. Była w pracy i nie powinna przesiadywać przy łóżku pacjentki przebywającej pod opieką innego zespołu. Ale nie mogła się jeszcze podnieść.

– Po południu też do ciebie przyjdę, jak tylko skończę pracę – obiecała.

– Może mamusia mnie dzisiaj odwiedzi? – dziewczynka spojrzała na nią smutno. Tak ładnie nazywała tę pustą plastikową dziewczynę, która być może wcale teraz o niej nie myślała. Nie okazywała dziecku serdecznych uczuć, kto wie, może nawet bywała nieprzyjemna, ale dla tej dziewczynki wciąż pozostawała najważniejszą osobą.

Gabrysia westchnęła w duchu. Jej serce znów ścisnął niewysłowiony żal.

– Zobaczmy – odparła oględnie, a siedząca przy sąsiednim łóżku kobieta tylko przewróciła oczami. Mama Zuzi nie miała na oddziale wysokich notowań. Rodzice przesiadywali tutaj całymi godzinami, często zmieniali się z dziadkami, same zostawały tylko starsze dzieci, na obserwacji albo w dobrym stanie. Zuzia była mała, a jednak zupełnie opuszczona.

Gabrysia czuła, że za chwilę zrobi coś niedozwolonego. Przytuli dziewczynkę, powie jej jakieś nieuprawnione niebezpieczne słowa. Wstała więc w pośpiechu, po czym pocałowała dziewczynkę w czubek głowy na pożegnanie.

– Już idziesz, ciociu? – musiała się zmierzyć z dziecięcym rozczarowaniem. – Myślałam, że trochę razem pomalujemy.

– Teraz jestem w pracy, nie mogę dłużej zostać – odpowiedziała. – Ale kiedy skończę, będę mieć więcej czasu i przyjdę do ciebie. Obiecuję.

To słowo nie wywołało stosownej reakcji. Zuzia chyba niejednym razem w życiu musiała się mierzyć z niedotrzymanymi obietnicami dorosłych, bo tylko z rezygnacją opuściła brodę.

– Naprawdę przyjdę – dodała jeszcze Gabrysia. – Nie martw się.

Wyszła szybko, bo rozżalenie zaczęło ją ścisnąć za gardło.

– Proszę zaczekać – na korytarz wybiegła za nią kobieta siedząca przy sąsiednim łóżku. – Widzę, jak pani się opiekuje tą dziewczynką – zawołała. – To koniecznie trzeba gdzieś zgłosić. Matka się tą małą zupełnie nie interesuje. Niech się tym zajmie odpowiednia instytucja. Tak być nie może. Ile to ludzi w całej Polsce czeka na dziecko, a tu takie maleństwo kompletnie opuszczone.

W pierwszym momencie Gabrysia poczuła, że ma ochotę przyłączyć się do tej krytyki.

Pasowała przecież doskonale do tego, co ona sama czuła i myślała na ten temat. Pohamowała jednak niską pokusę. Nie znały całej historii.

– Ja bym jej tak szybko nie oceniała – powiedziała z trudem. – Pracuję w szpitalu nie pierwszy rok. Wiem, że życie rzadko bywa czarno-białe i pozory często mylą.

Kobieta cofnęła się z wyraźnie malującym się na twarzy rozczarowaniem. Liczyła na dłuższe smakowite obgadywanie, a tymczasem musiała się zmierzyć z odmową.

– Ja tam nie wiem – powiedziała nieprzekonana. – Każdy chce dla swojego dziecka jak najlepiej. A taka obojętność może drogo kosztować.

Gabrysia pożegnała się. Nie miała ochoty na takie dyskusje. Czasem wyznaczenie granicy, za którą dziecku jest lepiej w innym miejscu niż we własnej rodzinie, jest wyjątkowo trudne. Wróciła pospiesznie na swój oddział. W ostatniej chwili. Przełożona już była w dyżurce i przyglądała się pracy pielęgniarek. Gabrysia szybko zabrała się za swoje obowiązki.

ROZDZIAŁ 5

Sobota była wyjątkowo spokojna. Julia wysłała swoją współpracowniczkę Anię do domu. Nie było sensu, by obie siedziały w pustym gabinecie. Zdarzyło się tak po raz pierwszy od chwili, kiedy otworzyła własną przychodnię. Ania starała się nie komentować faktu, że zabrakło pracy dla nich obu, ale minę miała nietęgą, kiedy zakładała kurtkę i wyjątkowo starannie wiązała pod szyją apaszkę. Kilka minut później pożegnała się, zamknęła za sobą drzwi, a w gabinecie zapadła nieprzyjemna cisza. Nie było w niej satysfakcji z dobrze wykonanej pracy, jak w chwilach, gdy kończył się długi dyżur i nagle cichły wszystkie odgłosy.

Julia swoim zwyczajem podeszła do okna, spojrzała w stronę znajdującej się po drugiej stronie ulicy kliniki Ksawerego, ale szybko się odsunęła. Zobaczyła właściciela, który zdążył w kierunku wejścia, a kilka samochodów stojących na parkingu było dowodem, że on dzisiaj na brak ruchu nie narzeka. Właśnie kolejny pojazd włączył kierunkowskaz, by skrócić w prawo i skierować się w jego stronę. Julia miała wrażenie, że zna to auto. Wycofała się. Nie chciała się przyglądać, robić rozrachunków ani podsumowań. Było jej jednak przykro.

Czytała kiedyś, że wierność klientów ma bardzo krótką datę przydatności. Mija, kiedy tylko pojawi się lepsza oferta w innym miejscu. To jednak nie przygotowało jej na ten widok.

Kolejne auto, które tym razem skręciło na jej pusty parking, i charakterystyczny łoskot wydawany przez drzwi wejściowe ucieszyły ją jak nigdy dotąd. Stała wyprostowana i uśmiechnięta za biurkiem, gotowa na przyjęcie nowego pacjenta. Miała tylko nadzieję, że nie spotka jej rozczarowanie i nie zobaczy za chwilę kuriera albo – co gorsza – listonosza. Ten ostatni miał dla niej tylko rachunki.

Zaraz potem usłyszała pukanie i do gabinetu wszedł młody mężczyzna. Wyglądał dość zabawnie, trochę niepoważnie. Miał długie, lekko falujące włosy znajdujące się w wielkim nieładzie oraz krótki zarost z tych, co nie dodają męskości, ale wskazują jawnie, że ktoś tu dzisiaj zasnął albo imprezował do późna. Spodnie nie zdradzały śladów zbyt bliskiego kontaktu z żelazkiem, podobnie jak koszula. Z rozpiętych guzików wyzierała dość dobrze zbudowana męska klata, jedyny przyjemny element estetyczny w całym tym obrazie. Mężczyzna miał wyraźny popłoch w oczach, kiedy nerwowo rozglądał się wokół, i Julia poczuła się dość niepewnie.

– Dzień dobry – powiedział. Odetchnęła więc z ulgą. Najwyraźniej jakieś blade pojęcie o kontaktach międzyludzkich ten nietypowy klient posiadał.

– Witam pana serdecznie – uśmiechnęła się do niego ciepło, wkładając w ten gest dużą dawkę spokoju. – W czym mogę pomóc?

– Dobrze trafiłem? Zajmuje się pani zwierzakami?

– Od lat, to moja pasja. Jeśli w tej kwestii potrzebuje pan pomocy, jest pan we

właściwym miejscu.

– To dobrze, bo już nie wiem, co robić. Znalazłem takie coś dzisiaj na progu – ostrożnie podniósł ramię i spod kurtki wyciągnął zawiniętego w gruby ręcznik małego zabiedzonego kociaka.

Julia spodziewała się co najmniej pytona albo rzadkiej odmiany pająka. Koty zwykle każdy, nawet zupełnie niezorientowany w świecie zwierząt, bez trudu klasyfikował do odpowiedniego gatunku.

– Nie wiem, co to za bestia, ale proszę uważać – mężczyzna ostrożnie podsunął jej pakunek, z którego zgodnie z jego zapowiedzią dał się słyszeć gniewny syk rozżłoszczonego zwierzaka. Moc miał niemal tygrysią, choć wychodził z bardzo wątego ciała.

– Ależ to tylko małe, dzikie i bardzo wystraszone kociątko – powiedziała Julia i podeszła bliżej.

– Zgadza się, dzikie. Poza tym nie wierzę. Widziałem fotki kociaków w Internecie. Były słodkie, puchate i przyjazne. Nic się nie zgadza. To jakaś bestia.

Ostrożnie podciągnął rękaw, by pokazać liczne i dość głębokie zadrapania, ciągnące się wysoko ponad łokieć.

– Tylko dlatego, że chciałem go nakarmić – powiedział z wyraźnie słyszalnym żalem w głosie. – A potem jakoś uporządzić, bo brudny jak nieszczęście.

– Boi się – Julia ostrożnie wyciągnęła dłoń i wzięła zawiniątko, fachowo unieruchamiając ostre pazurki, które już się wyciągały w jej stronę. – Już dobrze – powiedziała z czułością. – Zaopiekuję się tobą, pomogę ci – łagodny głos sprawił, że kociak na chwilę zaprzestał energicznego wrywania jej się z rąk, a mężczyzna, który go przyniósł, zapatrzył się z niezbyt inteligentną miną na te tajemnicze działania.

Julia wyciszała kociaka swoimi metodami.

– Zaraz zobaczymy, co ci dolega, maleńki – mówiła cichym, spokojnym tonem.

– Magia... – właściciel z trudem się powstrzymał, by nie przecierać oczu. Kociak uspokoił się i pozwolił obejrzeć.

– Czyli znalazł go pan na progu... – upewniła się Julia. – Pewnie się przybłąkał. Musiał być długo głodny, zanim zdecydował się udać do pana po pomoc.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Był przed moimi drzwiami. To część plag egipskich, które na mnie spadają.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

– Dostałem w spadku dom na wsi – westchnął. – Wiem – przejechał dłonią po zmierzwionych włosach. – Niektórzy mogą nawet myśleć, że to szczęście. Ale nie wiedzą, co mówią. Ja stwierdziłem, że gorsze przypadki chodzą po ludziach, i postanowiłem spróbować. Tyle człowiek słyszy o urokach życia zgodnego z naturą. No to się dowiedziałem... – machnął dłonią, po czym znowu poprawił nerwowo fryzurę, a chaos na jego głowie tylko się pogłębił.

– Rozumiem, że dla człowieka przyzwyczajonego do życia w dużym mieście taka zmiana może być szokiem – powiedziała Julia łagodnie. Jednocześnie oglądała kociaka, który zaprzestał ataków na jej ręce i tylko popiskiwał cicho, a od czasu do czasu fukał nerwowo.

– Ach! – mężczyzna zaczął się przechadzać po gabinecie. – Szok to mało powiedziane. Na

początku się ucieszyłem. Wypowiedziałem szybko wynajem mieszkania. Myślę sobie, raz w życiu będę na własnym. Taki dar od losu. No i się zaczęło – zamilkł na chwilę. – Trzeba było nie przeprowadzać się jesienią – westchnął.

– W lecie wszystko wyglądało inaczej – domyśliła się Julia.

– Całkowicie. Kwitły jakieś chaszczce, słońce świeciło, cisza wokół, pszczoły brzęczały. Raj. Czuję się jak na urlopie. Dziękowałem dziadkowi, na mszę nawet dałem za niego... A teraz muszę sobie przypominać na każdym kroku, że go bardzo lubiłem, bo inaczej co chwilę musiałyby padać mocne słowa.

Julia zaaplikowała małemu zwierzęciu zastrzyk, co zwierzak przyjął z niemą pretensją. Wyraźnie poczuł się oszukany. Poddał się działaniom miłej lekarki, a tu takie zaskoczenie. Nie bacząc na jego protesty ani wyraźnie rosnącą nieufność, Julia przeczyściła mu jeszcze futerko, po czym zamknęła w specjalnym pojemniku. Tam zwinął się w kłębie na miękkiej tkaninie i zerkał z wyrzutem na ludzi, po których, jak już się przekonał, można się spodziewać wszystkiego. Dobrego i złego.

– Na razie dostał zastrzyk wzmacniający. Jest bardzo wyczerpany i głodny.

– Przecież karmię go w kółko, niewdzięcznika jednego – oburzył się mężczyzna.

– Jest za mały, by pić zwykle mleko. Musi dostawać specjalną mieszankę. Wszystko panu przygotuję. Przydałby się też jakiś pojemnik do transportu i spania na początek, żeby panu gdzieś nie zwiął. Sam, bez matki, nie ma szans.

Mężczyzna westchnął.

– Cóż, szczerze powiedziawszy, liczyłem na to, że się dzisiaj pożegnamy. Ja się nie znam na opiece nad takimi stworzeniami. Od urodzenia jestem singlem. Bez młodszego rodzeństwa, własnych dzieci, nawet szczeniaka nigdy nie miałem. Poza tym pracuję – zerknął na zegarek. – Właśnie od godziny siedzę przy biurku, jakby się ktoś pytał.

– Przykro mi, panie...

– Bartosz – wyciągnął do niej dłoń.

– Julia – odpowiedziała z uśmiechem. – Panie Bartoszu, ja oczywiście mogę zawieźć go do schroniska, ale szkoda mi tego malca. Tam dostanie jedzenie i miejsce do spania, ale nie o to chodzi. Potrzebuje czegoś więcej, by przeżyć.

Mężczyzna znów potargał swoje wymęczone włosy.

– Ale jak to zrobić? Muszę zaraz być w biurze. Korporacja nie wybacza. Przecież nie zabiorę go ze sobą. Chyba że... – tu na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. – Może go wpuszczę szefowi do gabinetu. Gdyby go zdenerwował, służby porządkowe nie miałyby co zbierać. Po szefie oczywiście – uściślił. – Bo ten kot da sobie radę w każdych warunkach.

– Nie ma mowy – Julia stanęła w obronie malca. – Przetrzymam go dla pana. Dzisiaj sobota, pewnie nie będzie pan długo siedział w pracy.

– Za to nigdy nie można ręczyć. Mam nielimitowany czas pracy. Jedyne, czego nie mogą zrobić, to przekroczyć dwudziestu czterech godzin na dobę, ale z pewnością, kiedy tylko pojawi się taka możliwość, moi szefowie będą pierwsi.

– Proszę się nie martwić. Kot może zostać u mnie. Będzie pod dobrą opieką. Jeśli zajdzie potrzeba, przechowam go dzisiaj tak długo, jak będzie trzeba. Podam panu swój numer telefonu... W razie gdyby mój dyżur się skończył, podjadę wieczorem, by go panu oddać.

– Dziękuję – oszołomienie chyba przyćmiło świadomość Bartosza, że właśnie został opiekunem małej bestii.

– W takim razie do zobaczenia. Proszę już pędzić do pracy.

– Postaram się nie siedzieć w biurze zbyt długo – powiedział jak mąż z długoletnim stażem. Wyszedł w pośpiechu, ściskając w dłoniach wizytówkę Julii. Podeszła do okna, by zobaczyć, jak wsiada do samochodu, który stał zaparkowany obok jej leciwego forda i dobrze do niego pasował. Cokolwiek ten mężczyzna robił w korporacji, z pewnością nie zarabiał kokosów. Postanowiła przemyśleć raz jeszcze rachunek i ściąć koszty leczenia tak bardzo, jak to możliwe. Szkoda jej było tego dziwnego człowieka, który mimo wyraźnego braku wprawy oraz skłonności do zajmowania się zwierzętami, nie zostawił zabiedzonego kociaka własnemu losowi. Zerknęła na metalowy solidny stół, zajmujący cały środek pomieszczenia. W pojemniku zapadła cisza. Mały spał, zmęczony po dzisiejszych przejściach. Uśmiechnęła się do niego. Czuła, że choć relacja z nowym właścicielem nie zaczęła się łagodnie, to jednak zwierzę będzie u niego bezpieczne.

ROZDZIAŁ 6

Sobota w pięknym domu położonym w sercu rozległego sadu pełnego jabłoni zwykle była dniem przyjemnym. W rodzinie Zagórskich celebrowano weekendy. Helena, gdy tylko przeszła na emeryturę, starała się tak planować tydzień, by nie zostawiać sprzątanania na koniec tygodnia, a jeśli coś się nabałagało, postanawiała sobie tego nie dostrzegać. Omijała wzrokiem krytyczne rejony i cieszyła się ważniejszymi sprawami. W sobotę śniadanie jadano wspólnie. Czasem córki musiały biec do swoich spraw, potem wyprowadzały się kolejno z domu, ale zwykle nie brakowało towarzystwa przy stole. Dziewczyny odwiedzały rodziców, podrzucały wnuki, wpadały na chwilę w jakiejś pilnej sprawie, a potem jakoś tak zostawały do obiadu.

W sobotę piekło się ciasta i zwykle w domu pięknie pachniało. Ale rano pierwszym aromatem, który drażnił zmysł powonienia zaspanych domowników, był zapach świeżo mielonej kawy. Znak, że mama i pani tego domu wstała. Potem roznosiła się woń parzonej w dzbankach herbaty. Miętowej, owocowej i czarnej z różnymi dodatkami. Po tym można było poznać, że właśnie wstał i dołączył do małżonki Jan Zagórski, miłośnik teiny we wszelkich jej odmianach. Osobiście komponował mieszanki herbat, sprzedawał je w swojej księgarni, a także z zapalem częstował domowników i gości.

Dzisiaj jednak w kuchni pachniał wyłącznie świeżo pokrojony pomidor urwany z grządki i posypany obficie grubo siekanym szczypiorkiem. Kawa dawno już przestygła, a herbatę Jan przełknął w pośpiechu, nie poświęcając ani chwili na wybór odpowiedniego rodzaju, co było do niego zupełnie niepodobne.

– Znowu jedziesz do księgarni? – Helena siedziała w szlafroku na kuchennym krześle. Włosy miała rozpuszczone, a twarz bladą. Ułożenie fryzury sprawiło jej dzisiaj sporo trudności. Za każdym razem, kiedy podnosiła ręce do góry, robiło jej się słabo.

– Nie mógłbyś jak dawniej spędzać weekendów w domu? – zapytała.

– Kochanie, wiesz, że księgarnia się rozwija... – Jan pakował kanapki do skórzanej teczki. – Naprawdę jest fantastycznie. Jak nigdy dotąd. Wreszcie mamy w kasie pierwsze prawdziwe pieniądze. Codziennie dwa razy przeliczam utarg, bo nie mogę w to uwierzyć. W przyszłym roku na pewno pojedziemy na porządne wakacje, pomożemy Maryli z remontem piętra, Gabrysi dołożymy do spłaty kredytu mieszkaniowego... Tyle jest potrzeb... Tylko Anielka dobrze sobie radzi finansowo, ale kto wie, co przyniesie przyszłość.

– Wiem, ale po prostu chciałabym cię też trochę mieć dla siebie.

Spojrzał na nią z czułością, lecz w jego uśmiechu było więcej pobłażliwości niż zrozumienia. Helena była zła, że użyła takich słów. Rzeczywiście, brzmiało to trochę jak skarga dziecka. Nie potraktował jej poważnie. Mogła oczywiście przyznać się, że słabo się czuje. Opowiedzieć o męczących ją dolegliwościach. Z pewnością zarówno mąż, jak i cała rodzina od razu by się przejęli. Ale było jej przykro, że sami tego nie dostrzegają. Nikt się

nie potrafił domyślić.

– Cieszę się, że chcesz być ze mną. Jeśli dalej będzie tak dobrze, to w przyszłym roku zabiorę cię do wspaniałego hotelu, jakiego jeszcze nie widziałaś, i będę tam tylko dla ciebie – Jan podszedł bliżej, pocałował ją i wziął do ręki jedną z kanapek. Jak wszyscy w domu w naturalny sposób przyjął fakt, że w sobotni poranek stół jest zastawiony, by spieszący się do swoich spraw członkowie rodziny mogli się posilić. Helena westchnęła. Sama była sobie trochę winna. Przyzwyczaiła ich do tego, że zawsze jest w domu. Dba, dogląda, opiekuje się. Dziękowali, ale traktowali to jak rzecz normalną. A jej było coraz trudniej. Tej zmiany nikt nie zauważył.

Powinna była powiedzieć o tym wprost. Przyznać się, że źle się czuje, poprosić o pomoc.

A jednak tego nie zrobiła. Otarła czoło, na którym od kilku dni zbierały się maleńkie, prawie niewidoczne, ale bardzo denerwujące krople potu.

– Nie wiem, co będzie w przyszłym roku, ale byłoby dobrze, gdybyś teraz spędził ze mną trochę czasu – powiedziała nieco mocniejszym tonem.

– Zrobię to, zrobię... – Jan wyraźnie nie mógł się skupić na słowach żony. Przeglądał maile na służbowym tablecie. Po chwili zamknął go i wrzucił do torby. – Zabrakło mi nowego Maleszki – powiedział szybko. – Dzieci szaleją, a dorośli razem z nimi. Muszę znaleźć hurtownię, która mi to zaraz dośle, albo wsiąść w samochód i jeszcze teraz pojechać po zamówienie. Ta nowa dziewczyna zatrudniona do herbaciarni radzi sobie słabo. Mało się uśmiecha i jest jakaś taka bez życia. Na rozmowie o pracę sprawiała dużo lepsze wrażenie.

– Nie zwalnij jej, dopóki nie znajdziesz kogoś nowego – Helena mimo woli dała się wciągnąć w zmartwienia firmy. – Ostatnio szukałeś nowej osoby sześć tygodni. Nie dasz rady sam, a Marty nie wypada ciągle wołać do pomocy. Ma swoje życie.

– Wiem. Gdyby tylko Anielka nie wyjechała... – Ta wypowiedź ostatnio pojawiała się często. – Była najlepsza.

– Owszem – przyznała Helena – dobrze sobie radziła, ale trochę ją idealizujesz, bo to twoja najmłodsza córeczka. Nie przykładaj do tego wzorca innych pracowników, bo zawsze będziesz niezadowolony.

– Masz rację – podszedł do żony i przytulił się. Ale to nie był gest, którym chciał dodać jej sił. Raczej zaczerpnąć ich dla siebie. Poczwała wręcz namacalnie, jak wypływa z niej energia.

– To ja lecę! – Jan, zwykle tak empatyczny, zakochany w żonie wciąż tak samo mocno jak na początku małżeństwa, teraz nie zdołał zauważyć, że dzieje się coś niedobrego. Zaaferowany wyzwaniem związanym z pracą szykował się szybko do wyjścia. Już w myślach układał sobie plan najpilniejszych spraw do załatwienia. – Pa, kochanie – cmoknął ją w policzek, po czym zabrał kluczyki do samochodu i wyszedł.

Helena usiadła przy stole. Z góry kanapek zostały tylko dwie. Leżące na samym dnie, z lekko już spłaszczonym pomidorem i podwiędłą zieloną cebulką. Westchnęła i sięgnęła po jedną z nich. Przez uchylone okno słychać było hałasujących chłopców. Biegali w sadzie za piłką. Już przestała sprawdzać, czy depczą przy okazji grządk, czy też nie. Zasadniczo się pilnowali, pouczeni starannie przez matkę, ale czasem w ferworze gry zapominali o środkach ostrożności i zdarzało się, że napastnik po wyjątkowo udanej akcji lądował

w kapuście albo pięknym ślizgiem jechał po ogórkach. Sad był rozległy, ale nie tak bardzo, by pomieścić pulsującą energię dwóch zdrowo rosnących chłopaków.

Maryla z mężem pojechali wcześniej rano do sklepów, by wybrać wyposażenie łazienki. Stara pamiętała jeszcze czasy dzieciństwa córeczek Jana i Heleny. Kiedy ten dom został wybudowany, niebieskie płytki z naklejkami wodnymi i ładna terakota na podłodze wydawały się wszystkim szczytem luksusu, sąsiedzi tłumnie przychodzili je oglądać. To było trzydzieści lat temu. Tak niewiele, a jednak realia życia mocno zdążyły się zmienić. Dziś wewnątrz wymagało generalnego remontu.

Młodzi pojechali, a dzieci zostały z babcią. To oczywiste. Helena chętnie przyjmowała wnuki, lubiła się z nimi bawić i marzyła o kolejnych. A że dzisiaj wyjątkowo źle się czuła, to przecież drobiazg. Nikt nie zapytał. Nie było specjalnego programu wprowadzającego automatyczną aktualizację statusu. A może powinien taki powstać? Żeby się bliskim wyświetlało w komórkach, kto potrzebuje przytulenia, rozmowy lub wsparcia? Westchnęła. Wstała i podeszła do okna. Chłopcy ładnie się bawili. Dziadek zainstalował im pod rozłożystą gruszą piaskownicę, a nieco dalej zjeżdżalnię z drewnianym domkiem. Właśnie porzucili piłkę i spuszczaali samochody w dół na jakimś sznurku. Zapowiadało się dłuższe przedsięwzięcie.

Helena naląła sobie wody do szklanki, po czym wrzuciła kilka mrożonych malin oraz plasterki cytryny. Chłodny płyn dodał jej odrobinę energii.

– Może to nic takiego – wyszeptwała z nadzieją. Zupełnie nie umiała sobie z tym poradzić. Zawsze była zdrowa. Rodzice niedomagali, Jan miał słabe serce, o które nieustająco drżały wszystkie kochające go kobiety. Dzieci się przeziębiali, wnuki łapały anginy, ale ona była poza tym. Opiekowała się, parzyła herbatki z lipy, piekła ciasta i budowała atmosferę rodzinnego domu. Była dumna, że wszyscy tak dobrze czują się w tym miejscu. Na samą myśl, że miałyby przekazać bliskim wiadomość, że jest z nią niedobrze, i patrzeć, jak się zamartwiają, czuła niepokonany opór. Dość już mieli kłopotów w ostatnim czasie. Finansowych i rodzinnych. Ledwo wszystko trochę się uspokoilo, mieli znowu wracać na stare ścieżki?

– Nie ma mowy – postanowiła.

Zjadła lodowatą malinkę i otworzyła drzwi tarasu. Zamierzała spędzić przyjemny poranek. Nie poddawać się złym nastrojom. Czyż tą bronią nie odpędzała od tego domu strachów i zmartwień przez tyle lat?

– Tak było – pokiwała głową. – Dlatego tym razem też się uda.

ROZDZIAŁ 7

Ostatnie minuty dyżuru były wyjątkowo trudne. Gabrysia zrobiła już wszystkie ważne rzeczy, dopilnowała swoich pacjentów, wykonała zabiegi, podała lekarstwa, porozmawiała z rodzicami i przeszła po salach, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Sobotnie popołudnie to pora odwiedzin. Łóżka dzieci szczerze były obstawione bliskimi osobami. Na samą myśl, że piętro niżej mała dziewczynka leży zupełnie sama i patrzy na czułość, ciepłe słowa oraz drobne upominki, które nigdy nie są przeznaczone dla niej, Gabrysi cierpła skóra.

Dlaczego to dziecko nie może być moje? Ja bym je chciała – powstrzymała się siłą woli przed dalszym napływem pełnych żalu myśli.

To nie miało sensu. Wróciła do dyżurki i dopełniła formalności, by zakończyć dyżur. Zdjęła fartuch, przebrała buty. Każdy kolejny ruch był szybszy. Pożegnała się z koleżankami, nie wdając się w zwykłe pogawędki. Zbiegła po schodach i skierowała się w stronę sali, w której leżała Zuzia. Teraz już mogła tutaj być. Zakończyła pracę i stała się zwykłą osobą odwiedzającą kogoś bliskiego w szpitalu. Nie była członkiem rodziny, ale czuła, że zależy jej na tej dziewczynce stokroć bardziej niż biologicznej mamie.

Ale zatrzymała się, zanim przekroczyła próg. Przystanęła pod ścianą i głęboko zaczerpnęła powietrza. Musiała być ostrożna. Zachować zimną krew, nie pozwalać, by zbyt mocno rozbijały emocje powodowały, że kogoś pochopnie osądzi. To nie był pierwszy taki przypadek. W szpitalu widywano różne sytuacje. Często pozory myliły.

Pozdrowiła przechodzącą lekarzkę i wyprostowała się. Nie chciała generować kolejnych plotek. Znów cały szpital będzie się zajmował dyskusją, czy to dla niej odpowiednie miejsce pracy, czy potrafi zachować stosowny dystans. Uśmiechnęła się, poprawiła włosy i ruszyła przed siebie pewnym krokiem. Jak osoba, która ma do załatwienia prostą sprawę.

Zajrzała do sali, w której leżała Zuzia. Dokładnie tak, jak się spodziewała, wszystkie dzieci miały gości. Łóżko Zuzi ku jej zdziwieniu też nie było puste. Tuż przy nim na obrotowym szpitalnym taborecie siedziała młoda kobieta w zaawansowanej ciąży.

– Ciocia! – zawołała dziewczynka na widok Gabrysi, a wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. – Mamusiu, zobacz. Ciocia przyszła. Jest super.

Mama Zuzi nie ucieszyła się ani trochę. Posłała w stronę nowo przybyłej jawnie niechętnie spojrzenie.

– Tak, tak. Dobrze, że nasza pani Gabrysia odwiedzała małą, bo dziecko całkiem by tu zginęło pozbawione opieki. – Kobieta siedząca przy sąsiednim łóżku musiała wtrącić swoje trzy grosze.

Matka Zuzi natychmiast zacisnęła usta tak mocno, że utworzyły ciekłą kreskę. Nie wstała, by się przywitać. Nie podziękowała ani nie skomentowała nawet słowem całej sytuacji. Powiodła po zebranych wrogim spojrzeniem, a potem odwróciła głowę.

Gabrysia zawahała się. Nie wiedziała, czy wypada teraz podejść. Zaproszenia nie było. Wręcz przeciwnie. Czowała wyraźnie, że nie jest tutaj mile widziana. Ale dziecko rwało się w jej stronę, a sytuacja chyba dojrzała do rozmowy.

– Mam nadzieję, że nie będę przeszkadzać – powiedziała i podeszła bliżej. – Chciałam tylko sprawdzić, co słyhać u Zuzi. Pracuję w tym szpitalu, właśnie skończyłam dyżur i wpadłam przy okazji. – Uśmiechnęła się serdecznie, ale nie osiągnęła spodziewanego rezultatu.

– Wszystko u nas w porządku – powiedziała zimno mama Zuzi. – Proszę się nie wtrącać. Mają tutaj własne pielęgniarki. Ma kto zadbać o dzieci.

– Ja nie wytrzymam! – wybuchła nagle sąsiadka. – To przecież trzeba gdzieś zgłosić. Najpierw się tym dzieckiem kompletnie nie interesuje i jeszcze potem pretensje zgłasza. To ma być matka?

– Niech się pani nie wtrąca – mama Zuzi zrobiła się blada ze zdenerwowania. Ale Gabrysia patrzyła tylko na dziewczynkę. Na jej twarz, na której malował się strach.

– Proszę, nie kłóćcie się – powiedziała, z wysiłkiem zdobywając się na spokój. – Wszystko ma jakieś wyjaśnienie.

– Tak, oprócz obojętności matki – kobieta obok nie miała zamiaru się zatrzymać.

Zuzia w tym momencie rozplakała się na dobre.

– Jak pani może? – Gabrysia zaatakowała nadopiekuńczą sąsiadkę. – Nie martw się – usiadła obok Zuzi. – Ta pani nie mówi poważnie. Tylko się zdenerwowała. Postaram się zorganizować dla ciebie przeniesienie do innego pokoju.

– To nie będzie potrzebne. Przestań płakać! – zareagowała ostro mama Zuzi. – Świat jest pełny ludzi, którzy wścibiają nos w nie swoje sprawy. Im szybciej się przyzwyczaisz, tym lepiej.

Dziewczynka próbowała się opanować, ale sprawiało jej to wyraźną trudność. Szczupłe ciało wstrząsane było dreszczami.

– Bardzo panią proszę – Gabrysia spojrzała na jej mamę. – Czy nie możemy wyjść na chwilę i spokojnie porozmawiać? Nikomu nie są potrzebne te emocje. Piętro niżej jest kawiarenka...

– Ja nie mam pieniędzy na takie rzeczy...

– Wiem. Ale tam nie trzeba niczego zamawiać, można po prostu posiedzieć – nawet nie próbowała zaproponować poczęstunku. Wiedziała, że oferta zostanie natychmiast odrzucona.

– Jej tam na dziecku nie zależy – sąsiadka nie ustępowała. – Po co ma zabierać małą do kawiarenki. Jeszcze by ją oranżada kosztowała dwa złote. Szkoda kasy. Ale za to zasiłek na pewno pobrała. Może nawet niejeden.

Mama Zuzi poczerwieniała z gniewu, otworzyła usta i wydawało się, że zaraz popłynie z nich potok pełen złych słów. Ale ku wyraźnemu rozczarowaniu swojej przeciwniczki nie odezwała się, tylko wstała gwałtownie, po czym zniknęła za drzwiami łazienki. Chyba potrzebowała chwili na osobności, by ochłonąć.

– Okropna baba – westchnęła kobieta obok i znacząco przewróciła oczami.

– Proszę się uspokoić – Gabrysia miała dość. Sama nie miała o mamie Zuzi najlepszej opinii, ale dopuszczała możliwość, że się myli. Chciała zrozumieć całą sytuację. A już takie

agresywne, bezpośrednie ataki uważała za wyjątkowo nie na miejscu. – W pokoju są dzieci – powiedziała stanowczo. – Dłużej tego nie będę znosić.

– Obie was zgłoszę – groźba była wypowiedziana bardzo poważnym tonem. – Jedną za to, że zaniedbuje opiekę nad dzieckiem, a drugą za przesiadywanie tutaj w czasie dyżuru. Co pani myśli? Że ja taka naiwna jestem? Przecież widzę fartuch. Porządku trzeba pilnować.

– Dziękuję za troskę – spokojnie odpowiedziała Gabrysia. Sporo ją to kosztowało.

Zobaczyła, że mama Zuzi wyszła z łazienki.

– Możemy iść do tej kawiarenki – powiedziała, a jej córeczka wyraźnie się ucieszyła. Rzuciła jeszcze na odchodne przestraszone spojrzenie w stronę siedzącej przy sąsiednim łóżku kobiety, po czym zawiązała pasek szlafroka i wskoczyła w stare, znoszone pantofle.

– Nie wiem, jak pani jej mogła tak spokojnie odpowiedzieć – wyszeptała już na korytarzu mama Zuzi. – Ja już bym dłużej nie dała rady. Ani jednego słowa. Chyba bym ją uderzyła. Jak tak można kogoś osądzać, kiedy się nic o nim nie wie.

– To moja tajna broń – Gabrysia dopiero teraz poczuła, jak zaczynają jej drżeć ręce. – W chwili największego stresu mam zawsze zimny umysł i jestem spokojna. Dopiero potem mnie dopadają nerwy i zaczynam przeżywać. To się dobrze sprawdza w szpitalu. Gdy trzeba działać z chłodną głową, jakieś dziecko się dusi, mdleje albo ma krwotok, wtedy działam i daję radę. Dopiero w domu płaczę, przeżywam i wszystko leci mi z rąk. Szklanki to się u nas tłuką na potęgę.

– Podziwiam i przepraszam. Mam na imię Angela – mama Zuzi westchnęła. Była już mniej spięta. Podała Gabrysi rękę. – Nazwano mnie tak na pamiątkę jakiegoś serialu brazylijskiego. Moja mama uwielbia takie filmy. Do tej pory jej nie przeszło. Zuzi chciała dać imię Luz Maria.

– Dobrze to rozumiem. Ja też jestem Gabrysią tylko dlatego, że mama uwielbiała w młodości książki pewnej pisarki.

Angela uśmiechnęła się. Kiedy przestała się spinać, sprawiała całkiem sympatyczne wrażenie. Westchnęła i dotknęła ciężkiego brzucha.

– Spokojnie, zaraz usiądziemy – powiedziała Gabrysia. – Z tyłu szpitala jest małe podwórko. Stoi tam kilka ławek i jest całkiem przyjemnie.

– Możemy nawet iść do tej kawiarenki. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Rzeczywiście mi się nie przelewa, ale przecież na kawę i sok dla dziecka raz na jakiś czas wystarczy. Po prostu ta baba okropnie mnie zdenerwowała.

– Za bardzo się wtrąca, to prawda – przyznała Gabrysia. – Ale tutaj wielu osobom puszczają nerwy. Kiedy się godzinami siedzi przy łóżku chorego dziecka...

– Nie to, co ja – Angela podniosła głos, a Zuzia znów spojrzała na nią z przestraszonym. – Prawda? Wszyscy tak myślicie. Oceniacie.

– Ja tego nie robię – odparła szybko Gabrysia. – Ale ludzie są różni. Czasem trzeba dać im szansę. Rozmawiać z nimi. W przeciwnym razie skąd mogą wiedzieć, jaka jest prawda?

– Wcale nie muszą – zawołała Angela zapalczywie i pociągnęła córeczkę w stronę widocznej w oddali kawiarenki. – Mnie to nie obchodzi. Niech sobie myślą, co tylko chcą.

– Oczywiście – powiedziała łagodnie Gabrysia i spojrzała z troską na dziecko. – Ale po co

sobie generować dodatkowe kłopoty? Dzisiaj realia życia są skomplikowane. Jeden telefon i będziesz się musiała tłumaczyć urzędnikom. Po co? Nie lepiej rozmawiać?

– Nie. Taka wiedźma i tak nie zrozumie. Ona przecież z góry wszystko wie. Nawet nie będzie słuchać. A o litość jej nie będę prosić. Niech dzwoni, gdzie tylko chce. W razie potrzeby spotkamy się w sądzie.

Gabrysia patrzyła, jak w czasie tej tyrady Zuzia się kurczy. Chowa głowę w ramiona, pochyla plecy, przyciąga mocno kolana, jakby chciała stać się niewidoczna. Serce się ścisnęło na ten widok. Chciało się chronić to dziecko za wszelką cenę.

– Czego się napijesz, kochana? – zwróciła się do niej łagodnym głosem. Koniecznie trzeba było przerwać tę rozmowę. – Pozwól mi na tę niewielką przysługę – zatrzymała gestem dłoni Angelę, która już rwała się do protestów. – Ja nie mam swoich dzieci. Kogo mam rozpieszczać?

Kobieta spojrzała na nią czujnie, ale z większą sympatią. Usiadła na niewielkim krześle, pomasaowała brzuch, a z jej ust wyrwało się westchnienie ulgi. Otarła czoło. W pomieszczeniu było dość duszno.

– Rób, jak chcesz. Ja już nie mam siły – powiedziała. Rzeczywiście sprawiała wrażenie mocno wyczerpanej.

– Daleko mieszkasz? – zapytała Gabrysia, kiedy postawiła na stole kubki z kawą i butelkę soku.

– Ponad sto kilometrów stąd – odparła szybko. – Muszę jechać dwoma zatłoczonymi busami, a potem tramwajem. Żeby dotrzeć przed południem, trzeba wstać bardzo wcześnie, bo jeszcze do pierwszego przystanku kawałek na nogach.

– Rozumiem... – kiwnęła głową Gabrysia.

– Nie gniewaj się, ale nie sądzę. Tak się łatwo mówi, bo to dobrze brzmi, ale prawda jest taka, że nikt nie ma pojęcia, co czuję i przez co przechodzę.

– Możliwe, że masz rację – odparła Gabrysia spokojnie. – Ale istnieje też szansa, że się mylisz. Wbrew pozorom liczba problemów na tym świecie jest dość ograniczona. Zwykle się powtarzają. Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ile osób przechodzi przez to samo. A jeśli zechciałabyś wysłuchać ich opowieści, może by się okazało, że ktoś nawet znalazł wyjście z podobnej sytuacji.

– Może – Angela odwróciła wzrok i zacisnęła usta. To był chyba jej nawykowy gest. Nawet zmarszczki powoli układały jej się wzdłuż tych linii. Gabrysia przypomniała sobie, jak mama mówiła, że uroda w młodości jest darem z niebios, ale wygląd na starość każdy człowiek codziennie rzeźbi sobie sam. Za pomocą min, gestów, myśli, emocji, stylu życia.

Zamilkły na chwilę.

– Spróbuj kawy – zachęciła Gabrysia. – Niewielka ilość ci nie zaszkodzi, a może trochę doda sił.

– Pyszna kawa – uśmiechnęła się Angela. – Bardzo mi smakuje. U nas na wsi takiej nie dostaniesz. Chyba że ktoś kupi sobie drogi ekspres. W okolicy nie brakuje bogaczy. Mają czasem nawet niejednego, i to najnowsze modele. Kiedyś też mi się taki marzył. Ale teraz wszystko przepadło...

Gabrysia milczała, czekając na dalszy ciąg. On jednak nie nastąpił. Za to Angela wyraźnie się uspokoiła, choć wciąż była bardzo smutna. Oddech jej się jednak wyrównał,

a gesty przestały być takie gwałtowne. Pogłaskała córeczkę po głowie.

– Ty wiesz – zwróciła się do niej – jak u nas daleko do przystanku. Chodziłaś za mną nie raz. Prawda?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Więc zawsze sobie o tym przypomnij, kiedy ktoś ci będzie mówił głupoty na mój temat. Wiesz, że przyjeżdżałabym tutaj codziennie, gdybym tylko mogła. Ale nie mam takiej możliwości.

Głos jej zadrżał, a po policzku Zuzi znowu spłynęła łza. Dziewczynka starła ją szybko i energicznie kiwnęła głową, po czym złapała mamę za rękę.

– Naprawdę możesz nam zamienić ten pokój? – Angela zwróciła się do Gabrysi. – Na samą myśl, że mam wrócić do tej jędry, cierpie mi skóra. Kto wie, co nagada dziecku, jak tylko zostanie samo. A ja za godzinę muszę wracać, inaczej nie zdążę przed nocą do domu.

– Załatwię to – powiedziała Gabrysia stanowczo. – Posiedźcie tutaj spokojnie, a ja pójde porozmawiać z pielęgniarkami. Będzie dobrze. Wymyślimy jakieś rozwiązanie.

Wcale nie była tego taka pewna, ale trzeba było chociaż podjąć próbę. Rzeczywiście te dwie kobiety stanowiły mieszankę wybuchową. Mogły z tego wyniknąć niepotrzebne nikomu dodatkowe kłopoty.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę dyżurki. Po drodze przygotowywała sobie argumenty na wypadek, gdyby personel długo trzeba było przekonywać do konieczności dokonania zmiany. Ale poszło jej nadspodziewanie gładko. Okazało się, że mama dziewczynki leżącej obok Zuzi już niejednemu na oddziale dała się we znaki. Pielęgniarki w lot zrozumiały sytuację i postanowiły natychmiast dokonać zamiany. Było to o tyle łatwe, że po wczorajszych wypisach zostało kilka wolnych łóżek. A nie zawsze się tak zdarzało...

Gabrysia zadowolona z powodzenia misji dziarsko ruszyła z powrotem korytarzem, kiedy na jego końcu niespodziewanie zobaczyła Kornela. Szedł powoli w jej stronę.

– Co ty tu robisz? – zapytała zaskoczona. Zaczerwieniła się lekko i zrobiło jej się trochę gorąco. – Nic dziwnego, że kobiety w ciąży prawie tu mdleją – powiedziała szybko. – Duszno jak nie wiem.

– Szukałem cię – odpowiedział Kornel poważnym tonem. – Chciałem cię podwieźć po pracy do domu, bo akurat byłem niedaleko, ale nie zdążyłem przed twoim wyjściem. Nie odbierasz telefonu, więc trochę się martwiłem. Tym bardziej że skierowano mnie do sali, w której leży mała, opuszczona przez rodziców dziewczynka... – spojrzał na nią z wyrzutem.

– Proszę cię – przerwała mu. – To nie tak, jak myślisz. Tylko ją odwiedzam, bo rzeczywiście jest sama. Ale dzisiaj przyjechała do niej mama i pijemy razem kawę.

– Kiedy odnalazłem właściwe miejsce, ciebie już tam nie było. Ale jakaś kobieta powiedziała mi, że dziecko zostanie odebrane matce i opieka społeczna się nim zajmie. W co ty się znowu pakujesz? – W jego głosie nie było złości, wyłącznie smutek i obawa.

– To nic takiego, naprawdę – próbowała gorączkowo go uspokoić. – Ta okropna baba plecie bzdury, nie wie sama, co gada. Chodź ze mną, sam zobaczysz. Poznasz Zuzię i jej mamę.

– Dobrze – westchnął. – Ale proszę cię. Bądź ostrożna. Ledwo zakończyliśmy jedną taką

śliską historię. Nie pakuj się w kolejną.

Nic nie powiedziała. Nie chciała mu teraz wypominać, że Elizę, dziewczynę, którą miał na myśli, to właśnie on sprowadził do domu. Samotną, porzuconą i w niechcianej ciąży. Zaangażowali się, by jej pomóc, a kiedy dziewczyna wreszcie stanęła na nogi, szczęśliwie urodziła i zamieszkała w domu swoich rodziców, nagle zerwała z nimi kontakt. Gabrysia bardzo to przeżyła. Przywiązała się do maleństwa i jego niesfornej matki. Okazała jej wiele życzliwości i pomocy, a na koniec została odstawiona na boczny tor. Eliza nawet nie odbierała telefonów. To bardzo bolało.

– Już rozumiem – Kornel wyraźnie się zasepił na widok słodkiej dziewczynki, która machała w ich stronę. – Ta kobieta też jest w ciąży. Jeśli to nie jest powrót do dawnych kłopotów, to ja jestem kaktusem. Proszę cię. Przecież mi obiecałaś, że dasz sobie spokój z szukaniem dzieci. Pomyślisz o adopcji. Zostawisz tę sprawę specjalistom.

– To naprawdę nie tak... – zaczęła Gabrysia, ale byli już zbyt blisko, by mogła jeszcze coś wyjaśnić. – Mój mąż – przedstawiła Kornela Angeli, a ona natychmiast odwróciła wzrok, jakby widok tego mężczyzny ją zabolał. – Przyjechał po mnie, więc zaraz muszę wracać do domu. Ale mam też dobre wieści. Pokój załatwiony. Przeniesiemy Zuzię pod szóstkę. Leży tam jeszcze jedna dziewczynka w jej wieku. Może się zaprzyjaźnią.

– Mam nadzieję, że nie zdążą – westchnęła Angela. – Wolałabym, żeby wróciła już do domu.

– Wiem – Gabrysia uściśnęła dłoń małej. – Ale lekarz powiedział, że w tym tygodniu nie ma szans. Konieczne są kolejne badania. Przyczyna bólu wciąż nie została zdiagnozowana.

– Dlaczego to tak długo trwa? Przecież to podobno najlepszy szpital.

– Starają się. Naprawdę szukają, ale to może jeszcze chwilę potrwać. Na razie się tym nie zamartwiamy – ścisnęła mocniej dłoń Zuzi, czując ciepło płynące z małych paluszków. To było niezwykle doznanie. Jakby łączyła je wyjątkowa więź. – Pomożemy ci przenieść rzeczy – powiedziała do niej, a głos lekko jej zadrżał.

Kornel odwrócił głowę. Wszystko widział. Czytał z twarzy żony uczucia, które próbowała ukryć. Ale nic nie powiedział. Nie mógł sobie pozwolić na to, by dziecko słyszało jego słowa. Skierowali się w stronę sal.

Kiedy Zuzia została bezpiecznie przetransportowana do swojego nowego pokoju, zapoznana z leżącą na sąsiednim łóżku dziewczynką i czule pożegnana, nie pozostało nic innego, jak podwieźć jej mamę na dworzec. Wpadła na ten pomysł oczywiście Gabrysia.

– Nie angażuj się zbyt mocno – wyszeptał Kornel, kiedy kobieta się pakowała.

– Jestem tylko uprzejma. Czy to coś złego?

Kornel przewrócił oczami. Znał żonę od tej strony. Miała niezwykły talent do przyciągania osób potrzebujących pomocy. Potrafiła postawić na nogi nawet tych, którym specjaliści nie dawali żadnych szans. To dzięki niej Eliza nauczyła się kochać swoje nienarodzone dziecko. To była piękna strona tej historii. Ale istniała też druga. Kiedy tylko Eliza poczuła się pewnie, odeszła. A jego żona cierpiała. Każdego dnia. Bo choć na zewnątrz zwykle była opanowana i potrafiła zachować zimną krew w trudnych sytuacjach, to jednak w głębi serca mocno przeżywała wszystkie te historie.

Westchnął i otworzył drzwi, przepuszczając kobiety. Jak skończy się ta znajomość?

Trudno było to przewidzieć, ale nękały go złe przeczucia. Kryły się w czułych gestach, jakie Gabrysia wykonywała wobec Zuzi, w zazdrosnym spojrzeniu jej matki. To nie był dobry układ.

– Dziękuję wam – Angela usiadła w samochodzie z wyraźną ulgą. – Czuję się trochę zmęczona, a w tramwajach nie każdy ustępuje teraz kobiecie w ciąży.

– A może my cię podwieziemy do domu? – zapytała entuzjastycznie Gabrysia, a Kornel szybko odwrócił głowę, żeby ukryć nietaktowny grymas twarzy.

– Nie! – Angela zareagowała dość gwałtownie. – Nie ma potrzeby – poprawiła się już trochę spokojniej. Dziękuję.

– Jak chcesz. Ale sto kilometrów to naprawdę nie jest tak dużo. A ja się nie spieszę – mówiła dalej Gabrysia. Wyraźnie spodobał jej się ten pomysł.

– Jesteś umówiona z mamą, może wpadniesz do niej choć na moment – przypomniał jej Kornel. Nie miał zamiaru biernie przyglądać się tej sytuacji.

– Właśnie – Angela odwróciła wzrok. Można było zauważyć, że unika patrzenia na męża Gabrysi. Jakby coś jej sprawiało wielką trudność. – Pojadę busem. Mam już bilet. Nie ma mowy o żadnym podwożeniu.

Ta kobieta szybko budowała wokół siebie mur. Głos momentalnie jej się zmieniał, usta tworzyły prostą linię, a wyraz twarzy stawał się mocno nieprzyjemny. Widać było, że potrafiła być inna. Miła, uśmiechnięta. Ale chyba z tej opcji rzadko ostatnio korzystała.

Gabrysia kiwnęła głową, lecz w głębi duszy zaczęła się martwić. A co jeśli kobieta ze szpitala miała rację i mama Zuzi źle sprawuje nad dzieckiem opiekę? Może rzeczywiście należałoby zawiadomić odpowiednią instytucję. Dlaczego nie chciała, by ją podwieźć? Przecież wyraźnie źle się czuła. Coś ukrywa.

To było właściwie pewne. Może mieszka w jakiejś melinie? Albo z konkubentem brutalem?

– Masz ochotę na drożdżówkę? – odwróciła się w stronę tylnego siedzenia i wyciągnęła rękę z papierową torbą pełną małych bułeczek.

Angela wyraźnie się zawahała.

– Weź, proszę – naciskała Gabrysia. – One są dobre tylko pierwszego dnia. Jutro będą smakowały jak kapeć. A my z Kornelem nie damy im wszystkim rady.

– Dziękuję – mama Zuzi poczęstowała się. Na prawej dłoni Gabrysia dostrzegła obrączkę.

Ma męża – pomyślała. Ale to jej wcale nie uspokoiło. Też mógł być brutalem lub prostakiem. Albo co gorsza – jednym i drugim.

– Z tym podwiezieniem mówiłam poważnie – podjęła jeszcze jedną próbę. – Z moją mamą umawiam się i spotykam non stop. To nie jest konieczne, by tam dzisiaj jechać. Nie ma jakiejś szczególnej okazji, po prostu zwykłe rodzinne spotkanie. Mama ma wokół siebie mnóstwo ludzi, nie odczuje mojego braku. A ja będę mieć wyrzuty sumienia, jeśli zostawimy cię w takim stanie samą na dworcu. Jesteś blada. Z porodami bywa różnie.

– Mój dom jest położony w górach – westchnęła Angela. – Droga kamienista, wąska. Kto jej nie zna, w ciemności może nie zawrócić, bo z jednej strony jest głęboki rów. A latarni ulicznych u nas nie ma. To mała wieś.

– W takim razie dojedziemy do ostatniego bezpiecznego miejsca, a dalej dotrzesz sama.

Autobus też przecież nie dowozi cię pod dom.

– Nie – przyznała. – Jeszcze dwa kilometry muszę pokonać pieszo.

– No właśnie. Tym bardziej potrzebujesz siły. Zawieziemy cię – spojrzała z naciskiem na męża, a on tylko z rezygnacją kiwnął głową. Mama Zuzi potrzebowała opieki. Nie miał co do tego wątpliwości. Wolałby tylko, żeby zajął się tym ktoś inny. Nie jego żona, ze skłonnością do zbyt mocnego angażowania się w sprawy innych osób. Zwłaszcza kobiet w ciąży i opuszczonych dzieci.

Angela tym razem nie zaprotestowała. Siedziała ze spuszczoną głową, jakby straciła wszelką energię i siłę do życia.

– To jedziemy – zdecydowała za nią Gabrysia. – Gdzie to dokładnie jest?

Kobieta podała im adres, a Kornel wstukał go w nawigację. Zawrócił na rondzie i skierował się w inną stronę. Przez kilka minut jechali w milczeniu. Angela opuściła dłoń z drożdżówką na kolana i zapatrzyła się w szybę.

– Ktoś wyjdzie po ciebie? – zapytała Gabrysia.

– Napiszę do męża – mama Zuzi wyciągnęła stary telefon i zaczęła wstukiwać wiadomość. – Zobaczę, czy da radę.

Gabrysia zastanawiała się, co może powstrzymać mężczyznę przed wyjściem po żonę w dziewiątym miesiącu ciąży, która po długiej podróży wraca późno do domu. Dlaczego nie ma go razem z nią? Ale nie podjęła tematu. Widać było, że mama Zuzi jest smutna, zmęczona i nie najlepiej się czuje. To nie był dobry moment na więcej pytań. I tak już padło ich bardzo dużo.

– Przed nami prawie dwie godziny drogi – powiedziała Gabrysia, spoglądając na nawigację. – Prześpij się, jeśli tylko możesz w takich warunkach. Odpocznij. Obudzimy cię, kiedy będziemy na miejscu albo trzeba nas będzie pokierować.

– Tak zrobię – Angela zgodziła się od razu i Gabrysia poczuła się zaniepokojona. Taka uległość u tej wojowniczej osoby musiała oznaczać wielkie wyczerpanie.

Żeby to się nie zakończyło porodem – pomyślała z przestraszaniem i spojrzała na męża. Ale on milczał, zaciskając tylko dłonie na kierownicy. Cały czas jednak myślał o tym wszystkim, bo kiedy tylko Angela zasnęła, odwrócił się w stronę żony.

– Wciąż wozimy na oddziały położnicze inne kobiety – wyszeptał. – Przepraszam – zreflektował się szybko. – Nie chciałem sprawić ci przykrości.

– Przecież wiem – westchnęła. – Nikomu nie jest łatwo. Nie rozumiem, dlaczego życie odmawia mi tego naturalnego prawa.

– Słyszałem ostatnio w radiu, że dzisiaj o naturze nie ma już co mówić. Dawno straciliśmy z nią kontakt i teraz płacimy za to wysoką cenę. Wszystko wokół przesiąknięte jest chemią i sztucznymi składnikami. Na efekty nie trzeba długo czekać.

– Może masz rację – przymknęła oczy. Ona też była zmęczona. Długim dyżurem, całym tygodniem pracy i myślami, które ważyły sporo. Wydaje się, że myśli są bytem niematerialnym, ale niektóre mają spory ciężar. Łatwo może się o tym przekonać każdy, kto nosi je całymi dniami. Jakby dźwigał plecak wyładowany kamieniami.

Kornel milczał. On też codziennie zmagał się ze swoimi odczuciami i musiał wkładać sporo wysiłku, by zachować pogodny nastrój. Czasem pod wieczór był tak wyczerpany, że kiedy zamykał za sobą drzwi łazienki, opierał się o nie, a potem siadał na podłodze

i dłuższą chwilę zbierał siły. Dopiero potem mył się, przebierał i wracał do żony. Dotyk jej ciała czasem kołował smutek.

Teraz też najchętniej tak by postąpił. Ale nie mógł. Siedział za kierownicą i dbał, by czyjeś nienarodzone dziecko bezpiecznie dotarło do domu.

ROZDZIAŁ 8

W domu Zagórskich weekend mijał pod znakiem pracy i dość niezwykłej temu miejscu ciszy. Jan tuż po śniadaniu znów pojechał do księgarni. Galeria handlowa otwarta była cały tydzień. To miało oczywiście swoje zalety. W znacznym stopniu przyczyniło się do finansowego powodzenia, które tak bardzo cieszyło Jana. Ale była też druga strona. Nikt już nie miał dla nikogo czasu.

Helena siedziała przy stole na tarasie. Pogoda wyjątkowo dopisywała. Po ostatnich pochmurnych, zimnych tygodniach, wstał piękny jesienny dzień. Oboje z Janem najbardziej lubili właśnie takie momenty. Bez dającego się we znaki skwaru, za to z przyjemnym ciepłem i feerią barw w sadzie. Na drewnianym ganku w wiszących doniczkach kołysały się kwiaty. Trawnik wciąż jeszcze był zielony, chociaż dość obficie pokryty kolorowymi liśćmi.

Trzeba by to wygrabić – pomyślała Helena, ale nie ruszyła się nawet z miejsca. W końcu była niedziela. Czas dla rodziny. Na rozmowę, podsumowanie tygodnia, snucie planów, marzeń, dzielenie się obawami. Ale dzisiaj nie było zwykłego leniwego picia kawy na tarasie. Jan przełknął w pośpiechu posiłek i pojechał do firmy. Zatrudniona jako sprzedawczyni dziewczyna miała dzisiaj chrzciny w rodzinie i wzięła wolny dzień. Trzeba ją było zastąpić. Helena to rozumiała. Ale i tak było jej przykro.

Potem przyszły kolejne wiadomości. Marta wybierała się na obiad do Leszka. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, spotykali się od jakiegoś czasu. Choć ten związek trwał w dość dziwnym zawieszeniu, to jednak żadne z nich nie rezygnowało. Helena im kibicowała. Późna miłość bywa piękna. Nie ma w niej tak wielu oczekiwań. Nie kładzie się na szali całego życia. Za to człowiek potrafi cieszyć się wzajemną czułością, rozmową, dotykiem, faktem, że jest ktoś obok. To wspaniałe doświadczenie.

Helena westchnęła. Bardzo kochała siostrę, życzyła jej wszystkiego, co najlepsze, i osobiście wypychała na spotkania z Leszkiem, pożyczając kobiecie swoje najładniejsze sukienki. A potem zostawała w domu sama.

Maryla z mężem i dziećmi planowali pracowity i pełen wrażeń dzień. Zamierzali całą rodziną pojechać do parku rozrywki. Sami chcieli odpocząć od remontu, a chłopców z kolei zmęczyć trochę, żeby nie szaleli wieczorem, tylko zgodnie z dość utopijnym planem rodziców – spokojnie zasnęli. Powiedzieli nawet, że specjalnie zabierają tych dwóch rozrabiaków, żeby babcia mogła złapać trochę ciszy i spokoju. Było w tym trochę prawdy. Przeprowadzka Maryli z chłopcami do rodzinnego domu wniosła sporo zamieszania. Helena czasem bywała zmęczona hałasem. Ale nie tak bardzo, by chcieć ich wyjazdu. Nie tak mocno, by się cieszyć, że nie zobaczy ukochanych wnuków aż do wieczora.

Ale młodzi zbyt byli zajęci pakowaniem się przed wyjściem, uspokajaniem synów i posyłaniem sobie dyskretnych w ich mniemaniu, porozumiewawczych uśmiechów, by dłużej porozmawiać z mamą. Zrozumieć do końca. A ona i tak się cieszyła. Że Maryla po

rozwodowej traumie znowu promienieje, że dotyk dłoni męża znów wzbudza w niej emocje. Dobre emocje. To było prawdziwe szczęście. Nie chciała go psuć swoimi żałami. One nie miały znaczenia.

Westchnęła i odczytała wiadomość od drugiej córki.

Gabrysia gdzieś wczoraj jeździła po nocy i postanowiła zostać dzisiaj u siebie. Odpocząć, ugotować obiad. Zwykle zajęcia przed kolejnym, wypełnionym pracą tygodniem. Córka życzyła jej miłego dnia, przekonana, że mama pije kawę otoczona bliskimi. Ale tak nie było.

Julia nawet nie odbierała telefonu, a Anielka, najmłodsza z córek, zajęta układaniem sobie życia w stolicy, nie miała ostatnio ani jednego wolnego weekendu, żeby odwiedzić rodziców.

Taka duża rodzina – pomyślała Helena, nalewając sobie na talerz tradycyjnego niedzielnego rosółu. – A człowiek je obiad sam.

Spojrzała na zegarek. Jan obiecał, że wróci szybko. O szesnastej miał go zmienić nowy chłopak zatrudniony do pracy w księgarni. Ale Helena już się nauczyła nie wierzyć w takie zapewnienia. Zjadła obiad, zmyła naczynia, choć nie znosiła tej czynności, i położyła się na kanapie. Bolało ją serce. Pierwszy raz w życiu. Parę razy wprawdzie wydawało jej się, że tak jest, ale dopiero teraz poczuła różnicę. Gdy pierwszy raz zdarzyło się to naprawdę.

Telefon zadzwijał na szafce. Wstała i powoli ruszyła w jego stronę. Ostatnio musiała głośniejsz nastawiać dzwonek, bo zdarzało jej się go nie słyszeć, nawet kiedy ktoś dzwonił kilka razy.

– Cześć, kochanie – w słuchawce rozległ się pogodny głos męża. – Jak ci mija popołudnie? Dziewczynki przyjechały?

Zaczerpnęła powietrza, by udzielić odpowiedzi, ale nie zdążyła. Jan wcale na nią nie czekał.

– Dzwonię... – mówił szybko dalej, a w tle słychać było głośną muzykę i gwar głosów.

Helena domyśliła się, że galeria o tej porze pełna była klientów. Jan mimo słusznego wieku i statusu seniora rodu nadspodziewanie dobrze odnajdował się w nowej dla niego rzeczywistości. Pośpiech, hałas, wiele zadań do wykonania jednocześnie, to wszystko zdawało się go cieszyć i odejmować mu lat.

– Dzwonię – powtórzył – bo troszkę się dzisiaj spóźnię. Chłopak wprawdzie już przyszedł, ale na razie nie mogę go zostawić samego. Straszny dzisiaj ruch. Jakby już zapanowała świąteczna gorączka, choć do Bożego Narodzenia jeszcze przecież ponad dwa miesiące.

Milczała. Teraz dlatego, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zarzucić go kolejnymi pretensjami, znowu prosić, szantażować swoim stanem zdrowia? Nigdy nie musiała się zniżać do takich chwytów. Kochali się z Janem przez całe życie. Ich miłość przetrwała niejednen kryzys. Miała się teraz rozsypać, kiedy wszystko było już za nimi i tak naprawdę pozostał im tylko odpoczynek i wzajemne cieszenie się jesienią życia?

– Nie martw się – powiedział Jan zaniepokojony jej milczeniem. – Wrócę, jak tylko będę mógł. I mam dla ciebie niespodziankę. Piękną – zachwycił się sam wobec braku spodziewanej reakcji ze strony żony. – To bransoletka – nie wytrzymał i zdradził

tajemnicę. – Z tego pięknego sklepu naprzeciwko naszej księgarni. Każdego ranka obok niej przechodzę i dzisiaj nie wytrzymałem. Kosztowała majątek, ale wreszcie stać nas na takie drobne przyjemności.

Miała ochotę powiedzieć, że doprawdy niepotrzebnie się starał, bo ona teraz nie potrzebuje takich upominków. Piękna bransoletka była ostatnią rzeczą, o jakiej marzyła. Objęła się ramionami. Nagle zadrżała, a jednocześnie na jej czole pojawiły się krople potu.

Mąż już się rozłączył. Słońce wciąż przypiekało, ale ona czuła, jak robi jej się coraz chłodniej. Cień powoli ją ogarniał, osaczał. Zaczęła się bać. W takiej chwili dobrze byłoby mieć wokół siebie bliskich ludzi. Przytulić się do kogoś. Złapać za rękę. Wypić wspólnie herbatę i popatrzeć na sad. Porozmawiać o błahostkach i ważnych sprawach. Usłyszeć zapewnienie, że wszystko będzie dobrze. Uwierzyć w nie, choć samemu ma się zupełnie inne przeczucia.

Wróciła do domu, pozamykała wszystkie drzwi i zawinęła się w koc. Postanowiła, że w poniedziałek wczesnym rankiem w pierwszej kolejności odwiedzi lekarza. Sprawa robiła się coraz bardziej niepokojąca.

ROZDZIAŁ 9

Maryla z Marcinem zaspali. Oboje. Ciasno objęci, odpłynęli tak bardzo, że nie słyszeli ani jednego z dwóch dzwoniących na przemian budzików. Ich synowie ani myśleli wstawać, skoro nikt nie ściągał ich z łóżek. Lubili się wylegiwać do oporu, a po wczorajszym pełnym wrażeń dniu spali tak mocno, że można by ich wynieść do ogrodu razem z materacami.

– Rany, Marcin! Wstawaj! Dwadzieścia po ósmej! Wszyscy jesteśmy spóźnieni – zawołała Maryla i, potykając się, pobiegła do łazienki.

Mężczyzna zerwał się gwałtownie, po czym usiadł z powrotem i, przecierając zmęczone oczy, próbował zmusić mózg do wyętego wysiłku.

Wciąż nie przyzwyczał się do zmiany, jaką była przeprowadzka do domu teściów. Podnosił rano powieki i, widząc nad głową nieznany sufit, musiał sobie przypomnieć, że to jest teraz jego miejsce zamieszkania.

To był pomysł Maryli. Nagle zapragnęła stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa. Chciała się też zaopiekować rodzicami. Bardzo ich kochała. Ale oni nie sprawiali wrażenia ludzi, którzy pragną opieki. Ojciec rzucił się w wir interesów. Opowiadał teraz ciągle o nowych kontrahentach, hurtowniach, klientach i zakończonych sukcesem negocjacjach. A mama gotowała, piekła, pielęła ogród. Poza tym była ostatnio dość milcząca i Marcin wobec tego faktu schodził jej z drogi. Nie wiedział bowiem, jak reagować w takich nietypowych sytuacjach.

Dzisiaj jednak o podobnych obiekcjach nie mogło być mowy. Pilnie potrzebowali pomocy i musieli o nią poprosić rodziców Maryli, a przynajmniej mamę, bo taty już pewnie mimo wczesnej pory nie było.

– Zbieraj się – zawołała Maryla, która trzasnęła drzwiami łazienki i wpadła z powrotem do pokoju. Biegała w pośpiechu ze szczoteczką do zębów w buzi. – Obudź chłopaków – powiedziała niewyraźnie i wytarła pastę do zębów z policzka. – Ja pędzę do mamy. Poproszę ją, żeby ich nakarmiła, ubrała i zawiozła do przedszkola.

– Ja nie mogę się spóźnić do pracy – mózg Marcina właśnie wystartował i z całą jasnością przedstawił właścicielowi grozę sytuacji.

– A myślisz, że ja mogę? – zapytała Maryla. Próbowwała wbić szczotkę do włosów w gąszcz na swojej głowie, ale szybko się poddała. Zawinęła włosy w supeł i związała grubą gumką. Przy pewnej dozie życzliwości można było efekt jej poczynań uznać za kok. – Jeśli się nie pospieszysz, będziesz musiał jechać taksówką, bo ja zabieram twoje auto. Babci trzeba zostawić jedno, żeby mogła zawieźć dzieci. Dobrze ci radzę, pospiesz się.

Argument okazał się skuteczny. Marcina niemal wywiało z łóżka. Był tam, a po chwili w tym miejscu bielila się tylko pościel.

Maryla zbiegła po schodach, zapinając w pośpiechu guziki. Spodziewała się zastać mamę w szlafroku, krzątającą się w kuchni przy kanapkach lub smażącą poranną jajecznicę. Ale

Helena stała w przedpokoju, ubrana w wyjściową sukienkę i buty na obcasie.

– Jesteś gotowa? – ucieszyła się Maryla. – Od dzieciństwa podziwiałam twoją intuicję. Błagam cię, pomóż nam. Zaspaliśmy – w tym momencie nieco się zaczerwieniła, choć miała już czterdzieści lat i małżeński staż za sobą. Ale przyczyną tego opóźnienia były takie rzeczy, że na samo wspomnienie robiło jej się gorąco. – Proszę cię, możesz zawieźć chłopców do przedszkola?

– Tak. – Ta odpowiedź padła automatycznie. Helena udzieliła jej bez zastanowienia. Cóż właściwie mogła innego powiedzieć. Przecież lekarz poczeka. Może przełożyć wizytę, bo i tak była umówiona prywatnie. Pewnie już na dzisiaj nie dostanie terminu, ale jest jeszcze jutro. – Nie martw się o nic – powiedziała. – Biegnijcie do pracy. Ja się wszystkim zajmę.

Wróciła do swojego pokoju. Przebrała się w wygodniejsze rzeczy. Na toaletce wciąż leżała bransoletka, którą wczoraj podarował jej Jan. Piękna była rzeczywiście. Wykonana ze srebra wysokiej próby z małymi cyrkoniami i łańcuszkiem regulującym szerokość. Przyjemne cacko. Kiedyś pewnie by się ucieszyła. Ale teraz miała inne troski. Małżeńskie łóżko stało puste. Jana już nie było. Pojechał do księgarni wcześniej niż zwykle. Musiał odebrać i zatwierdzić dużą dostawę.

Helena westchnęła i wróciła do kuchni. Przez okno zobaczyła najstarszą córkę wsiadającą do samochodu. Za kierownicą siedział już Marcin. Oboje, choć zestresowani pośpiechem, sprawiali wrażenie wyjątkowo szczęśliwych. Jakby przeżywali drugi miesiąc miodowy.

Może tak właśnie jest? – pomyślała z uśmiechem i od razu poczuła się lepiej. Jej córka była wreszcie szczęśliwa. Czy można jeszcze czegoś pragnąć? Jakieś drobne dolegliwości, zapewne związane z wiekiem, więc naturalne, nie mają wobec tego faktu żadnego znaczenia. To było prawdziwe życie. Młodzi i ich dzieci. Oni mieli jeszcze wszystko przed sobą.

Otarła kropelki potu. Wspięła się po schodach, by rozpocząć znużony proces budzenia wnuków. Wyjątkowo nie lubili porannego wstawania, czekało ją więc trudne zadanie. Ale kiedy zobaczyła ich rozkopanych w pościeli z błogimi minami, zapomniała o wszystkich troskach. Tym dzieciom też było dobrze pod jej dachem. To można bez trudu zauważyć. Uśmiechnęła się. Czuła wręcz namacalnie, jak cień się odsuwa, a ona ma się lepiej. Dolegliwości nieco ustały.

* * *

– Oczywiście, Bartoszu. Możesz przyjechać – Julia przechadzała się po gabinecie i starała się udzielać szybkich odpowiedzi. Ruch był dzisiaj wyjątkowo duży, mimo wczesnej pory. Ania, jej współpracowniczka, szczepiła właśnie kota, a właściciel Brutusa, stały klient, czekał dość niecierpliwie, aż Julia skończy rozmowę i zajmie się jego pupilem.

– Nie mogę ci dać gwarancji, że cię przyjmę natychmiast i poza kolejnością – powiedziała, a właściciel Brutusa znacząco przewrócił oczami. – Jest spory ruch. Tak, wiem, ale tutaj wszyscy się spieszą. Także do pracy. Ale proszę, nie martw się i przyjeźdź. Zobaczą, co da się zrobić. Przepraszam – powiedziała i odłożyła słuchawkę. – Już do was

wracam.

Pogłaskała po głowie Brutusa, swojego ulubieńca. Już był zbadany i teraz pozostawało tylko postawić diagnozę.

– Co ja mam powiedzieć? – spojrzała zwierzakowi, a potem właścicielowi w oczy. – Obaj doskonale wiecie, jaka jest przyczyna tych niedomagań.

– Pani Julio, skąd ten surowy ton? – właściciel sapnął głośno i poprawił pasek spodni opinający jego szeroką talię. – Przecież nie możemy głodować – pogłaskał swoimi solidnych rozmiarów dłońmi psa po głowie, jakby chciał go ochronić przed tą okropną perspektywą.

– Niczego takiego nie sugeruję – stanowczo powiedziała Julia. – Po prostu Brutus nie musi dostawać każdego smakołyku, na który nagle przyjdzie mu ochota.

– Pewnie nie – przyznał mężczyzna. – Ale niech pani powie. Co człowiek ma z tego życia? Tyle że zje coś dobrego, przytuli się do psa...

– Ach! – zachnęła się. – Proszę mnie tu nie brać na litość.

– Pani tego nie rozumie. Młoda, piękna, utalentowana – zapatrzył się na nią łakomie. – A my sami jak palec na tym świecie.

– Rozumiem – powiedziała szybko, a właściciel Brutusa nawet się nie domyślał, jak wiele w tych słowach było prawdy. – Ale nie przekonaliście mnie. Pana nie leczę, więc tutaj musi zająć stanowisko odpowiedni specjalista, ale pies powinien przejść na dietę. Zaraz panu wszystko rozpiszę. Dienne dawki dostosowane do jego wieku, wagi i trybu życia.

Brutus zaskomlał, jakby czuł, że pieczone kiełbaski, tłusty boczek i inne ulubione przysmaki odpływają w niebyt.

– Widzi pani? On wszystko rozumie.

– Taką mam nadzieję – Julia uśmiechnęła się do psa. – Brutus, pilnuj pana. Jeśli obaj chcecie jeszcze długo i szczęśliwie pożyć, powinniście się nawzajem ciągnąć w dobrym kierunku, a nie sprowadzać na złą drogę.

– Już dobrze – westchnął mężczyzna i wziął z ręki Julii karteczkę. – Dziękujemy, pani doktor. Obaj będziemy teraz jeść lepiej.

– Mam nadzieję – odprowadziła ich do drzwi. Zerknęła szybko w stronę oczekujących. Kolejka wiła się jak za najlepszych czasów. Julia zwykle martwiła się tym, wprowadzała różne systemy wspomagające, żeby oszczędzić klientom straty czasu, ale nic nie mogła poradzić na to, że ludzie wpadali bez zapowiedzi z nagłym przypadkiem, burząc starannie skonstruowany system. Dopiero zmiany wprowadzone w klinice Ksawerego, zwłaszcza obniżka cen, spowodowały gwałtowne skrócenie kolejki. Teraz Julia ucieszyła się, że jej poczekalnia znów jest pełna.

– Zapraszam – powiedziała do kolejnej osoby. Ale starsza kobieta tuląca śpiącego szczeniaka nie zdążyła przekroczyć progu gabinetu. Otworzyły się drzwi poczekalni i do pomieszczenia najpierw wdarł się dźwięk rozpaczliwego, rozdzierającego wręcz miauczenia, a zaraz potem zebrani zobaczyli mężczyznę o wyraźnie błędnym wzroku, mocno rozczochranej czuprynie, ściskającego w objęciach stary koc, z którego wydobywało się trudne do wytrzymania kocie miauczenie o wyjątkowo wysokich tonach.

– Co się stało? – Julia podbiegła do nich, a pozostali klienci nawet nie protestowali. –

Czy był jakiś wypadek? Twój kot jest ranny?

– Nie. To nie mój – odpowiedział Bartosz. – Na całe szczęście, bo tego bym już nie wytrzymał. To drugi. Przyszedł dzisiaj o świcie i tak się cały czas drze, z krótką przerwą na spanie dla poratowania sił. Nie mam pojęcia, co mu jest. Zabezpieczyłem go – wskazał z dumą na szczelną otulinę z koca. – Ale ten wcale nie drapie, nawet nie ucieka. Tylko strasznie miauczy. Dłużej tego nie zniosę.

– Czy ja mogę tego pana poprosić do gabinetu poza kolejnością? – zwróciła się do oczekujących. Początkowo nie byli zadowoleni, ale miauczenie wwierało się im w mózgi, a poziom rozpaczy w tym wołaniu był tak wysoki, że czym prędzej wyrazili zgodę, byle tylko mały dostał pomoc.

Julia weszła do środka i odebrała koc z objęć Bartosza, jakby to było zawiniątko z małym dzieckiem. Na chwilę spojrzała mężczyźnie w oczy i poczuła dziwną, nieznaną wcześniej więź. Szybko jednak otrząsnęła się z tego nieracjonalnego wrażenia. Kot nie zareagował spokojnie na zmianę. Zachrypnął już, ale z jego gardła wciąż wydobywało się rozpaczliwe wołanie o pomoc.

– Chodź tu, maleńki – wyciągnęła ostrożnie chude ciało. Nie wyrywał się. Siedział bierny i zrezygnowany na jej dłoni i wciąż miauczał.

– Już sam nie wiem, co gorsze – powiedział Bartosz. – Tamten rzucał się i drapał, ale przynajmniej wiadomo było, czego się spodziewać, a ten tylko płacze.

– Podejrzewam, że są rodzeństwem – powiedziała Julia, starannie oglądając zabiedzonego kociaka. – Nikt nie potrafi spokojnie znieść smutnego dzieciństwa – dodała. – Ani ludzie, ani zwierzęta. Ale każdy reaguje inaczej. Jeden staje się agresywny, a inny odczuwa rozpaczliwy smutek.

Bartosz nic nie odpowiedział. Julia była nawet na siebie trochę zła. Może dotknęła jakiegoś delikatnego miejsca? To zdumiewające, jak długo niektórzy dorośli noszą w sobie żale z dzieciństwa. Czasem nie mogła się temu nadziwić, że wydawałoby się szczęśliwy, dojrzały mężczyzna, spełniony zawodowo, z udanym życiem rodzinnym wciąż pamięta krzywdy sprzed czterdziestu lat.

Ale nie wypowiadała się na ten temat. Co mogła o tym wiedzieć? Wychowała się w dobrym, pełnym miłości domu. To dało jej wielką siłę.

– Nie płacz – pouczyła kotka. – Jesteś już w dobrych rękach. Znamy sposób na twoje nieszczęście. Dostaniesz opiekę, jedzenie i ciepłe, bezpieczne miejsce do spania.

– To dużo – odezwał się Bartosz. – Niejeden człowiek marzy o takim życiu. Mam tylko nadzieję, że to nie mnie zaplanowałaś na obrońcę tego malucha. Wybacz, ale dwa koty to już prawdziwy kosmos.

– A jak sobie radzi twój pierwszy maluch? Ma jakieś imię? – Julia taktownie nie naciskała. Chciała, by trudna decyzja została podjęta powoli.

– Chciałem go nazwać Bandyta albo Ojciec Chrzestny – Bartosz zmierzwił włosy. – Ale jak się trochę uspokoił, to jakoś przestało to do niego pasować. Na razie mówię do niego Stary – odwrócił wzrok z zakłopotaniem. – Wiem, że to nie najlepszy wybór dla małego kociaka, ale jakoś tak wyszło. To teraz mój towarzysz.

– Nieźle – roześmiała się Julia. – Najważniejsze, żeby wam się podobało. W takim razie ten może będzie Mały. Będą tworzyli zgrany duet.

– O nie – stanowczo zaprotestował Bartosz. – Ja nie znam się na płaczących stworzeniach. Jeszcze nikogo nie udało mi się pocieszyć. Ani żadnej kobiety, ani dziecka. A kota to nawet nie próbowałem.

– Kiedyś zawsze musi przyjść pierwszy raz – powiedziała Julia. – Zabieram go do pokoju zabiegowego. Trzeba mu podać kroplówkę. Jest bardzo wycieńczony, w gorszym stanie niż brat. To aż dziwne, że miał siłę tak głośno miauczeć.

Kociak nagle ucichł i zapadł w drzemkę. Chyba nagle całkiem opadł z sił.

– W ostatniej chwili go uratowałeś – uśmiechnęła się Julia. Jej współpracniczka już przygotowała stół do zabiegu i wzięła kociaka na rękę.

– Obawiam się, że może ich być więcej – powiedziała Julia. – Gdzieś w trawie albo w jakichś opuszczonych budynkach gospodarczych niedaleko twojego domu. Sprawdziłeś?

– Wolałem nie... – Bartosz poprawił grzywkę. – Ja pracuję. Nie mam na nic czasu. Po przeprowadzce dojazdy do firmy pożerają mi wszystkie wolne chwile.

– Rozumiem. Może w takim razie ja tam pojadę. Sprawdzę teren.

Mężczyzna włożył już we włosy obie dłonie i orał niczym średniowieczny chłop.

– Nie bój się – powiedziała Julia takim samym tonem, jakiego użyła wcześniej, zwracając się do kota. – Nie zamierzam obarczać cię opieką nad każdym odnalezionym w chaszczach stworzonkiem. Tym zajmą się specjaliści. Poszukamy im nowego domu. Ty i tak masz już dwa koty.

Bartosz nawet nie zaprotestował. Spojrzał tylko nerwowo na zegarek.

– Jedź do pracy – powiedziała ona. – Odbierzesz kota wieczorem i jeśli nie masz nic przeciwko temu, pojedziemy razem zobaczyć, czy koło twojego domu nie ma więcej takich niespodzianek.

– Dobrze. Dam znać, jak tylko skończę. Zadzwoń – dodał i szybko wyszedł. W sąsiednim pomieszczeniu panowała cisza. Kot spał. Może wreszcie poczuł, że jest naprawdę bezpieczny.

ROZDZIAŁ 10

Gabrysia zaczynała dyżur. Tym razem nie mogła nawet marzyć o tym, by choć na chwilę wymknąć się do Zuzi. Na oddziale panował dzisiaj spory ruch. Przywieziono dwoje dzieci w poważnym stanie i kontrola ich bezpieczeństwa przypadła właśnie Gabrysi. Mogła to robić, zaglądając co jakiś czas do sali, bowiem nowoczesna aparatura sama meldowała najmniejsze nawet odchylenie od normy, ale usiadła obok łóżek i brała co jakiś czas ciepłe, bezwładne dłonie dzieci, by je pogłaskać, coś powiedzieć.

Naukowcy wciąż spierają się na temat tego, czy nieprzytomny człowiek odczuwa w jakiś sposób takie gesty, czy słyszy słowa. Gabrysia była zdecydowaną zwolenniczką tej teorii. Wierzyła w dotyk, moc dobrej energii. Siedziała więc, wpatrywała się w blade twarze dzieci i próbowała wszelkimi sposobami dodać im sił.

Zastanawiała się przez cały czas, co słyhać u Zuzi. Jak mała sobie radzi w nowym miejscu. Czy zaprzyjaźniła się z dziewczynką, obok której ją położono?

Jej mama z pewnością skrywała jakąś tajemnicę. Może nawet niejedną. W czasie ostatniej podróży niczego więcej nie udało się ustalić. Angela przepała całą drogę. Potem wysiadła na jakimś rozwidleniu dróg z dwoma mostami, pożegnała się stanowczo i zniknęła w ciemnościach, kierując się stromą drogą, biegnącą tuż obok rozległego lasu. Mieszkała w małej wiosce położonej wysoko w górach. Dróżka, którą poszła, była pokryta cienką warstwą asfaltu, z pewnością miejscowi bez trudu dojeżdżali nią do domów. Dało się również na niej zawrócić. Angela zapewne użyła takiej wymówki, bo nie chciała, żeby widzieli, w jakich warunkach mieszka. To prowadziło do prostego wniosku, że coś musi być nie w porządku.

Gabrysia spojrzała na zegarek. Do końca dyżuru pozostało jeszcze bardzo dużo czasu. Postanowiła jednak cały wieczór spędzić u Zuzi. Kornel też pracował dzisiaj dłużej, nie powinien więc niepokoić się jej późniejszym powrotem. Naprawdę nie miała zamiaru pakować się w żadne kłopoty, tylko zwyczajnie odwiedzić chore dziecko w szpitalu. Nie było w tym nic dziwnego ani niebezpiecznego.

Ledwo to pomyślała, usłyszała charakterystyczny dźwięk wiadomości telefonicznej. Wyciągnęła aparat. To mama do niej pisała. Gabrysia odruchowo się uśmiechnęła. Mama była bardzo ważną osobą w jej życiu. Skupiała wokół siebie całą rodzinę i bez względu na to, jakie kłopoty spotykały jej bliskich, udawało jej się utrzymać wszystkich razem. Pomagali sobie, wspierali się i ładowali baterie podczas weekendowych obiadów i spontanicznych wspólnych kolacji. Wiadomo było, że niezależnie od pory dnia i roku każdy zostanie nakarmiony i ogrzany.

Mama stanowiła centrum świata. Dopóki tam była, wszyscy czuli się bezpiecznie. A zmartwienia, choć poważne, mogły zostać na chwilę znieczulone.

Będziesz dzisiaj u nas na kolacji?

Gabrysia uśmiechnęła się znowu. Domyśliła się, że mama nie po raz pierwszy napięła

lub nagotowała za dużo i teraz pewnie się głowi, kogo tym wszystkim nakarmić. Przyzwyczajona, że ma dużą rodzinę, zawsze przygotowywała posiłki z rozmachem. Gabrysia sama lubiła gotować, ale chętnie korzystała z zaproszeń mamy. Zwłaszcza kiedy miała dużo pracy. Cieszyła się też, że rodzice po ostatnich kłopotach tak dobrze poukładali swoje sprawy. Tata świetnie sobie radził w nowej księgarni, zarabiał i snuł plany. Anielka się wyprowadziła i jej miejsce zajęła Maryla, odciążając mamę w codziennych obowiązkach. Było dobrze.

Gabrysia po raz kolejny uznała, że nie musi pędzić do rodziców, by udzielać im wsparcia. Nie potrzebowali tego, a ona miała na dzisiejszy wieczór inne plany. Chciała go spędzić w towarzystwie samotnej dziewczynki. Ciągle miała jej twarzyczkę przed oczyma. Pełen przestachu i niepewności wzrok. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby to zmienić.

Dzisiaj nie mogę – odpisała. – Kończę późno. Może jutro.

Odłożyła telefon i natychmiast zapomniała o sprawie. Chłopczyk, którym się dzisiaj opiekowała, poruszył się nagle. Zapiszczały ekrany, a dziecko podniosło powieki. Gabrysia natychmiast wstała i podeszła do niego. Wezwała lekarza i zaraz wokół małego pacjenta zebrał się cały zespół. Twarze mieli uśmiechnięte. Udało się. Operacja przyniosła spodziewane, dobre rezultaty.

* * *

Czy przyjedziesz dzisiaj do nas na kolację? – Tę wiadomość Julia dostała wieczorem. Była już mocno zmęczona. Napływ klientów, który rozpoczął się rano, trwał nieprzerwanie aż do późnego popołudnia. W kasie czuło się przyjemny przypływ gotówki, a w nogach długie godziny spędzone na stojąco. Julia była zadowolona. Lubiała pracę i wyzwania. A fakt, że będzie mogła dzisiaj wieczorem zrealizować wreszcie kilka oczekujących przelewów też poprawiał jej humor. Na wizytę w domu nie miała jednak siły. Mama z tatą świetnie sobie radzili w swoim małym królestwie. Przetwory powoli zapełniały spiżarnię. Ciotka Marta pomagała jak zwykle, nie było potrzeby, by pędzić na pomoc. Tata, szczęśliwy z powodu sukcesu swojego biznesu, nawet się ostatnio przestał skarżyć na serce. Wyglądał też lepiej. Jego twarz nabrała rumieńców, a ruchy młodzieńczej energii.

Nie mogę – odpisała. – Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ściskam Cię serdecznie. Miłego wieczoru. Pozdrów ciocię.

Ledwo odpisała, przyszła wiadomość od Bartosza, że będzie u niej za pół godziny. Wrzuciła więc telefon do torebki i zaczęła się przygotowywać. Zabrała specjalne pojemniki do przewożenia zwierząt i sprawdziła, czy w torbie lekarskiej jest wszystkiego pod dostatkiem. Nie wiadomo było, co zastaną na miejscu. Kiedy nie zostało już nic więcej do zrobienia, podeszła jak zwykle do okna. Odsłoniła lekko żaluzje. Samochód Ksawerego wciąż stał na parkingu. Samotnie. To znaczy, że nie było już żadnych klientów. Szef został, by pełnić nocny dyżur. Widocznie nowa znajomość z piękną dziewczyną niczego nie zmieniła w jego zwyczajach.

Ze mną też by tak było – pomyślała Julia. – Po początkowym etapie ślubnej euforii Ksawery wróciłby do pracy. Tyle lat już tak żyje. Być może nawet nie potrafi inaczej. Mógłby się oczywiście nauczyć, ale do tego potrzeba wielkiej motywacji. Taką daje tylko

prawdziwa miłość.

– No właśnie – westchnęła cicho. – A żadnemu z nas tak naprawdę nie chciało się wprowadzić zmian w życiu. Oboje chcieliśmy szybko wziąć ślub i wracać do swoich zajęć. Dobrze, że tak się nie stało.

Julia pomyślała z wdzięcznością o mamie. To dzięki jej słowom nabrała odwagi, by podjąć trudną decyzję. To oni, oboje z tatą, nauczyli ją nie bać się zmian. Nawet jeśli początkowo płaciło się za taką postawę wysoką cenę.

Tak jak teraz. Ksawery wyszedł właśnie z kliniki, a ona poczuła tę dziwną tęsknotę. Za dawnym, dobrze znanym życiem. Za związkiem, który nie był bardzo uciążliwy, a jednak skutecznie pomagał bronić się przed samotnością.

Jak dziwne są powody, dla których ludzie się ze sobą wiążą – pomyślała. – Strach, rutyna, przypadek. Jak bardzo rzadko jest to prawdziwe uczucie. Dobrze się stało – odwróciła się wreszcie od okna. – Czas zająć się czymś pożytecznym i nie tracić energii na bezproduktywne rozmyślanie.

Ucieszyła się, kiedy zobaczyła samochód Bartosza. Ten mężczyzna rozbierał ją swoją bezradnością, a jednocześnie gotowością, by zrobić wszystko najlepiej, jak można. Zabrała część rzeczy, by je spakować do swojego bagażnika.

– Pozwól, że pomogę – Bartosz rzucił się w jej stronę. – Może pojedziemy jednym autem. Odwiozę cię później. Nie ma sensu marnować benzyny. Chyba że nie chcesz, to oczywiście nie będę się narzucał. – Przeszł się z nogi na nogę, raczej nie czuł się pewnie w tej całej sytuacji.

– Masz rację – powiedziała. – Jeśli tylko nie boisz się transportowania zwierząt w samochodzie, chętnie z tobą pojedę.

Zapytała o to ze względu na doświadczenia z Ksawerym. Właściciel kliniki weterynaryjnej, zawodowo zaangażowany lekarz, prywatnie był wielkim pedantem. W swoim czyściutkim mieszkaniu nie miał żadnych zwierząt i nie tolerował ich również w samochodzie. Jasna tapicerka musiała pozostać nieskalana.

– O czym ty mówisz? – Bartosz otworzył drzwi swojego auta. – To tylko rzecz. Samochód ma służyć mnie, a nie ja jemu. Nie takie rzeczy przewoziłem.

Uśmiechnęła się. Wnętrze było dość czyste, choć wyraźnie wysłużone. Można się było czuć swobodnie.

ROZDZIAŁ 11

– Helenko, kochanie! – Te słowa obudziły ją jak co dzień. Od tak wielu lat. Towarzyszył im delikatny pocałunek. – Może pośpij jeszcze kilka minut, a ja przygotuję śniadanie.

To była pierwsza zmiana. Często dzielili się z Janem domowymi obowiązkami, zwłaszcza w czasach, kiedy dziewczynki były małe. Ale śniadanie prawie zawsze robiła ona. Teraz jednak nie była w stanie podnieść się z pościeli, choć zwykle zrywała się pierwsza. Czuła dziwną słabość. To było nawet przyjemne. Taki przytulny, ciepły bezwład. Niemożność poruszania palcami, wypowiedania jakichkolwiek słów.

Podniosła powieki, kiedy Jan wyszedł z łazienki, i zauważyła jego minę wyrażającą starannie maskowane rozczarowanie. Że jednak żona nie wstała jak zwykle i nie smaży teraz jajek owinięta swoim błękitnym szlafrokiem, lecz wciąż leży w łóżku. Nic jednak nie powiedział, pocałował ją raz jeszcze i sam poszedł do kuchni. Szybkimi ruchami przygotował parówki, zaparzył dobrą herbatę, wesoło przy tym pogwizdując, po czym niewprawnymi ruchami pokroił chleb na grube pajdy.

– Zjesz teraz? – zapytał. – Mogę ci przynieść śniadanie do sypialni.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Nawet pokręcić głową. Jan uznał, że zasnęła z powrotem i wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Żeby wnuki zbiegające na śniadanie jej nie obudziły.

– Nie ma kanapek? – zdziwił się Szymek.

– Ano nie ma – potwierdził Jan. – Dzisiaj my gospodarujemy. Babcia jeszcze śpi. Masz ochotę na pyszne parówki?

– Zawsze – ucieszył się chłopiec.

– To wrzuc jeszcze kilka do garnka. Będzie dla twoich rodziców i brata. Zaraz pewnie zejda.

– Tak. Kuba coś narzeka, że go brzuch boli, ale chyba jednak pójdzie do przedszkola. Mama tak postanowiła.

– Myślisz, że nie ma ochoty iść i trochę udaje?

– Lubi być z babcią – powiedział Szymek. – Siedzą sobie razem, grają w planszówki, jedzą ciastka. Nie ma się co dziwić.

– A ty?

– Ja też lubię, ale tak samo daję radę w zerówce. Kuba jest mniejszy. Gdyby mógł, siedziałby w kółko w domu.

Jan pomyślał, że to dziecięce marzenie w zasadzie byłoby dość proste do zrealizowania. Trzeba będzie na ten temat porozmawiać z Heleną. Może zgodziłaby się zaopiekować małym dwa, trzy dni w tygodniu. Dziecko nie musi przecież codziennie być w przedszkolu. Żona narzekała niedawno na samotność. Może towarzystwo tego fajnego chłopca sprawi jej radość? Rzeczywiście ostatnio dom trochę opustoszał. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami. Ale z drugiej strony jeszcze nigdy nie układało się tak dobrze.

Poczuł jednak delikatne ukłucie wyrzutów sumienia. Wyciągnął parówki z garnka, dokroił jeszcze więcej kromek chleba i zaparzył kolejny dzbanek herbaty. Chciał koniecznie się czymś zająć. Męczył go niepokój.

Dzisiaj wrócę wcześniej – postanowił.

Rzeczywiście trochę się zaniedbał w tych sprawach. Wir pierwszego w życiu prawdziwego sukcesu wciągnął go szybciej, niżby się spodziewał. Całe życie pracował, oszczędzał, budował dom, kształcił córki, zmagał się z codziennymi kłopotami. Może nie cierpieli w życiu wielkiej biedy, ale też nigdy pieniędzy nie starczało na wszystko, a bywały momenty, kiedy musieli naprawdę mocno zaciskać pasa. Gdy po raz pierwszy zobaczył, że może być inaczej, wystraszył się. Że nie będzie umiał tego stanu zachować. Że zmarnuje swoją szansę. Pracował ciężko. Nie dla siebie, ale przede wszystkim dla nich. Heleny i córek. Żeby były bezpieczne. I trochę się zapędził.

– Dzisiaj wrócę wcześniej – powiedział to już na głos, a wnuczek kiwnął głową. Też się ucieszył.

– Cześć, tato – Maryla pocałowała go w policzek. – Gdzie mama?

– Śpi.

– Źle się czuje?

– Nie wiem. Nie skarżyła się na nic. Myślę, że chciała po prostu trochę dłużej poleżeć. Każdy ma przecież takie prawo.

– Jasne – powiedziała Maryla. Nie mogła w pełni skupić się na rozmowie, bo właśnie przygotowywała kanapki, w przerwach dolewała chłopcom herbaty do kubków, bo ostatnio coś za mało pili, i sprawdzała, czy zjedli śniadanie.

– Myjcie zęby i ruszamy – spojrzała na zegarek.

– Tata dzisiaj z nami nie jedzie? – zaniepokoił się Kuba. Wciąż na każdym kroku pilnował rodziców.

– Nie. Jest umówiony z panem, który będzie nam robił nowe schody. Do pracy pojedzie później. Pospieszcie się.

Jan wstał już od stołu. Założył płaszcz i buty. Przed wyjściem zajrzał jeszcze do żony. Leżała z przymkniętymi powiekami. Oddychała spokojnie, miarowo. Spała. W pokoju panował miły półmrok. Delikatne światło poranka wpadało przefiltrowane przez lawendowe zasłony.

– Kocham cię – wyszeptał. Nie chciał jej budzić. Delikatnie zamknął drzwi i szybkim krokiem wyszedł z domu. Jeśli miał wcześniej wrócić, musiał się uporać z całą górą obowiązków w krótszym niż zwykle czasie.

* * *

Helena obudziła się i spojrzała na stary elektroniczny zegarek, pamiętający już tyle poranków. Była jedenasta. Słońce stało wysoko na niebie. W domu panowała zupełna cisza. Wydawało jej się, że nawet sad, w którym zawsze coś szumiało, brzęczało lub stuknęło, teraz pogrążył się w milczeniu.

Podniosła rękę do czoła. Udało jej się to zrobić bez trudu. Było więc trochę lepiej. Podniosła się delikatnie. Zakręciło jej się w głowie, ale zdołała się utrzymać w pozycji

siedzącej.

– Janek! – zawołała, choć zdawała sobie sprawę, że jest za późno. Powinna była poprosić o pomoc rano, kiedy wychodził do pracy. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu swojego telefonu. Nie było go jednak w pobliżu. To Anielka, miłośniczka zdrowego trybu życia, namówiła ją, by nie spała z aparatem przy łóżku. Bo to podobno szkodliwe.

Ale teraz bardzo by się przydało – pomyślała.

– Marylka! – zawołała raz jeszcze z nadzieją, że córka nie wyszła jeszcze do pracy. Odpowiedziała jej cisza. Nawet Marcin, który miał coś ustalać z szefem robotników, gdzieś razem z nim zniknął. Pewnie pojechali po jakieś materiały.

Helena wstała powoli. Podeszła do okna, otworzyła je i zaczerpnęła świeżego powietrza. Nie było tak źle. Kryzys minął. Patrzyła na swój ukochany sad i właściwie teraz łatwo było uwierzyć, że nic poważnego jej nie dolega. Chłodne jesienne powietrze mile orzeźwiało. Ale to nie był zwyczajny dzień. Nie mogła się opędzić od przewijających się w jej głowie obrazów. Na przemian stawały jej przed oczami wszystkie początki i każdy koniec. Narodziny dzieci, śluby, pierwsze dni w pracy, nowe przyjaźnie, podróże. A potem pożegnania, ostatnie dni bliskich, rozwód Maryli, wyjazdy na dłużej, katastrofy i kłopoty. Życiowa plecionka losu.

Odwróciła się od okna i poszła do kuchni. Tak jak stała, w koszuli nocnej, nieuczesana i zaspana zaczęła piec chleb. Zwykłą gumką recepturką związała tylko włosy, żeby nie wpadały do ciasta, umyła ręce i zabrała się do pracy. Nie wiedziała, co ją pcha do tego wymagającego wysiłku zajęcia. Czemu nie może usiąść i odpocząć. Ale siła pragnienia była wielka i szybko jej się poddała.

Wytarła stół, po czym przyniosła wszystkie składniki. Starannie przesiała mąkę do starej, drewnianej miski, której do tego celu używała jeszcze jej mama, a wcześniej babcia. Potem zrobiła w środku niewielki dołek, wkruszyła drożdże i zalała ciepłą wodą, dołożyła im łyżkę miodu, żeby ładnie rosły, i zrobiła zaczyn, delikatnie mieszając. Odstawiła na blat. Przykryła bielutką, lnianą ściereczką. Po kuchni powoli zaczynał się rozchodzić ten jedyny w swoim rodzaju aromat.

Helena poszła do łazienki i wzięła prysznic. Wyciągnęła z szafy najładniejszą sukienkę. Może nie była szczytem elegancji, ale bardzo ją lubiła. Uszyta według mody z lat siedemdziesiątych z rozkloszowaną spódnicą w maki. Założyła ją i zakręciła się po pokoju. Sukienka wirowała wraz z nią. Potem pomalowała się starannie i związała włosy w koczek. Gdyby nie delikatne zmarszczki wokół oczu, można by powiedzieć, że wciąż ma dwadzieścia lat. Za chwilę pójdzie gorącą od słońca ścieżką przez łąkę i tam spotka Jana. Jej życie się określi, zapieczętuje.

Spojrzała w okno. Pogoda była zupełnie inna niż tamtego letniego dnia. Niebo zasnuły właśnie ciężkie chmury. Gałęzie w sadzie już nie milczały, tylko kołysały się złowieszczo. Zrobiło się zimno. Czym prędzej zamknęła okno.

Wróciła do kuchni. Zapaliła kilka świec, żeby zrobiło się przyjemniej, i spojrzała pod ściereczkę. Ciasto pięknie rosło. Wzięła głęboki wdech, by delektować się ulubionym zapachem. Dodała soli i jeszcze więcej letniej wody, ponownie wyrobiła całość. Po dwóch godzinach na stole stały już blaszki wypełnione posmarowanymi białkiem bochenkami. Włożyła je do nagrzanego pieca i usiadła na krześle. Starła się odpędzać te myśli, ale

wyraźnie nie czuła się dobrze. Było jej słabo, klatka piersiowa zdawała się kurczyć, ściskając jak w imadle serce i utrudniając zaczerpnięcie powietrza. Kluczowe sceny z życia z coraz większą prędkością przewijały jej się przez głowę.

Kiedy chleb się upiekł i w całym domu pięknie pachniało, Helena podeszła do furtki. Wiatr szarpał jej sukienkę i rozwiewał włosy z koka, który się rozsypał. Złapała się z całych sił szczebli bramy i spojrzała w głąb pustej ulicy. Czuła się bardzo źle. Potrzebowała pomocy.

Wzięła do ręki telefon i zadzwoniła do Maryli. Ale jej energiczna córka, zwykle odbierająca po pierwszym sygnale, tym razem nie zareagowała.

* * *

Maryla pędziła z przystanku w stronę osiedla. Ustalili, że dzisiaj Marcin zabiera samochód, by zacząć proces przewożenia swoich rzeczy. Wciąż nie wypowiedział umowy najmu swojego starego mieszkania. Częściowo dlatego, że nie było gdzie poukładać kolejnych ubrań, drobiazgów i sprzętu elektronicznego, przeciągający się bowiem remont powodował potężny chaos. Ale Maryla podejrzewała, że mąż traktuje to również jako swoisty wentyl bezpieczeństwa. Zaryzykowali oboje. Decyzję podjęli dość szybko, wiedząc, że w takich sytuacjach namysł nic nie daje. Nie da się przewidzieć, jak taka próba się skończy.

Dzisiaj mieli wykonać kolejny krok. Przeprowadzić Marcina na dobre. Maryla była bardzo przejęta. Przebiegła przez skrzyżowanie, tramwaj zapiszczał na zakręcie, wydawało jej się, że komórka dzwoni w torebce, ale w ogólnym szumie ulicznym dźwięk trochę ginał. Sięgnęła dłonią w stronę zamka, by go odsunąć, i w tej samej chwili zatrzymała się gwałtownie, omal nie wpadając pod kolejny tramwaj, nadjeżdżający z przeciwnej strony.

Pod blokiem, w którym znajdowało się mieszkanie Marcina, stała Paulinka. Odległość była spora, ale Maryla rozpoznała ją bez trudu. Niebotycznie wysokie szpilki, sukienka z obfitym dołem, targanym teraz wiatrem, i rozpuszczone, jasne włosy. Koncentrat beztroski, lekkiego życia i przyjemności.

Ból był nieporównywalny do niczego, co Maryla czuła kiedykolwiek wcześniej. Zabrakło jej tchu i skuliła się w pół.

– Źle się pani czuje? – ktoś do niej podszedł i bezpiecznie przeprowadził przez skrzyżowanie. – Proszę usiąść, tu jest przystanek z ławeczką.

– Dziękuję – wyprostowała się i aż jej się ciemno zrobiło przed oczami. – Nic mi nie jest – powiedziała mimo tego. – Muszę iść.

Zrobiła kilka chwiejnych kroków, po czym zdecydowanie ruszyła przed siebie. Co miała myśleć? Jak rozumieć tę sytuację? Mózg odmawiał współpracy.

Nie wolno oceniać po pozorach. Może to był zbieg okoliczności? Była kobieta jej męża pojawiła się tutaj przypadkiem (albo nawet celowo), by zdenerwować łatwą do sprowokowania żonę. To byłaby słuszna taktyka, dowodząca, że pod spalonymi farbą blond włosami sprawnie działa pełen sprytu mózg. Maryla była całkowicie wyprowadzona z równowagi. Jeszcze dziesięć minut temu jechała autobusem, patrzyła w okno, ale

zamiast miejskiego krajobrazu pod powiekami przewijały jej się wspomnienia tej i kilku ostatnich nocy. Czy to wszystko mogło być oszustwem?

Marcin udawał? Prowadził podwójne życie? Właśnie dlatego nie chciał rezygnować z własnego mieszkania?

Musiała przysiąc na chwilę na ławce i skulić się mocno, żeby choć trochę się opanować. Jeszcze nigdy żaden ból nie był tak dotkliwy. Kiedyś w przeszłości oboje zapracowali na swoją małżeńską klęskę. Zdradzili się nawzajem. Opuścili już w czasie, kiedy jeszcze razem mieszkali. I choć czuła, że racja jest bardziej po jej stronie, to jednak dopuszczała i taką możliwość, że nie jest do końca obiektywna. Marcin także miał swoje argumenty i pozostawało tylko sobie nawzajem wybaczyć.

Ale to? Takie oszustwo?

Jej z trudem odbudowane poczucie bezpieczeństwa było zbyt słabe, by udźwignąć taki ciężar. Rozsypało się jak domek z kart. Chciało jej się płakać, wyć albo rzucić się na nich i bez pytania o jakiegokolwiek wyjaśnienia po prostu wydrapać im obojgu oczy.

Podniosła głowę. Rozmawiali ze sobą. Chyba dość spokojnie, jakby to było zupełnie normalne spotkanie. Dopiero na koniec Marcin jakby się zniecierpliwił i pożegnał pośpiesznie. Paulinka odeszła, kołysząc zalotnie biodrami. Spódnica owijała jej się wokół zgrabnych ud, włosy spływały po plecach. Marcin stał chwilę i patrzył w jej stronę, jakby chciał się upewnić, że naprawdę odeszła. A potem gwałtownie się odwrócił i pobiegł w stronę ławki, na której wciąż siedziała Maryla.

– Dobrze, że poczekałaś – zawołał, ledwo dopadł tego miejsca i usiadł obok żony. – Szkoda by było twoich nerwów na to spotkanie. Ale czemu jesteś taka blada? – dopiero teraz zauważył, że jego żona nie usiadła tutaj po prostu, żeby poczekać, ale ledwo oddycha.

– Nie! – zawołał urażony. – Tylko mi nie mów, że masz jakieś głupie podejrzenia! – Nie starał się nawet ukryć, że jest mu przykro. – Przy takim poziomie zaufania daleko nie zajdziemy – dodał zdenerwowany. – Nie mam wpływu na to, kogo spotykam przypadkiem na chodniku lub kto staje na nim celowo, żeby ze mną porozmawiać. Przecież nie będę uciekał.

– Mógłbyś – powiedziała, a jej oddech trochę się uspokoił. – A jeszcze lepiej pogonić ją jak najdalej. Kijem.

– Mnie to nie śmieszy – odparł Marcin. Potarł czoło.

– Wiem – westchnęła. – Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czego chciała od ciebie? To jakaś osobista sprawa?

Znowu zabolalo. Zazdrość to mocno palące uczucie. Potrafi dokuczyć. A w związku po przejściach może być szczególnie raniące.

– Nie poddaje się – Marcin nie uznał za stosowne podać jakiegoś znieczulenia przed główną wiadomością. Od razu przeszedł do sedna: – Ma nadzieję, że jeszcze możemy być razem. Ale to już zamknięta sprawa.

Zamilkł, a ona nie zamierzała odzywać się pierwsza. Już się nauczyła, że w takiej sytuacji niektórych spraw nie warto drażnić. Co bowiem mogła uzyskać? Zapewnienia być może bez pokrycia? Wyczerpującą kłótnię? Niepotrzebne rozgrzebywanie starych żalów?

To jednak nie było takie proste. Najpierw musiała się uspokoić. To zajęło prawie

kwadrans. Marcin nie naciskał. Siedział obok i czekał cierpliwie. Może też miał jakieś sprawy do przemyślenia? Zaraz potem Maryla poczuła gwałtowną pokusę, by zadzwonić do mamy. Poradzić się jej, zapytać, co robić. Czy warto jeszcze jeden raz zaufać.

Ale nawet nie wyciągnęła telefonu. Dobrze wiedziała, co powie mama. Miała za sobą wiele takich rozmów. Wystarczająco dużo, by móc radzić sobie w życiu samodzielnie. Podjąć słuszną decyzję.

Mama udzieliłaby jej dobrej rady. Jakiegokolwiek trudne doświadczenia by nas nie spotkały, nie wolno tracić ufności wobec ludzi. Pozwolić, by serce ze strachu przed kolejnym zranieniem stało się zbyt twarde. Można się bowiem łatwo przemienić w zgorzkniałego, przedwcześnie starego człowieka, który na nic dobrego już nie czeka i w związku z tym niczego też nie dostanie.

Spojrzała na rozciągający się nieopodal trawnik pokryty żółtymi liśćmi jak w sadzie koło domu. Ten widok podziałał na nią kojąco. Zaczepnęła mocno powietrza.

– Chodźmy – podniosła się i podała mu rękę. Sporo ją to kosztowało. Ale innego dobrego wyjścia nie było. Musieli od nowa sobie zaufać.

– Dobrze – Marcin wstał i nawet uśmiechnął się nieznacznie.

Też nie było mu łatwo. Maryla codziennie chodziła do biura i spędzała osiem godzin w miejscu, gdzie pracował również Andrzej. Mężczyzna, z którym się kiedyś spotykała. Marcin musiał wyłączyć myślenie, żeby się ciągle nie zastanawiać, czy ona dokonuje porównań, który z nich jest lepszy w łóżku, czy żałuje swojej decyzji.

Otrząsnął się i stanął obok żony.

– Spakowałem część kartonów – powiedział. – I nie muszę już dzisiaj wracać do pracy. Szef się szarpnął i dał mi dzień urlopu.

– To fajnie – uśmiechnęła się. – Ja też nie muszę się spieszyć. Mamy czas do zamknięcia przedszkola. A jeśli nam się przeciągnie, to poprosimy mamę albo ciocię Martę, żeby odebrały chłopców.

– Twoja mama jakoś niewyraźnie dzisiaj wyglądała. Zajrzałem do niej tuż przed wyjściem. Mówiła, że niczego nie potrzebuje, ale odniosłem inne wrażenie. – Marcin potarł dłonią czoło i zmrużył oczy, jakby raziło go słońce.

– Nie zauważyłam – odparła Maryla. – Mama zawsze miała jasną cerę, ale może jest w tym, co mówisz, trochę racji. Ostatnio jest bardziej blada niż zwykle. Chyba źle znosi nieobecność taty w domu. Wiesz, oni całe życie ciągle byli razem.

– Teraz już chyba nie ma takich związków. Rozumieją się bez słów.

Jak my kiedyś – pomyślała Maryla, ale nie powiedziała tego na głos.

– Chodźmy – Marcin objął ją, a ona przestała główkować, zastanawiać się i wyciągać wnioski. Po prostu starała się cieszyć tym, co jest. Przed resztą i tak nie była w stanie się zabezpieczyć.

– Wyrzuciłem moje ukochane swetry – pochwalił się.

– Doceniam – posłała mu uśmiech. Wiele razy już go prosiła, żeby wymienić garderobę, bo za bardzo się przywiązywał do ubrań, chodził w nich do skutku, czasem całymi latami w tych samych.

– Parę całkiem dobrych koszul także.

– To już jest prawdziwa zmiana życiowa – przyznała.

– Żebyś wiedziała, że tak się właśnie czuję – Marcin objął ją mocno. – Nie wiem wcale, czy nam się uda. Ale chciałbym, żeby tak było.

– Mnie to wystarczy – odpowiedziała. – Też się boję. Myślę jednak, że dobrze robimy.

Ruszyli razem w stronę mieszkania.

– Musimy się pospieszyć – powiedział Marcin. – Umówiłem się z kumplem na jutro. Pomoże mi przynieść rzeczy i przewiezie swoim autem. Jest dużo większe od naszego.

– Nie martw się. Ze wszystkim zdążymy. Jeśli tylko nie będziemy marnować czasu – spojrzała na niego i mrugnęła z czytelną aluzją.

– Gwarancji dać nie mogę – uśmiechnął się Marcin. – Trudno – dodał po chwili. – Najwyżej przełożymy przeprowadzkę o jeszcze jeden dzień. Świat się z tego powodu nie zawali.

– Nie powinien – odparła Maryla. Teraz już się cieszyła, że nie zrobiła awantury. Nie wdała się w jakieś pełne wyrzutów dyskusje. Straciliby oboje dobre popołudnie. Co z niego wyniknie, tego jeszcze nie wiedziała. Być może sprawy przeprowadzki nie posuną się aż tak bardzo do przodu. Ale oni na pewno przeżyją fajne chwile, a to także coś niezwykle cennego.

Weszli do mieszkania i już w progu zaczęli się całować. Maryla rzuciła torebkę na stos ubrań w przedpokoju. Po chwili poleciała na nią kurtka Marcina i kolejne części garderoby. Pobiegli do pokoju, a drzwi za nimi się zatrzasnęły. Nie usłyszeli dzwoniącego po raz kolejny telefonu.

ROZDZIAŁ 12

Gabrysia czuła się jak przestępca. Taki najgorszej kategorii, bo w pełni świadomy tego, co robi. Wiedziała, że gdyby Kornel domyślił się, co planuje jego żona, natychmiast wróciłby do domu i porządnie zmył jej głowę. Miałby rację. Wszystkie rozsądne argumenty za tym przemawiały. Ale nie uczucia. One pchały Gabrysię ku innym czynom. Wyłączyła telefon. Nie chciała teraz rozmawiać z nikim. Zwłaszcza z mężem.

Wrzuciła smartfon do torebki. Rozejrzała się wokół. Miała ochotę zabrać tyle rzeczy. Ale bała się występować w roli dobrej ciotki. Przychodzić nieproszona z siatami pełnymi darów, które krępują odbiorcę. Wizyta i tak miała być niezapowiedziana, więc to już samo w sobie stanowiło trudność. Woląca nie mnożyć komplikacji.

Wyszła z mieszkania, rozglądając się trwożnie na boki, jakby się spodziewała, że przypadkowy świadek może odczytać jej zamiary i zadzwonić do Kornela albo, co gorsza, do mamy. Nie odebrała dzisiaj od niej dwóch połączeń. Nie miała ochoty kłamać, a wiedziała, że mama nie pochwaliłaby jej planu.

No i co z tego? – pomyślała buntowniczo, zamykając drzwi. – Cały czas słucham mamy. Jestem cierpliwa i opanowana jak angielska dama. Zachowałam spokój, kiedy ta smarkula Eliza przystawiała się do mojego męża, znoszę narzekania matek, które mi się żalą, że wcale nie chciały swojego dziecka, i nie mówię im w oczy, co o tym myślę. Co miesiąc płaczę w łazience nad własnym pogrzebanym marzeniem. A wreszcie dość tego!

Maszerowała rażno w stronę parkingu. I jeszcze się nakręcała. Potrzebowała tej odwagi. Tego oburzenia.

Od trzech tygodni w charakterystyczny miesięczkowy sposób bolały ją brzuch i plecy. To było normalne. Przedłużające się cykle, niepotrzebna nadzieja, dziesiątki testów ciążowych. Wszystko na próżno.

Teraz nie zrobiłam – miała ochotę krzyknąć w niebo. – Wygraliście. Już nie mam nadziei.

Wsiadła do auta i ruszyła w drogę. W nawigacji odszukała ostatnio wpisany adres. Nastawiła głośno muzykę i włączyła się do ruchu na głównej drodze. Była zmęczona po nocnym dyżurze, ale chciała wykorzystać szansę, jaką daje wolny dzień. Ostatnio dużo pracowała. Trochę z powodu kredytu mieszkaniowego, który chcieli z Kornelem spłacić możliwie najszybciej, ale przede wszystkim, by zagłuszyć ból.

Podnosiła pacjentów, myła ich. Czasem dźwigała pudełka z lekami, wyręczając koleżanki, i specjalnie rwała się do cięższych prac, bo chciała już, żeby ten przedłużający się cykl wreszcie się zakończył. Ciągły, monotony, może nie bardzo mocny, ale cały czas wyraźnie wyczuwalny ból pleców silny dawał jej się we znaki. Była z siebie dumna. Już nie zadreśla Kornela oczekiwaniem. Nie snuła planów, nie liczyła dni. Nauczyła się przyjmować wszystko ze spokojem.

Wlokła się właśnie za ciężarówką, której na pełnej zakrętów drodze nie sposób było

wyprzedzić, i spoglądała na boki. Widok był coraz ładniejszy. Na horyzoncie pojawiły się góry. Najpierw daleko, a potem coraz bliżej, po obu stronach drogi. Było pięknie. Godzinę później dojechała do rozwidlenia dróg. Zaparkowała na poboczu, wjeżdżając w jakieś chaszczce, i zostawiła samochód. Wysiadła i z ulgą wyprostowała obolałe plecy. W krzyżu mocno ją rwało. Miała nadzieję, że dzisiaj wreszcie się to skończy.

Doszła do mostu, za którym zniknęła tamtego wieczoru mama Zuzi. Zatrzymała się na środku i oparła o balustradę. Dołem płynęła wartka górską rzeczka. Dość płytka. Widać było kamienie na dnie. Woda sprawiała wrażenie czyściutkiej i chłodnej. Szumiała uspokajająco. Gabrysia zamyśliła się. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy to dobry pomysł pchać się z butami w czyjeś życie.

Ale wspomnienie Zuzi mobilizowało ją do działań. Chciała sprawdzić, czy dziewczynka jest bezpieczna. Czy po szpitalnych przeżyciach będzie miała dokąd wrócić. Nagle drgnęła. Zobaczyła młodą kobietę o wyjątkowo pięknych, ciemnych włosach, która szła z góry, pchając podwójny wózek. Siedziało w nim dwóch chłopców. Ale nie byli bliźniakami. Jeden był malutki, mógł mieć może roczek, a drugi był kilkanaście miesięcy starszy. Obok wózka podskakiwała śliczna dziewczynka. Odziedziczyła po mamie falujące włosy i ciemne oczy.

– Zosiu, nie tak szybko – zawołała jej mama, kiedy mała zaczęła biec z góry w kierunku mostu. – Zatrzymaj się i poczekaj.

Kobieta przyspieszyła kroku, żeby dogonić dziewczynkę, co bardzo spodobało się siedzącym w wózku malcom. Śmiali się w głos.

Gabrysia zapatrzyła się na te wspaniałe dzieciaki. Nie widziała pokrażonych oczu ich matki. Nie myślała teraz o codziennym trudzie, jakim z pewnością jest wychowywanie takiej gromadki. Serce ścisnęło jej się, ogarnięte zazdrością. Brzuch bolał coraz bardziej. Wiedziała, co stanie się za chwilę.

Z trudem odpowiedziała uśmiechem na uprzejme pozdrowienie czarnowłosej matki, która minęła ją szybko, bo niesforna córeczka była już daleko za zakrętem. Gabrysia oderwała się od balustrady. Powinna była zapytać o drogę, ale nie zdążyła.

Taki właśnie miała plan. Dowiedzieć się od sąsiadów, który to dom. Znała nazwisko Zuzi, więc nie przewidywała większych trudności. Na razie szła powoli pnącą się pod górę drogą i napawała pięknem otoczenia. Z jednej strony droga przylegała do lasu, w głębi którego wił się głęboki jar, a z drugiej rozciągał się widok na łąki. Czyste powietrze napełniało płuca i dodawało sił. Gabrysia na chwilę zapomniała o wszystkich swoich zmartwieniach. Nawet brzuch przestał ją boleć.

Minęła pierwsze domy. Nie spotkała jednak nikogo. Doszła do przydrożnej kapliczki położonej w cieniu trzech wielkich lip, po czym usiadła na ławce. Odpoczywała. Była teraz bardzo zadowolona, że zdecydowała się na tę wyprawę. Nawet jeśli nie uda jej się znaleźć mamy Zuzi, to i tak dzień będzie udany. Piękne widoki, górskie powietrze, trochę odpoczynku od codzienności – to wszystko też miało swoją wartość.

Od strony położonych wyżej budynków nadchodził jakiś młody chłopak. Nie budził dobrych skojarzeń. Niski i krępy, rzucał dookoła dość nieprzyjemne spojrzenia. Mimo tego Gabrysia postanowiła zaryzykować.

– Dzień dobry – przywitała się. Chłopak przystanął, ale nie odpowiedział. Widać, tak

daleko jego uprzejmość nie sięgała.

– Szukam pani Karęckiej. Mamy Zuzi – dodała. – Wiesz może, gdzie mieszka?

– Co bym miał nie wiedzieć? – odparł chłopak. – Każdy wie.

Ja nie – pomyślała Gabrysia, ale nie powiedziała tego głośno. Bała się spłoszyć nieufnego informatora.

– Możesz mi pokazać, gdzie to jest?

– Przecież tam – wskazał dom stojący nieopodal i spojrzał na Gabrysię z poczuciem wyższości. Pewnie sądził, że sama powinna się domyślić.

– Dziękuję ci – powiedziała, a on stał jeszcze przez chwilę, patrząc na nią intensywnie, aż poczuła się nieswojo. W końcu jednak ruszył dalej, a ona odetchnęła z ulgą.

Spojrzała w stronę domu Angeli. Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Typowy parterowy budynek z jaskółką, charakterystyczny dla lat siedemdziesiątych. Podświadomie spodziewała się starej chałupy, ale jej przypuszczenia się nie potwierdziły. Dom był zadbany. Elewacja i dach świeżo odnowione, a do bramki wiodła ścieżka, ładnie wyłożona kostką brukową. Tylko nieskoszona, dość wysoka trawa psuła ten sielski widok.

Gabrysia podeszła do furtki i dopiero teraz poczuła prawdziwą treść. Zwykle zachowywała się z daleko idącym taktem. Tak została wychowana. Mocna, niebezpieczna więź, jaka ją połączyła z obcą dziewczynką, pchała ją do czynów, do których nie była przyzwyczajona. Stała tam dłuższą chwilę, nie mając odwagi nacisnąć dzwonka.

– Nie wierzę własnym oczom – Angela wyszła z domu. – To już przechodzi wszelkie pojęcie.

– Wiem – pokornie odparła Gabrysia. – Miałam wolny dzień i nie mogłam się powstrzymać, choć pewnie powinnam była. Ale martwię się...

– Niepotrzebnie – Angela zeszła kilka stopni niżej po prowadzących do wejścia schodach. Podtrzymała dłonią wielki brzuch.

– Możliwe – powiedziała Gabrysia. – Ale wpuść mnie, proszę. Nie czuję się najlepiej.

– Pod bramką cię nie zostawię – odparła Angela. – Choć mam wrażenie, jakby mnie teściowa wizytowała. Ona też zawsze zjawia się bez zapowiedzi i potem szczegółowo omawia, ile szklanek po herbacie stało na kuchennych blatach, kiedy jej zdaniem ostatni raz była myta podłoga i jak można dopuścić do takiego stanu czystości okien. Można, łatwo. Wystarczy być w ciąży.

– Współczuję – powiedziała Gabrysia i weszła do środka.

– Nie jest tak źle – uśmiechnęła się Angela. – Na szczęście teściowa mieszka bardzo daleko. Rzadko mnie odwiedza. Da się wytrzymać. Proszę – otworzyła przed gościem drzwi. – Możesz dokonać tej swojej inspekcji.

– To nie tak.

– Już się nie tłumacz. Głupia nie jestem. Twoje przypuszczenia zaraz się potwierdzą. Nie radzę sobie ze wszystkim.

Weszły do środka. Główny pokój urządzony był skromnie. Prowadziły z niego otwarte drzwi do kuchni. Rzeczywiście, wewnątrz zdradzało, że gospodyni ma pewien problem z zachowaniem płynności w porządkowaniu otoczenia. W zlewie stały brudne naczynia, podłoga pilnie wymagała starcia, a koc na kanapie był niedbale zwinięty. Na fotelu leżało pranie.

– Zaraz to zabiorę – Angela zaczęła pospiesznie przekładać rzeczy.

– Daj spokój. Usiądź wreszcie. Przyjechałam po prostu porozmawiać. Nie chcę, żebyś się z mojego powodu stresowała.

– Mnie tam już nic nie rusza – machnęła dłonią Angela. – Możesz mieć o mnie opinię, jaką tylko chcesz. Mam inne zmartwienia. Nie wierzę, że jeszcze kiedykolwiek moje życie się ułoży. Sprzątanie też nie ma dla mnie znaczenia – rozejrzała się wokół. – Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma Zuzi.

– Rozumiem. Wbrew pozorom wiem, co to znaczy, kiedy człowiek niczego dobrego już się nie spodziewa.

Angela spojrzała na nią ze współczuciem. Była dzisiaj w dużo lepszej formie niż podczas odwiedzin w szpitalu. Być może we własnym domu czuła się pewniej. Nikt jej tutaj nie osądzał i nie krytykował. Ładnie wyglądała w luźnej tunice i getrach, podkreślających zgrabne nogi.

– Poczęstuję cię kawą – zaproponowała.

– Dziękuję – odpowiedziała Gabrysia. – Przyda się. Tak jak mówiłam, jakoś niespecjalnie dobrze się dzisiaj czuję, choć i tak lepiej niż wczoraj wieczorem. Odpoczywam tutaj od pracy, miasta i tych samych, codziennych widoków.

– Też czasem tak mam. Widok za oknem wystarcza mi, żeby się uspokoić. Ale niestety, nie zawsze to działa.

– Jesteś sama?

– Tak – westchnęła Angela. Czuła, że zaczyna się przesłuchanie. – Mój mąż wyjechał dwa miesiące temu do Anglii. Skłamałam, kiedy wam powiedziałam, że po mnie wyjdzie. Wstyd mi się było przyznać, że nie mam na kogo liczyć. Nie chciał już tutaj dłużej pracować. Cały czas się boi, że wychowanie drugiego dziecka nas przerośnie.

– Przecież to nie jest tak dużo pracy ani pieniędzy – wyrwało się Gabrysi. Czasem nie rozumiała matek.

– Zależy dla kogo. My mamy dach nad głową. Dostaliśmy ten dom w spadku, ale był w fatalnym stanie. Remont sporo kosztował, choć Maciek, mój mąż, dużo zrobił sam, bo na co dzień pracuje w firmie budowlanej. Musieliśmy jednak wziąć kredyt.

– Rozumiem – to była kurtuazyjna odpowiedź. Nie do końca szczerą. Angela chyba to wyczuła.

– Spróbuj to sobie wyobrazić. Jesteśmy młodym małżeństwem. Dostaliśmy po moich rodzicach zapuszczone gospodarstwo i stary dom, w którym nic nie działało. Ciężko oboje pracowaliśmy. Maciek całymi dniami na obcych budowach, a wieczorem i w nocy u siebie. Czasem był tak zmęczony, że zasypiał nad śniadaniem. A dziecko po nocach płakało. Zuzia zawsze była chorowita. To nie pierwszy nasz pobyt w szpitalu.

– Wiem – powiedziała Gabrysia trochę oschle.

– No właśnie. Więc nie dziw się, że kiedy dowiedziałam się, że znowu jestem w ciąży, trochę nas to podłamało. Nie tak łatwo zostawić całe gospodarstwo ze zwierzakami i wiecznie pilną robotą i jechać na cały dzień do Krakowa. Zwłaszcza w dziewiątym miesiącu ciąży.

Rozum Gabrysi przyjmował te wszystkie argumenty, ale jej serce zupełnie je odrzucało.

– Tym bardziej że szef Maćka jest ojcem trójki dzieciaków – mówiła dalej Angela. –

Urodziły mu się prawie rok po roku. Ciągłe opowiada, jakie to trudne. Ile trzeba pieniędzy. Chyba zaraził mojego męża tym strachem.

– To może być prawda – pokiwała głową Gabrysia. Dobrze wiedziała, że nastroje mogą się udzielać.

– A potem nagle pojawiła się propozycja wyjazdu i Maciek się zgodził. Choć prosiłam go, żeby nie brał tej roboty – odwróciła głowę i znowu zacisnęła usta w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Zostałaś sama?

– Tak – Angela otarła oczy. – Z dzieckiem, które ciągle choruje i nikt nie wie, co mu jest. Z gospodarstwem, zwierzętami, polem, domem i wszystkim. Nieprzerobiona praca, choćby człowiek harował cały dzień. A Maciek dzwoni coraz rzadziej, odsuwa w czasie odwiedziny, a przecież wie, że poród już niedługo. Czasem myślę, że rzucę to wszystko. Pójdę przed siebie i już nie wrócę. Zacznę wszystko od nowa!

– To niemożliwe – wystraszyła się Gabrysia.

– Wiem – westchnęła Angela. – Bo mam dzieci. Macierzyństwo nie jest tak proste, jak się niektórym wydaje.

– Ani tak ciężkie, jak niektórzy próbują sobie wmówić.

Angela uśmiechnęła się.

– Jednak dobrze, że przyszłaś. Siedziałabym tutaj sama. Zamartwiałabym się, a tak, niespodziewanie będę mieć towarzystwo. Nawet nie wiesz, jak ciężko człowiekowi, kiedy jest sam.

– Wiem – twardo odparła Gabrysia. – Ale dość o tym. Mogę skorzystać z łazienki? – Ból brzucha znacznie się wzmógł.

– Jasne – powiedziała Angela. – Tam mogę wpuścić o każdej porze nawet moją teściową. Zawsze mam porządek.

– Nie o to chodzi. Po prostu brzuch mnie boli. Już chyba trzeci tydzień po terminie. Zaraz zwariuję, jeśli to się wreszcie nie skończy.

– Znam to uczucie. Ale czasem można się pomylić. Mnie też tak bolało. Czekałam długo i potem wyszło, że jestem w ciąży. Lepiej zrób sobie test.

– Jesteś pierwszą osobą od dziesięciu lat, która mi to mówi – Gabrysia już się nawet nie denerwowała. Brak nadziei paradoksalnie przyniósł jej spokój. – Bo u mnie w domu wszyscy tylko mi radzą, żebym wreszcie przestała, bo to nie ma sensu.

– Nie jestem tego taka pewna – Angela przyjrzała się jej z bliska. Być może dlatego, że sama oczekiwała dziecka, była mocniej wyczulona na niektóre symptomy.

Gabrysia weszła do łazienki. Rzeczywiście, jej wnętrze było nieskazitelne. Jasnozielone płytki były starannie wyczyszczone, armatura błyszcząca, a dekoracje dobrano gustownie. Rozejrzała się wokół z podziwem.

Była zadowolona ze swojej decyzji. Przestała się już tak mocno martwić o Zuzię. Jej mama była fajną kobietą. Trochę przytłoczoną ewidentnym małżeńskim kryzysem i ostatnim miesiącem ciąży, ale dobrą z natury.

Westchnęła ciężko, bo u niej z kolei nic się nie zmieniło. Miesiączka nie nadchodziła. Umyła starannie dłonie, wytarła w miękki ręcznik, po czym otworzyła drzwi.

Czuła przyjemne oczekiwanie na myśl o dalszej rozmowie z Angielą. Bardzo się różniły,

właściwie pod każdym względem, ale Gabrysia czuła się tutaj wyjątkowo swobodnie. Nie miało znaczenia, ile lat stara się o dziecko. Nikt tu nie był świadkiem jej comiesięcznych rozczarowań, nie czekał nadaremnie razem z nią i nie udzielał jej dobrych rad.

– Kawa gotowa – gospodyni postawiła dwa kubki na stoliku. – Pijesz z cukrem?

– Zwykle nie, ale dzisiaj poproszę. Ciśnienie chyba spada. Okropnie chce mi się spać.

– Ja bym na twoim miejscu zrobiła test – powtórzyła Angela.

– Daj spokój. Dziesiątki razy już przez to przechodziłam i nie mam ochoty na powtórkę.

Wreszcie nauczyłam się przyjmować moje zmagania ze spokojem. Nie chcę tego zmieniać.

Zadzwonił telefon, a Angela rzuciła się w jego stronę. Jakby w tej jednej chwili ubyło jej dwadzieścia kilogramów, które przyniosła ze sobą ciąża.

– To Zuzia – ucieszyła się, ale widać było, że czeka też na inną ważną rozmowę.

Z mężem. – Cześć, kochana. Jak się dzisiaj czujesz?

Gabrysia wstała i wyszła na niewielki taras, żeby nie przeszkadzać w rozmowie. Ale nie dało się nie słyszeć coraz głośniejszych słów Angeli.

– O czym ty dziecko mówisz? – krzyczała do słuchawki. – Skąd wiesz takie rzeczy?

Gabrysia poczuła strach. Zrobiło jej się zimno, a ból brzucha stał się bardziej intensywny. Czuła, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Po dłuższej chwili na tarasie pojawiła się Angela. Była blada i na tym tle mocniej rysowały się na jej twarzy i szyi czerwone, nieregularne plamy. Oddychała dziwnie głośno.

– Wynoś się! – wskazała dłonią wyjście. – Ale natychmiast.

Gabrysia omal nie zakrztusiła się kawą. Nigdy w życiu nikt jeszcze tak do niej nie mówił. Była w szoku. Stała w miejscu, niezdolna do żadnej reakcji.

– Słyszałaś, co powiedziałam?! – Angela wyglądała tak, jakby za chwilę miała kogoś uderzyć.

– Nie rozumiem. Co się stało? Dlaczego nagle tak się zdenerwowałaś?

– Bo już wiem, po co przyszłaś. – Angela próbowała poprawić włosy, ale zamiast tego szarpnęła je nerwowym gestem i gumka się zerwała. Grzeczny kucyk rozsypał się w niesforną kaskadę. Wyglądała groźnie.

– Idź stąd, zanim zawołam sąsiadów. Oni się nie będą z tobą patyczkować.

Gabrysia cofnęła się kilka kroków. Nie zamierzała lekceważyć tych gróźb.

– Nie wiem, o co chodzi, ale oczywiście, jeśli chcesz, mogę zaraz wyjść.

Skierowała się w stronę drzwi balkonowych, by wrócić do domu, zabrać torebkę z kluczami do samochodu i dokumentami. Ale aby to zrobić, musiała stanąć blisko Angeli. Bała się.

– Jeszcze udajesz niewiniątko – kobieta była wyraźnie wytrącona z równowagi. – Trzeba być okrutnym do granic możliwości, żeby tak człowieka oszukać. Ja wszystko rozumiem – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem. – Jeśli się za długo czeka na dziecko, można mieć kryzys. Ale żeby z zimną krwią kraść dziecko innej matce to już zwykłe chamstwo.

– O czym ty mówisz? – Gabrysia zatrzymała się i złapała ją za ramiona.

– Dobrze wiesz. Ta kobieta ze szpitala wszystko Zuzi opowiedziała. Nie możesz mieć dzieci. Chcesz jakieś adoptować. Szukasz dziury w całym, żeby mi odebrać prawa rodzicielskie. Specjalnie tu przyszłaś, na przeszpiegi.

– Oszalałaś? Uspokój się, bo zaszkodzisz dziecku.

Angela zatrzymała się nagle, jakby ją ktoś wyłączył. Jej twarz stała się zimna.

– Masz rację. Przybędzie ci dodatkowy argument. Udowodnisz, że nad sobą nie panuję i może jeszcze zabierzesz mi synka?

– Proszę cię. To jakaś paranoja. Nie tak łatwo odebrać komuś dzieci... Zresztą, ja nie mam takich zamiarów! A z tą kobietą w szpitalu poważnie porozmawiam. Jak można rozgłaszać takie plotki.

– Wyjdź! – W tym spokoju Angeli czaiła się jeszcze większa groźba.

– Może dasz nam obu chwilę. Ochłonimy i wyjaśnimy sobie wszystko. Rozumiem, że się zdenerwowałaś, jesteś w ciąży, a wtedy wszystko się przeżywa podwójnie. Naprawdę wierzysz tamtej kobiecie?

– Owszem. To się bardzo ładnie składa w całość. Twoja troska w stosunku do obcego dziecka. Podwiezienie, dzisiejsza niezapowiedziana wizyta. Ale powiem ci jedno. Spróbuj tylko tknąć moje dziecko, a pożałujesz. Dzwonię do męża. Niech wraca i ratuje naszą rodzinę.

– Jak wolisz – Gabrysia chwyciła torebkę. Trzęsły jej się nie tylko ręce. Drżała na całym ciele. Sytuacja była bardzo nieprzyjemna, a mózg jak na złość podpowiadał kolejne konsekwencje. Domyśliła się, że w szpitalu ta historia stanie się głośna. To mogło nawet skutkować utratą pracy. I tak już przełożona była trochę przewrażliwiona na punkcie jej nadmiernego angażowania się w prywatne sprawy pacjentów.

Wyszła na miękkich nogach. Czuła się okropnie. Nikt jej jeszcze nigdy tak nie potraktował. Nie wyrzucił z domu. O takich rzeczach czyta się w książkach, ale człowiek się nie spodziewa, że spotka go to w rzeczywistości. To było traumatyczne przeżycie.

Droga w dół, którą przedtem pokonała dziarsko, ciesząc się miłą wyprawą, teraz dłużyła się w nieskończoność. Przysiadła na tej samej co wcześniej ławeczce, tym razem żeby złapać choć trochę sił. Ledwo zdołała się dowlec do samochodu. Dopiero kiedy usiadła za kierownicą i zatrzasnęła za sobą drzwi, poczuła się bezpieczna. Napięcie zelzało. Łzy jakby tylko na to czekały. Oparła głowę o kierownicę i długo płakała. Potem siedziała prawie dwie godziny, maksymalnie wyczerpana. Nie czuła się na siłach, by teraz prowadzić samochód. Powinna była zadzwonić do męża. O wszystkim mu opowiedzieć. Ale nie była w stanie.

Kiedy wreszcie zebrała się w sobie, by ruszyć z miejsca, skierowała się w stronę domu. Odległość nie była aż tak duża, ale w jej stanie wszystko było trudne. Dojechała do najbliższego miasteczka i musiała się zatrzymać, żeby odpocząć. Zaparkowała i weszła do niewielkiego baru. Zamówiła pożywny rosół i dwie szklanki herbaty z cytryną. Jedną wypiła od razu, prawie parząc sobie usta i język. Zjadła zupę i w końcu poczuła się trochę lepiej. Ale brzuch wciąż ją bolał, a plecy rwały.

A jeśli rzeczywiście tym razem jestem w ciąży? Chodzę po górach, taszczyć ciężary, dźwigam pacjentów. Każdego dnia ryzykuję... – Ta myśl pojawiła się dość gwałtownie, sprawiając, że Gabrysi nagle zaczęła drzeć broda.

Zostawiła na stole drugą, niedopitą herbatę oraz pieniądze. Wyszła i zaczęła się rozglądać za jakąś apteką. Znalazła ją dopiero po trzeciej podpowiedzi uprzejmych przechodniów. Pomagali od razu. Musiała sprawiać dziwne wrażenie. Z popłochem

w oczach kręciła się w miejscu i pytała o aptekę. Wyglądała jak ktoś, kto potrzebuje pomocy. Wskazano jej nawet drogę do najbliższej przychodni lekarskiej.

Weszła do apteki i zadrżała w chłodzie klimatyzowanego wnętrza. Podeszła do okienka.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała młoda sprzedawczyni.

– Może być – odparła szybko Gabrysia. – Poproszę pięć testów ciążowych. Najlepiej różnych firm, żeby mieć pewność.

– Dobrze. Myślę, że nie trzeba aż tylu, ale oczywiście podam, jeśli tak pani sobie życzy.

Gabrysia kiwnęła głową. Zapłaciła, po czym spakowała pudełka do torebki. Potem ruszyła w stronę ośrodka zdrowia. Nie lubiła publicznych toalet, a gdzie się musiała schować.

Pięć minut później siedziała na podłodze, wciśnięta między sedes a plastikową ścianę, i płakała. Pięć podwójnych kresek dawało jednoznaczny wynik. Jednocześnie rwący ból brzucha sygnalizował, że sytuacja lada moment może się zmienić, a prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stanie, jest ogromne.

Wyszła z kabiny. Wyglądała koszmarnie z rozmazanym makijażem i potarganymi włosami. Jej sukienka była pobrudzona, a oczy mocno zaczerwienione. Kiedy poprosiła o natychmiastową konsultację lekarską, kobiety w kolejce nawet nie protestowały. Miała szczęście, że akurat miejscowy ginekolog miał dyżur.

Przyjął ją i zbadał. Potem kazał się położyć na kozetce i podłożył jej pod stopy zwinięty ręcznik.

– Nie wiem, czy pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi – powiedział poważnym tonem, sprawdzając jeszcze, czy jest wygodnie ułożona. – Jest pani w ciąży.

Gabrysia wreszcie usłyszała te wymarzone słowa. Ale nie towarzyszyła im radość, której można by się spodziewać. Tylko straszliwy strach.

– Proszę się na razie odnieść do tej wieści, o ile to możliwe, spokojnie. Nie wygląda to bowiem dobrze. Spróbuję zorganizować karetkę. Mam nadzieję, że mają akurat wolną i przewieziemy panią do szpitala. Trzeba pilnie podać kroplówkę. Może coś da się jeszcze zrobić. Nie wiem...

Zamknęła oczy. Nie chciała już słyszeć ani jednego słowa. To było gorsze niż wszystkie nieudane próby, niekończące się czekanie i comiesięczna rozpacz. To było tak okropne, że przez chwilę myślała, iż zwyczajnie jej serce tego nie zniesie i pęknie z bólu.

Lekarz rozmawiał przez telefon. Gabrysia słyszała, że jest zadowolony, bo jeden z ambulansów akurat był dostępny i można było przewieźć pacjentkę. W szpitalu mieli już na nią czekać. Jako pielęgniarka, ceniąca fachowość i doświadczenie, podziwiała lekarza za sprawną organizację, zaangażowanie, profesjonalną pomoc. Jako kobieta nie miała nawet siły otworzyć ust, by podziękować.

ROZDZIAŁ 13

Książki posypały się na podłogę. Już po raz trzeci dzisiaj. Nowo zatrudniony chłopak spojrzał na swojego szefa z wyraźnie widocznym zniecierpliwieniem. Dla niego Jan Zagórski był dinozaurem, który jakimś cudem nie wymarł, kiedy czas był ku temu. Nie nadawał się do pracy. A wydarzenia dzisiejszego dnia na każdym kroku potwierdzały jego opinię. Jan był wyjątkowo rozproszony. Wydawał sprzeczne polecenia. Zapominał, o co chwilę wcześniej prosił. Powtarzał się. Układał książki na półkach, ale nie szło mu dobrze. Co chwilę coś spadało.

– Jacku! – zawołał szef. – Pozbieraj to, proszę.

Chłopak podszedł bliżej i pomógł, ale nie był zadowolony. Zaczynał się zastanawiać, czy dobrze zrobił, przyjmując tę posadę. Na rozmowie kwalifikacyjnej opowiadał sporo o swojej miłości do książek, ale tak naprawdę po prostu przeczytał wcześniej kilka opinii w Internecie i przejrzał parę blogów. Odpowiedział na ogłoszenie, bo pomyślał, że w czasach, kiedy nikt nie czyta książek, a tak przynajmniej twierdzą sondaże, praca w księgarni powinna być wyjątkowo lekka. Takiej właśnie szukał.

Trochę się rozczarował, bo w lokalu prowadzonym przez Jana Zagórskiego od rana panował ruch. Klienci wpadali na herbatę albo pogadać o nowościach wydawniczych. Jacek był zaskoczony popularnością, jaką cieszy się jego wiekowy szef wśród miłośników książek. Stali, rozmawiali, kazali sobie podawać coraz to nowe tytuły i całkiem sporo kupowali. Ten dziwny patent na biznes wyglądał na świetny pomysł.

Może to podrobie – postanowił Jacek. – Będę podglądał szefa przez parę miesięcy, a potem skopuję jego biznes i rozłożę go na łopatki.

Nie miał obiekcji moralnych. Nawet chyba nie znał takiego sformułowania. Po prostu postanowił, że osiągnie w życiu sukces. Każdą dostępną drogą. Ta wydawała mu się łatwa.

– Może pan odpocznie – podpowiedział szefowi. Mężczyzna wydawał mu się dziwnie blady.

– Dziękuję – odparł Jan nieuważnie. – Nie ma żadnej potrzeby.

Podszedł do regałów, sprawdził, czy książki wciąż stoją w alfabetycznym szyku, bo wciąż ktoś je przekładał. Zaraz potem zbliżył się do grupki młodych chłopaków dyskutujących zażarcie obok działu książek fantasy. Wdał się z nimi w rozmowę na temat różnic między klasyką a nowymi autorami oraz czy można jeszcze wobec takiego bogactwa już zrealizowanych pomysłów wymyślić fantastyczne zwierzę lub stworzenie, którego jeszcze nie było. A także czy jest taka potrzeba.

Ale nie było w tej rozmowie zwykłego żaru. Wręcz przeciwnie. Momentami czuł nawet, że właściwie temat jest mu zupełnie obojętny. A przecież fascynował się tym całe życie. Za Tolkiena i jego pomysły zwykle dałby się pokroić. A teraz przyznał bez żalu, że fantastyce trzeba nowej krwi.

– Muszę chyba jechać do domu – powiedział do nowego pracownika i kiedy tylko padły te słowa, zrozumiał, że od kilku godzin o to właśnie mu chodziło. Musi tam się z jakiegoś powodu znaleźć natychmiast. Bez względu na konsekwencje. Zostawić cały interes w rękach niedoświadczonego pracownika i zajmującej się herbaciarnią dziewczyny, która od wczoraj interesowała się głównie Jackiem, rozmową z nim, spoglądaniem w jego stronę i słaniem w jego kierunku czarujących uśmiechów. Angażowała się w to stokroć bardziej niż w studiowanie cech poszczególnych składników mieszanek herbaty, czym zgodnie z umową miała się zajmować w wolnych chwilach. Nawet trochę ją rozumiał. Czasem. Ale to nie oznaczało, że nie bał się zostawić wszystkiego na barkach dwojga tak niedoświadczonych i trochę lekkomyślnych osób.

Nie miał jednak wyjścia. Czuł, że zaraz, natychmiast, musi wrócić do domu. Jakby go ciągnęła stalowa lina, którą ktoś coraz mocniej nawija. Nie sposób było się temu oprzeć. Wziął szybko portfel z biurka na zapleczu i wrzucił do kieszeni kluczyki samochodowe. Otworzył usta, by przekazać pracownikom wszystkie stosowne w takiej sytuacji napomnienia i ostrzeżenia, ale zamknął je, zanim wypowiedział choćby jedno słowo. Machnął dłonią z rezygnacją, przeżegnał się w duchu i pobiegł w stronę parkingu.

Jechał szybko, gnany irracjonalnym niepokojem. Kiedy zatrzymał się na światłach, czas oczekiwania wydawał mu się wiecznością. Nie umiałby sobie wytłumaczyć tego stanu. Swoje ciche o tej porze osiedle pokonał niczym rajdowiec. Kiedy zobaczył dom, jeszcze przyspieszył. Znajoma brama do ukochanego miejsca na ziemi zwykle pociągała go szerokim jasnobrązowym wnętrzem. Teraz jednak od razu zauważył stojącą obok niej kobietę. W sukience w maki, którą bardzo dobrze znał. Dlaczego Helena czekała o tej porze na zewnątrz? Czy coś się jej stało? Dziewczynkom? A może chłopcy mieli wypadek? Albo Anielka telefonowała z Warszawy? Źle się jej układa, tęskni, chce wrócić?

Czy to dlatego od rana męczyło go złe przeczucie, a instynkt popychał, by jak najszybciej wracać do domu?

Zaparkował krzywo na chodniku i wyskoczył.

* * *

Helena poczuła ulgę. Pozornie nie czekała na męża. Był przecież w pracy i wiedziała, że wróci dopiero późnym popołudniem albo wieczorem. Nie zatelefonowała do Jana, choć normalnie była to pierwsza czynność, jaką wykonywała w chwili zagrożenia. Teraz jednak poziom rozżalenia tłumiony całymi tygodniami wzrósł tak bardzo, że zablokował proste funkcje.

Trzymała się słupków bramy i trwała w dziwnym odrętwieniu. Źle się czuła. Z każdą chwilą coraz gorzej. Właściwie chyba tylko to pełne napięcia czekanie trzymało ją jeszcze w pionie. Gdzieś w głębi serca podświadomie czuła, że on jednak przyjedzie, nie zostawi jej samej.

Zaraz, gdy tylko zobaczyła samochód męża, zaczęło ją ogarniać miłe ciepło nieznanego pochodzenia. Płynęło od serca. Podchodziło do ust, rąk i stóp. Potem ogarnęło ją całą.

Wtedy straciła przytomność.

W podkrakowskiej wsi zapadał zmrok. Szybko zrobiło się zimno. Jesień w ciągu dnia szafowała obficie słoneczną aurą, ale nocami pokazywała prawdziwe oblicze. Chłodne i mroczne.

– Julka to ładne imię – Bartosz poprawił sobie koc na ramionach i dorzucił do ogniska jeszcze jedno polano.

Ogień strzelił wysoko. Płynęło od niego miłe ciepło. Trzaskanie drewna, zapach dymu i widok płonących polan były bardzo przyjemne.

– Nikt tak do mnie nie mówi – Julia wyciągnęła dłonie w stronę ognia, po czym potarła je energicznie, by mocniej się rozgrzać.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Rodzice zawsze mówili „Julia” albo „Juleczka”. To ostatnie wyłącznie, jak byłam grzeczna, co się zbyt często nie zdarzało.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Tak łagodna kobieta, czarująca koty i zapewne także mężczyzn w ilościach hurtowych...

– Pozory myślą – Julia wygodniej oparła się na leżaku. Bartosz dysponował tylko jednym, więc on sam siedział na ziemi. Podłożył sobie tylko jakiś stary worek pod siedzenie, wyciągnął długie nogi i na cienkim patyku smażył kielbaski, zakupione chwilę wcześniej w miejscowym samie. Było wspaniale. Zimno, ale bardzo przyjemnie. Ogień huczał, iskry sypały się w niebo, kielbaska pachniała. Julia już dawno nie siedziała przy ognisku. Całe lata. Teraz wszyscy tylko grillowali, ewentualnie spotykali się w klubach. Wytężyła pamięć, by stwierdzić, że ostatni raz coś takiego miało miejsce na studiach, podczas wypadu nad jezioro. To tam zaczęła się znajomość z Ksawerym.

Potrząsnęła głową, żeby odpędzić niepotrzebne wspomnienia.

– Jak to dobrze, że moja działka jest bezpieczna – uśmiechnął się Bartosz i podał jej kielbaskę. Ułamał końcówkę patyka i włożył jej do ręki.

– Ach, przestań – roześmiała się. – Nie mów mi, że boisz się paru kociaków.

Wzięła ostrożnie patyk z jego rąk. Kielbasa pachniała obłędnie. Julia nie była specjalną zwolenniczką tłustego jedzenia, ale dzisiaj nie mogła się powstrzymać, by nie zatopić zębów w chrupiącej skórce.

– Jasne, że tak – poważnie powiedział Bartosz. – Dwa z nich już zdołały zmienić mój dom nie do poznania.

– Fajny jest – Julia spojrzała w stronę starego budynku mieszczącego się w wiekowym sadzie, mocno zapuszczonym i porośniętym zielskiem.

– Też go lubię. Ma duszę. A ty mieszkasz w bloku?

– Teraz tak. Jest mi wygodniej dojeżdżać do pracy. Ale wychowałam się w pięknym domu, otoczonym ogrodem, jabłonią, grządkami warzyw. Takie rzeczy w człowieku zostają.

– No to lepiej nie patrz na mój chaos dookoła. Jestem na razie na etapie myślenia koncepcyjnego, co by z tym zrobić. Zostawić wszystko jak jest czy wprowadzać zmiany.

– Jeśli nic nie zrobisz, ogród i sad zdziczeją. Szkoda by było.

– Więc ten serwowany w mediach obrazek o człowieku, który mieszka na wsi i pije kawę

na tarasie albo przechadza się po pięknej posiadłości, to mit. Tak naprawdę cały czas taki człowiek ugania się z kosiarą i nie ma nawet czasu napełnić baku?

– Nie do końca. Moi rodzice często razem przesiadują na tarasie, piją herbatę, jak powiedziałaś, chodzą na długie spacerunki po okolicy, ale oprócz tego faktycznie sporo też robią.

– Wiedziałem, że musi być w tym jakiś haczyk – uśmiechnął się Bartosz. – Cóż, na razie nie będę się tym przejmował. Zacznę, jak pojawi się problem.

– Ciekawe podejście.

– Dość praktyczne.

– Raczej idealistyczne, bo jeśli wszystkiego dobrze nie przemyślisz, nie przygotujesz się do zimy, to możesz zwyczajnie nie zdążyć zabezpieczyć ogrodu.

– Spokojna głowa. Gdybym chciał się martwić na zapas, to chyba bym zwariował.

– Ja zawsze się zastanawiam nad wszystkim. Czy dobrze zrobiłam, wybrałam, a może trzeba było inaczej...

– Współczuję ci, ale rozumiem. W pracy mam mnóstwo takich kolegów. Kiedy usłyszeli, że odziedziczyłem stary dom, zaraz zaczęli mnie straszyć. Żeby sprawdzić, czy niezadłużony, czy droga gminna, jacy są sąsiedzi, a może jest grzyb w piwnicy albo pleśń w kuchni. Tysiące problemów.

– Nie sprawdziłeś tego? Naprawdę? – Julia nie mogła się nadziwić. – Takie ryzyko...

– Dobrze zrobiłem – odparł Bartosz i ugryzł słusznego rozmiarów kawałek kiełbaski. – Gdybym przeczesał działkę, może bym znalazł ukryte tam dzikie bestie, a wtedy nie pojawiłyby się one na moim progu. Ja bym nie szukał panicznie weterynarza i w konsekwencji nie siedziałbym teraz z piękną dziewczyną przy ognisku. Widzisz? Tak jest lepiej.

– Chciałabym, żebyś miał rację – Julia poczuła się naprawdę zrelaksowana. – Ja chyba też spróbuję tego patentu i przestanę się tak zamartwiać. Niech życie sobie spokojnie płynie.

– Dokładnie tak. Pyszne te kiełbaski – pochwalił własne danie. – Jadłaś kiedyś takie dobre?

– Chyba nie – uśmiechnęła się. – Chociaż moja mama jest fantastyczną kucharką i wszystko robi najlepsze.

– Kochasz swoją mamę? – zapytał w charakterystyczny dla siebie bezpośredni sposób.

– Bardzo – odpowiedziała Julia bez wahania. – Jest mi ogromnie bliska. Całej naszej rodzinie. To takie centrum życia. Filar. Wiem, to może brzmieć górnolotnie, ale naprawdę tak jest.

– Zazdroszczę ci. Ja z moimi rodzicami spotykam się dwa razy do roku. Tylko na grubsze święta. A i tak nie bardzo jest o czym rozmawiać.

– Może właśnie dlatego, że tak rzadko się widujecie...

– Nie wiem. Nigdy nie mieliśmy specjalnie dobrego kontaktu. Nawet kiedy byłem dzieckiem. Każdy żył trochę osobno, zajęty własnymi sprawami.

Julia drgnęła, bo zapiekł ją gwałtowny wyrzut sumienia. Nie wybrała się do mamy od dwóch tygodni. Dzisiaj nawet nie odebrała od niej telefonu, bo akurat miała zabieg, a potem zapomniała.

Zrobię to, jak tylko wrócę do domu – postanowiła w duchu. Nie nękały ją żadne złe przecucia. Spokojnie zjadła kiełbaskę. Naprawdę bardzo jej smakowała.

Dzisiejsze popołudnie spędziła wyjątkowo pracowicie. Chodzili z Bartoszem po okolicznych łąkach prawie dwie godziny. Przeczesał cały ogród, sprawdzili stodołę. Kuropatwy uciekały im spod stóp, spłoszyli też piękną młodą łanią i sporo szpaków. Ale nie znaleźli więcej opuszczonych kotów. Za to wrócili do domu Bartosza bardzo zmęczeni i głodni. W takim stanie kubki smakowe osiągają szczytowe doznania prawie przy każdym daniu.

Potem pili zimne piwo i okręcali się kocami. Ognisko paliło się w najlepsze, bo Bartosz wciąż dorzucał polan. Chyba nie uznawał półśrodków. Julia poddała się nastrojowi chwili. Nie martwiła się, w jaki sposób wróci do domu, i nie zastanawiała, co dalej. Czuła się lekko, wręcz wspaniale.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że w tym momencie w pozostawionej w domu Bartosza torebce co kilka minut dzwoni telefon. Że jej mama właśnie walczy o życie, reanimowana dość brutalnymi metodami przez lekarza pogotowia na podwórku domu, który tyle lat tworzyła... Że w tym samym czasie Gabryś z sercem zmrożonym ze strachu po raz pierwszy ogląda maleńką ciążę, ledwo widoczną na ekranie USG, i z każdej strony słyszy, że oczywiście specjaliści uczynią wszystko, co w ich mocy, ale żeby nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei, bo sytuacja jest bardzo poważna i w ciągu najbliższych godzin prawdopodobnie rozpocznie się poronienie.

Julia nie mogła o tym wszystkim wiedzieć. To były sprawy nie do przewidzenia. Podobnie jak nie mógł się tego domyślić Kornel, który jadł spokojnie kanapkę w pracy, kiedy otrzymał szokującą wiadomość, że jego żona jest w szpitalu w miasteczku oddalonym od Krakowa o ponad sto kilometrów, a on nie ma samochodu, by natychmiast do niej pojechać.

Nie była też tego w stanie przewidzieć Maryla, bez reszty zajęta pakowaniem kartonów. Ruszyła do domu, dopiero gdy nie mogła się dodzwonić do mamy, by odebrała dzieci z przedszkola. Tam doznała prawdziwego szoku.

Nie przewidziała biegu wypadków także Marta. Akurat tego dnia pojechała na zakupy. Miała do tego prawo. To był przecież zwyczajny dzień. Nic nie zapowiadało katastrofy.

A jednak kiedy wszyscy spotkali się na szpitalnym korytarzu, by towarzyszyć szalejącemu z rozpaczy Janowi, unikali spoglądania sobie w oczy. Dręczyli się, że żadne z nich nie rozpoznało symptomów, które teraz, po fakcie, wydawały się takie oczywiste. Nie zauważyli w porę, nie byli obecni, każdy pochłonięty pilnymi sprawami, które nagle wydały się takie błahe.

– Jak można było do tego dopuścić? – wołał co chwilę ojciec, rwąc z głowy siwe włosy. Ale nikt nie umiał mu odpowiedzieć. Nawet najmłodsza córka, która nocą dojechała z Warszawy.

W obliczu niebezpieczeństwa rodzina znów była razem. Tylko czy nie było już za późno?

ROZDZIAŁ 14

Dwa tygodnie później...

Od kilkunastu dni Kornel nie pracował. Zdołał wymóc na szefie niespodziewany urlop i był mu bardzo wdzięczny za zgodę. Siedział godzinami przy łóżku Gabrysi. Już pierwszego dnia przewieziono ją do Krakowa, do szpitala, w którym na sąsiednim oddziale jeszcze nie tak dawno miała dyżury, i tuż obok oddziału, na którym leżała jej mama. Ciąża wciąż była zagrożona. Lekarze wypowiadali się na temat szans bardzo oszczędnie. Ale dziecko się rozwijało. Każdego dnia. I trwało.

Nie rozmawiali wiele. Bali się dawać sobie nawzajem nadzieję. Gabrysia była bardzo ostrożna. Nie tylko leżała wytrwale plackiem całe dnie i noce, ale nawet oddychać starała się spokojniej. Mówić również. Kiedy odwiedzali ją bliscy, wędrujący teraz między łóżkiem jej a mamy, poruszali wyłącznie błahe tematy. Rozmawiała z nimi o pogodzie, opowiadali sobie ciekawostki z pracy, dyskutowali o nowościach wydawniczych...

Gabrysia czytała teraz dużo pogodnych, optymistycznych powieści. Takich, w których bohaterowie osiągają swoje cele, potrafią wziąć się w garść, a słońce świeci przynajmniej co czwartą stronę. Koleżanki i siostry znosiły jej takie pozycje całymi siatkami. Nawet tata zaczął się interesować literaturą obyczajową i podczytywał nowości, żeby po wstępnej selekcji leczyć nimi córkę.

Nie umawiali się w tej sprawie, ale wszyscy konsekwentnie pomijali milczeniem wspomnienia tamtego strasznego wieczoru i nocy, kiedy życie i bezpieczeństwo dwóch ukochanych osób zawisło na włosku.

Gabrysia była pewna, że to będzie córeczka. Choć ciąża była wczesna i nikt nie mógł jeszcze potwierdzić jej przypuszczeń, nie miała żadnych wątpliwości. Zobaczyła to wyraźnie tej nocy, kiedy jej mama walczyła o życie. Czuła, że jedna kobieta odchodzi, a druga właśnie ma się pojawić.

Życie za życie.

Odrzuciła wtedy tę straszną myśl. Nie zamierzała się z nią zgodzić.

To tak nie działa! – wołała w niebo i jej głos chyba został usłyszany. Obie przetrwały noc. Mała dziewczynka i stara kobieta. Dawały radę, choć dla każdej z nich oznaczało to walkę o każdy dzień. Ale miały po swojej stronie moc, jaką jest rodzina. Trudne momenty rozbijają trwale słabe związki, ale wzmacniają silne. Zagórscy znów stworzyli zwarty szyk, gotowi do walki. I wspierali się nawzajem.

– Idź już do domu – poprosiła Gabrysia. – Prześpię się. Może mi się uda jak najdłużej. Obie tego potrzebujemy.

Kornel nie podjął tematu. Czasem coś się im wyrwało spontanicznie, ale na razie nie rozmawiali o dziecku. Ból w razie utraty mógłby się stać niemożliwy do zniesienia.

– Powinieneś też wrócić do pracy. Nie możesz przecież wziąć wolnego na dziewięć

miesiący – uśmiechnęła się. – A mnie stąd raczej nie wypuszczą – ułożyła sobie wygodniej poduszkę pod plecami.

– Wiem – westchnął. – Szef już dwa razy dzwonił w tej sprawie. Ale chciałbym być blisko w razie czego.

– Będiesz – uściśnęła jego dłoń. – Taka sytuacja drugi raz już się nie powtórzy. Obiecuję, że zadzwonię, jak tylko coś się zmieni. Nieważne, czy to będzie dobra, czy zła zmiana. Powiem ci.

– Nigdzie się stąd nie ruszysz?

– O tym nawet nie ma mowy. Jestem przypięta do kroplówki.

– Ale czasem ci ją odłączają.

– Wtedy śpię. No, proszę cię. Dajmy spokój tym żartom. Dobrze wiesz, że mam rację. Zaufaj mi.

Z tym wszyscy mieli ostatnio pewien problem. Ale próbowali na nowo.

– Dobrze – powiedział Kornel i wstał. – Od poniedziałku wracam do pracy. Ale pamiętaj, co mi obiecałaś.

– Jasne. Naprawdę się nie martw.

– A kiedy stąd wyjdę, zaśniesz. I niczym się nie będziesz martwić ani denerwować.

– Przypilnujemy jej – odezwała się Sylwia, sąsiadka z łóżka obok. W szpitalu nie da się zachować prywatności. Osoby znajdujące się w tej samej sali siłą rzeczy uczestniczą w najbardziej intymnych przeżyciach. Historię Gabrysi znali już tutaj wszyscy.

– W takim razie idę – Kornel westchnął i wstał. Ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie chcę cię poganiać, ale wiesz...

– Tak, wiem – wreszcie podszedł do drzwi. – Żadnych niepotrzebnych emocji – dodał jeszcze. – Pamiętaj, co obiecałaś.

Posłała mu całusa dłonią.

Wyszedł więc, jeszcze kilka razy oglądając się za siebie. Gabrysia położyła się wygodnie i zamknęła oczy. Sen jednak nie nadchodził. Miała teraz dużo czasu i mogła nadrobić zaległości, ale trudno było zmusić organizm, by się wyłączył w ciągu dnia. Nie był do tego przyzwyczajony.

Wzięła kolorową gazetę i zaczęła przerzucać strony z przepisami kulinarnymi. Stale była teraz głodna. Możliwe, że sama pielęgnowała w sobie to pragnienie, tak bardzo chciała się wreszcie doczekać jakichś objawów ciążowych, ale to nie zmieniało faktu, że wszelkie magazyny zaczynała teraz przeglądać od stron poświęconych gotowaniu.

– Dzień dobry – drgnęła na dźwięk znajomego głosu, a chwilę później wbrew wszelkim obietnicom złożonym Kornelowi bardzo się zdenerwowała. W progu sali stała Angela.

Gabrysia wyraźnie pobladła na jej widok.

– Przepraszam. Nie wiem, czy powinnam tutaj przychodzić. Nie chciałam cię zdenerwować. – Angela zrobiła kilka niepewnych kroków, podtrzymując dłońmi teraz już naprawdę wielki brzuch, który wyraźnie się obniżył, sygnalizując, że nieuchronnie nadchodzi czas rozwiązania.

– Nic się nie stało. Wejdz – Gabrysia wzięła głęboki wdech.

Kobieta weszła do środka i dość nieśmiało położyła na kołdrze ciężkie pudełko czekoladek.

– Nigdy sobie tego nie wybaczę – powiedziała cicho. – Jak pomyślę, że wyrzuciłam za drzwi kobietę w ciąży, do tego zagrożonej. Że na ciebie krzyczałam i to wszystko... Od razu dostaję takich skurczów porodowych, że już trzy razy byłam na izbie przyjęć.

– Dobrze, że przyszłaś – Gabrysia spojrzała trwożnie na drzwi, czy przypadkiem nie stanie w nich Kornel. Nie byłby zadowolony z tej rozmowy. Ale równocześnie poczuła ulgę. – Nie ma dnia, żebym o was nie myślała.

– Przepraszam cię raz jeszcze – Angela pochyliła głowę. – Wiem, że to trochę mało...

– Wystarczy – Gabrysia nie chciała się wdawać w wyjaśnienia. Mogłyby za dużo kosztować, a ona musiała chronić dziecko. – Ja też nie zachowywałam się do końca w porządku. Ale nie przyszłam wtedy do ciebie ze złymi zamiarami.

– Wiem – Angela z trudem usiadła na niewielkim krzeselku i przysunęła się bliżej. – Ta okropna kobieta to straszna plotkara. Sieje zamęt, gdzie tylko się pojawi. Ale mnie w pewnym sensie uratowała.

– Co masz na myśli? – Gabrysia czuła, że napięcie z niej uchodzi. Już się nie denerwowała.

– Tak się wtedy wściekłam, że zadzwoniłam do męża – kontynuowała Angela, mocno zaaferowana własnymi sprawami. – Powiedziałam mu o wszystkim. Przejął się i, wyobraź sobie, wrócił! – Te słowa okrasiała szerokim uśmiechem. – Jest lepiej. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie ta cała afera. Żadne delikatne argumenty nie wchodziły w grę. Paradoksalnie pomogłaś nam.

– Cóż mam powiedzieć, dobrze, że coś dobrego z tego wynikło, ale nie chciałabym powtórzyć tego przeżycia. I nie bardzo też czuję się na siłach, by teraz o tym rozmawiać.

– Wiem. Jeszcze raz przepraszam. Te ostatnie miesiące były bardzo ciężkie. Wstąpiło we mnie wszystko, co najgorsze. Tak bardzo tęskniłam za Maćkiem. Jak patrzyłam na twojego męża, to aż mnie coś ścisnęło z zazdrości.

Gabrysia poczuła znajome ukłucie i szybko zmieniła temat.

– A jak się teraz czujesz? – zapytała.

– Dobrze. Mąż mnie przywiózł – powiedziała z wyraźną dumą. – No i Zuzia dzisiaj wraca do domu. Jest lepiej, nowy antybiotyk pomógł. Bóle ustąpiły. Lekarze mówią, że to była jakaś bakteria. Nie pamiętam nazwy.

– Wiem. Koleżanki tu do mnie przychodzą, przynoszą mi nowiny. Cieszę się. A co z porodem?

– Lekarze wciąż każą czekać, ale czuję, że chyba już tu dzisiaj zostanę. Po tej podróży cały czas mam skurcze. Zaraz idę zgłosić się na badania. Chciałam cię tylko wcześniej odwiedzić. Mam okropne wyrzuty sumienia.

– Będę za ciebie trzymać kciuki. Daj znać, co się dzieje. Będę czekać.

Gabrysia była wdzięczna za tę wizytę, a nawet za czekoladki. Ciekawiło ją, co słyhać u Zuzi. Nadal mocno się przejmowała losem tego dziecka. Ale nie było już powrotu do nici porozumienia, jaką się nawiązała między nią a mamą dziewczynki. Coś się nieodwracalnie zepsuło.

– Muszę już iść – Angela jakby to wyczuła. – Odpocznij. Jeszcze raz cię przepraszam.

– Trzymaj się – Gabrysia jej nie zatrzymywała. Chwilę później była już sama. Specjalnie zamknęła oczy, żeby sąsiadka, wyraźnie pałająca ciekawością, nie zapytała jej o szczegóły

tej historii. Nie miała ochoty do tego wracać. Leżała tak dłuższą chwilę, po czym oddech jej się uspokoił i zapadła w sen.

ROZDZIAŁ 15

– Niezła rodzinka – Bartosz przywiózł swoje koty, by Julia je obejrzała. Istniało prawdopodobieństwo, że ta wizyta była tylko pretekstem, bowiem zwierzaki prezentowały się bardzo dobrze, a rozmowa dotyczyła głównie przeżyć tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy oboje taksówką pędzili do szpitala, a nie stanu zdrowia kotów.

– Tak, to prawda. Mamy w domu sporo indywidualności – przyznała Julia. – Nie każdy dobrze to znosi.

– Mnie się podoba. Ja właśnie też w tej sprawie. Kiedy czekaliśmy wtedy na korytarzu, twoja siostra obiecała mi pokazać wasz sad. Jestem taktowny, usunąłem się dyskretnie w cień, bo wiedziałem, że wasza mama była w ciężkim stanie. Ale podobno jest już lepiej, więc może byłaby szansa? – spojrzał na nią dokładnie tak samo, jak szczeniaki nagradzane smakołykiem za dobrze wykonane zadanie.

Julia wiedziała, że nie jest do końca poważny. A jednak odkrywała w nim tyle lekkości i uroku. Włosy znów miał w sporym nieładzie, ale wyprasował koszulę, co pewnie było dla niego sporym poświęceniem. Zwierzył jej się wtedy, przy ognisku, że nigdy tego nie robi, bo to jego zdaniem zwyczajne marnowanie energii.

– Zobaczę, co da się w tej sprawie zrobić.

– Ach, nie karm mnie takimi tekstami. Jeśli nie chcesz, powiedz wprost. Życie jest zbyt fajne, by je marnować na wymówki.

Miała ochotę znowu się z nim spotkać. Nawet wielką. Ale rozum ostrzegał, by się zbyt nie angażowała. Bartosz prowadził ją zaskakującymi ścieżkami. Ostatnio miała tylko sprawdzić teren, a została na ognisku, wypłała trzy piwa i potem chwiała się na szpitalnym korytarzu. To było do niej zupełnie niepodobne. Jedynym szaleństwem w jej życiu był bałagan w mieszkaniu. Ale o nim nawet nie wspomniała, kiedy zobaczyła, co Bartosz ma w domu. Odpadała w przedbiegach.

– To jak będzie? – zapytał mężczyzna. – A może wolisz przyjechać do mnie? Coś mi się wydaje, że od strony starych pokrzyw dochodzi jakieś niepokojące miauczenie. Sam się nie podejmuję sprawdzać.

Wiedziała, że to kłamstwo. Kot nigdy nie schroniłby się w pokrzywach.

– No daj się namówić. Przecież widzę, że chcesz. Nie proponuję ci małżeństwa. Nie musisz się tak bardzo zastanawiać. To tylko jeden fajny wieczór... w pokrzywach.

Roześmiała się. Nie wytrzymała. Rozbroił ją tym zawadiackim spojrzeniem, niepoważnym wyglądem uczniaka i lekkim podejściem do życia. Miała wielką ochotę spotkać się z kimś, kto nie proponuje jej związku, nie ma wobec niej dalekosiężnych planów, nie oczekuje decyzji.

– Dobrze – zgodziła się szybko, bo jej współpracowniczka Ania właśnie weszła do gabinetu z sąsiedniego pomieszczenia. – Możemy się umówić po pracy.

– Świetnie – ucieszył się Bartosz. – W takim razie zostawiam tych łobuzów w twoich

najlepszych do tego celu rękach i pędzę do biura. Może mi nawet awans dadzą, jak zobaczą moją dzisiejszą koszulę. Choć nie ukrywam, że uprasowałem ją wyłącznie dla ciebie.

Przecesał palcami włosy i chwilę później już go nie było. Nawet nie zdążyła mu odpowiedzieć.

– Fajny – uśmiechnęła się Ania. – Chyba cię lubi.

– Też tak przed chwilą myślałam – odpowiedziała Julia. – Ale teraz już sama nie wiem.

Może tylko potrzebuje darmowej przechowalni dla swoich kotów?

Podeszła do okna i zobaczyła, jak Bartosz odjeżdża z pustego parkingu, nawet się nie oglądając za siebie. Westchnęła. Dzisiaj znowu nie było ruchu. Od rana miały tylko dwie wizyty. Kolejne trzy były umówione na popołudnie, a poza tym w kalendarzu bielila się pustka. Za to w klinice Ksawerego cały czas coś się działo. Samochody parkowały, a właściciel kilkakrotnie gdzieś wyjeżdżał, po czym wracał. I za każdym razem wyglądał tak samo dobrze. Ubrany, uczesany, uśmiechnięty.

A Julia, choć wydawało jej się, że na dobre zamknęła ten rozdział, coraz mocniej tęskniła za Ksawerym.

– Może lepiej już nie zaglądać w to okno? – Ania podeszła do niej.

– Masz rację. Szklanka rozbita, mleko wylane. Nie ma już powrotu.

– Naprawdę ci żal?

– Czasem trochę, a bywa, że mocniej.

– Jesteś niemożliwa. Nigdy sobie na to pytanie nie odpowiesz. Będziesz myśleć sto lat i dalej tkwić w tym samym punkcie.

– Skąd wiesz? Ale dobrze. Wierzę ci. To z braku pracy takie dziwne myśli przychodzą mi do głowy. Nigdy u nas nie było takich przestojów.

– Wiem – Ania miała mocno zmartwioną minę. – Cały czas się nad tym zastanawiam. Czy nie powinniśmy ratować się, póki jest jeszcze co. Na razie jesteśmy na niewielkim plusie. Ale jeszcze dwa, trzy takie miesiące i będziemy tonąć w długach.

– Co ty sugerujesz? Rany! Patrz! – zapomniała o swoim pytaniu. – Ksawery tu idzie.

W jednym momencie wszystkie firmowe zmartwienia straciły znaczenie. Przez okno było widać, jak szef kliniki znajdującej się po drugiej stronie ulicy zbliża się do ich drzwi. Julia starała się opanować, zachowywać jak dorosła osoba. Ale nic nie mogła poradzić, że nagle zrobiło jej się gorąco.

– Cześć, dziewczyny – Ksawery kilka chwil później otworzył drzwi gabinetu, wnosząc do jego wnętrza aurę sukcesu i spełnienia, która zdawała się otaczać tego mężczyznę z każdej strony. Nawet zapach jego perfum był dominujący, mocny i pachniał żywą gotówką. – Co słyhać?

– Bardzo dobrze – automatycznie odpowiedziała Julia. Za nic w świecie nie przyznałaby się do kłopotów.

– To fajnie – Ksawery taktownie pominął milczeniem fakt, że w poczekalni nie ma ani jednej osoby. – Mam bowiem dla was dwa zaproszenia. Na konferencję. Organizują ją nad morzem. Trochę śmieszny pomysł o tej porze roku, ale hotel jest tak wyposażony, że kto nie lubi, jak mu na spacerach wiatr głowę urywa, może praktycznie nie wychodzić z ośrodka.

– Dziękuję – Julia wbiła wzrok we dwa eleganckie blankiety, starając się ukryć obawę, że to z pewnością będzie dla niej za drogie.

– Oba są już opłacone – Ksawery jakby odczytał jej myśli. – Dostałem cztery dla firmy. Ale nie mogę sobie pozwolić, by wysłać tylu pracowników, więc jeśli chcielibyście skorzystać, to bardzo chętnie odstąpię.

Ręka Julii właściwie sama skierowała się w stronę zaproszeń. Cztery dni ekskluzywnego pobytu nad morzem. Jakies konferencje w tle, ale przede wszystkim wypoczynek, kontakty zawodowe, wymiana doświadczeń. Julia mocno stawiała na rozwój. Kiedyś uczestniczyła przynajmniej w jednej konferencji miesięcznie. Ale zawirowania prywatne i trudniejsza sytuacja przychodni sprawiły, że musiała z tego zrezygnować.

– Weź – ponaglił ją Ksawery, podchodząc bliżej. – Będziemy mieć trochę czasu, żeby porozmawiać jak dawniej.

Chciała zapytać, czy zabiera ze sobą nową dziewczynę, ale uznała, że to byłoby zbyt obcesowe.

– Jedziesz sam? – wyręczyła ją Ania.

– Nie. Będzie ze mną nowy specjalista. Fajny chłopak, tuż po studiach, warto w niego inwestować.

– No nie wiem – Julia wyraźnie się wahała.

– Proszę cię. Dajmy spokój dawnym urazom. Przecież normalnie byś się zgodziła bez problemu. Zrób to.

– Zgoda – Julia zadziałała odruchowo. Ale ledwo to zrobiła, od razu zaczęła się martwić, czy na pewno podjęła dobrą decyzję. Sama była na siebie wściekła za ten kołowrotek, w który ciągle się wpycha.

– To ja zostawiam bilety – Ksawery postanowił kuć żelazo, póki gorące. – I lecę, bo strasznie dużo mam dzisiaj roboty. Gdybyś miała wolną chwilę i chciała pomóc, chętnie bym skorzystał. Na umowę oczywiście – dodał od razu.

– Na razie nie mogę ci pomóc – odparła szybko Julia. – Zaraz mamy umówiony zabieg i do wieczora zapchany kalendarz. Ale będę pamiętać.

Nawet jeśli jej nie uwierzył, to nie dał tego po sobie poznać.

– To na razie. Do zobaczenia w piątek. Gdybyście chcieli skorzystać, to mamy dwa wolne miejsca w samochodzie.

– Dziękuję, zastanowię się – Julia już odzyskała panowanie nad sobą. Pożegnała Ksawerego i nawet odprowadziła go do drzwi.

– Co ten facet w sobie ma? – zapytała Ania, kiedy mężczyzna wyszedł. – Od ręki rozwiązuje wszystkie twoje problemy.

Julia milczała, patrząc w okno.

– Tak – odwróciła się nagle. – W jedną minutę poukłada całe moje życie. Poczawszy od spraw zawodowych, a skończywszy na precyzyjnym zaplanowaniu wszelkich prywatnych aspektów.

– To źle?

– Niestety. Po takiej akcji sprawy rzeczywiście staną się prostsze. Tylko że to już nie będzie moje życie.

– Ja bym się nie broniła – wyrwało się Ani.

Julia odwróciła się wreszcie od okna. Spojrzała z zaskoczeniem na przyjaciółkę.

– Co ty mówisz? Ksawery ci się podoba? Nigdy bym się tego nie domyśliła.

– Dlaczego tak cię to dziwi? Fajny chłopak.

– Od dawna?

Ania tylko kiwnęła głową.

– Rany, ja chyba jestem całkowicie ślepa. Nie zauważyłam choroby mamy, ciąży Gabrysi ani tego, że moja najlepsza przyjaciółka jest zakochana. Do niczego się nie nadaję.

– Przestań – Ania podeszła do niej. – Nikt nie ma zdolności do zagładania ludziom w dusze. Jeśli ktoś chce coś ukryć, zrobi to. A ja chciałam. Nie wiem tylko, czy przypadkiem nadal nie chcę. Ty masz pierwszeństwo.

– Daj spokój... – Julia poczuła ulgę, jakby jakaś trudna sprawa definitywnie się skończyła. – Może właśnie tego mi było trzeba, żeby się uwolnić. Kiedy go zobaczyłam z tamtą laską, nie ukrywam, mocno mnie to zabolowało. Ale prawdopodobnie to była tylko ambicja. Nasza wieczna rywalizacja. Bo na myśl, że ty się z nim będziesz umawiać, czuję tylko dobre emocje.

– Nie nadażam za tobą – pokręciła głową Ania.

– Ja też – roześmiała się Julia. Czuła się lekko i radośnie. – Ale chyba pozbyłam się na dobre tego ciężaru, który mnie przez tyle lat przygniatał. Posłucham Bartosza i od teraz będę mniej myśleć, a więcej cieszyć się życiem.

– To może w ramach tej rewolucji odpuścisz sobie dzisiaj warowanie w pracy i pojedziesz do domu odpocząć? – zaproponowała Ania. – Pobyć trochę ze Żwirkiem w spokoju?

– Masz rację – Julia zajrzała dla pewności do pustej poczekalni. – Dasz sobie radę ze wszystkim?

– Jasne. Jeśli wydarzy się coś niespodziewanego, będę dzwonić.

Julia zaczęła się przygotowywać do wyjścia.

– Wiesz – zatrzymała się jeszcze w drzwiach. – Mam taki pomysł. Ja chyba nie pojedę na tę konferencję. Ktoś musi pilnować interesu. Wyślę cię jako przedstawiciela firmy – puściła do niej oko.

– Przestań. Spróbuj zapomnieć o tym, co powiedziałam. Ksawery ma dziewczynę, a nawet gdyby nie miał, to i tak niekoniecznie musi na mnie spojrzeć.

– Czas pokaże. Pamiętaj, że to ja jestem głównym udziałowcem w przychodni. Raz na sto lat mogę ci wydać polecenie służbowe i właśnie to robię. Ty pojedziesz, ja zostanę. A co z tego wyniknie, zobaczymy.

– Julia, chyba mnie nie podejrzewasz o flirtowanie z mężczyzną, który jest w związku? – Ania trochę żałowała, że zdradziła się ze swoimi uczuciami. Ukrywała tę tajemnicę tyle lat, że teraz nie umiała się odnaleźć.

– Jest w związku albo i nie. Ciężko stwierdzić. Gdyby to było coś poważnego, to by na konferencję pojechali razem. Nigdy by nie przepuścił takiej okazji. Ale zobaczymy. Ja zmykam do Żwirka. Może nawet trochę posprzątam w mieszkaniu i wrócę po południu, żeby oddać koty Bartoszowi?

– To leć i baw się dobrze.

– Obiecuję. Zwłaszcza przy sprzątaniu. Jak wiadomo, kocham tę czynność.

Wyszła z przychodni i stanęła na pustym parkingu. Ale po raz pierwszy ten widok jej nie

zestresował ani nie przygnębił. Spojrzała w stronę kliniki Ksawerego i poczuła, że w końcu jest prawdziwie wolna. To było cudowne doznanie.

Wreszcie miała miejsce na nowe. Uczucia, związki, decyzje.

Jedną z pierwszych było natychmiastowe odwiedzenie mamy. Bez względu na to, ile ważnych spraw czeka, by się nimi zająć.

Wsiadła do swojego samochodu i pojechała prosto do szpitala.

ROZDZIAŁ 16

– Problemem każdego mężczyzny, który ma dzisiaj rodzinę i próbuje ją utrzymać, jest dylemat, jak to wszystko pogodzić... – Jan spojrzał na swojego przyjaciela z młodości.

Leszek przyszedł go odwiedzić w pracy i trafił w sam środek potężnego cyklonu. Wszystko działo się naraz. Kolejka wiła się aż pod półki, zarówno do kas książkowych, jak i do herbaciarni. Dostawa czekała na rozpakowanie, a klienci marudzili, że nie ma ich kto obsłużyć. Młodzi pracownicy uwijali się, jak mogli najszybciej i nie można im było dzisiaj niczego zarzucić. Nie mieli nawet siły flirtować. Od rana dźwigali książki, odpowiadali na pytania, przyjmowali należność za zakupy i ponaglenia niecierpliwie oczekujących w kolejkach ludzi.

Było już późne popołudnie i każdy czuł w nogach długie godziny pracy. Jan już dawno powinien był wrócić do domu, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Czuł się z tym dzisiaj wyjątkowo źle.

– Widzisz, co się dzieje? Jak mam ich teraz zostawić? – zawołał. Pełno było w jego głosie złości i rozgoryczenia, ale także zwykłego zmęczenia. Miał dość.

– Musisz – stanowczo powiedział Leszek. – Jest już bardzo późno, a obiecałeś Helenie, że nie będziesz tyle pracował.

– Wydaje ci się, że nie wiem o tym? – zdenerwował się jeszcze bardziej Jan. – Zrobię to, choćby się wszystko miało zawalić. Ale z drugiej strony mam świadomość, że bez pieniędzy daleko nie zajedziemy. Zwłaszcza teraz, kiedy Helena jest chora. Chciałbym wreszcie spełnić marzenia mojej żony. Ty tego nie rozumiesz, bo zawsze miałeś dużo pieniędzy.

– Tylko że żoną cieszyłem się krótko. Ja bym na twoim miejscu stawiał jednak na małżeństwo.

– Przecież stawiam – warknął Jan, przesuwając równocześnie ciężkie pudło z książkami. – To dla niej tak pracuję.

Leszek taktownie powstrzymał się przed dalszymi uwagami. Miał już do sprawy małżeństwa Jana trochę chłodniejszy stosunek niż dawniej. Porzucił zatruwającą go przez lata myśl o tym, że najlepszy przyjaciel odbił mu narzeczoną, i nie żywił już urazy ani do Jana, ani do Heleny. Sam zakochał się niedawno jak nastolatek. I w końcu był szczęśliwy.

– Zadzwońię po Martę. Może wam przyjdzie pomóc – powiedział. Był człowiekiem czynu. Dla niego jedno dobre działanie było więcej warte niż pięć godzin dyskusji.

– To dobry pomysł – odparł Jan. Siostra żony często pomagała jeszcze w starej księgarni, więc miała wprawę.

– Może nawet sam po nią pojedę – Leszek wstał. Spodobał mu się ten pomysł. – Za pół godziny będziemy. Wytrzymasz tyle?

– Dziękuję ci – Jan spojrzał z wdzięcznością na przyjaciela. Leszek mimo upływającego czasu prezentował się świetnie. Był żywym dowodem na to, że pełnią życia można się

cieszyć w każdym wieku. Zadbany, modnie ubrany, pachniał dobrymi perfumami, pracował i czerpał z tego faktu satysfakcję, a jeszcze się zakochał.

Jan podał mu rękę na pożegnanie i natychmiast podszedł do drugiej kasy, by trochę rozładować kolejkę. Ale nie zdążył skupić się na pracy. Dostał właśnie niespodziewaną, ale bardzo radosną wiadomość, że stan żony poprawił się na tyle, by można ją było zabrać do domu. Wypis był już dawno gotowy i Helena czekała na męża.

Nie było nawet mowy, by miał się nie stawić w szpitalu. Nie chciał prosić nikogo innego o pomoc. Pragnął odebrać żonę sam. Ale to nie było takie proste. Ruch w galerii przekraczał najśmielsze oczekiwania i choć Jan bardzo tego chciał, nie mógł po prostu z minuty na minutę rzucić wszystkiego i ruszyć w drogę.

Nie był już panem swojego czasu jak kiedyś, gdy jeszcze szefował małej, rodzinnej księgarni. Coś za coś. Czasem się zastanawiał, czy cena, jaką mu przyszło zapłacić za sukces, nie jest jednak zbyt wysoka. Obsługiwał klientów jak maszyna i czuł się coraz bardziej zmęczony. Stracił swój wewnętrzny napęd, pasję. Już wiedział, że pieniędzmi nie wynagrodzi żonie braku czasu. Był zbyt mądrym człowiekiem, by dłużej łudzić się tą popularną męską wymówką. Pieniądze są potrzebne, zwykle nawet konieczne, ale pod warunkiem, że ich zdobycie nie grozi utratą czegoś o wiele cenniejszego.

Chyba jestem już na to wszystko za stary – pomyślał. – Nie kręci mnie prowadzenie biznesu jak Leszka na przykład.

Obsługiwał machinalnie klientów, ale myślami był daleko.

Spoglądał niecierpliwie na drzwi. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie przyjedzie Marta, a on będzie mógł stąd wyjść. Chciał już pędzić do żony.

* * *

Późnym popołudniem Maryla robiła zakupy w supermarkecie, niedaleko mieszkania Marcina. Udało jej się wreszcie uprzątnąć. Choroba mamy znacznie skomplikowała codzienne życie, a wyrzuty sumienia wszystkim mocno dawały się we znaki. Zwłaszcza Maryli.

Przeprowadziła się do domu rodziców z myślą, że będzie im pomagać, jak wcześniej jej najmłodsza siostra, Anielka. Tymczasem gładko weszła w wygodny układ. Pozwalała mamie opiekować się wnukami, wołała ją na pomoc przy każdej okazji i nie zauważyła nadciągającego cienia.

Zacisnęła mocniej dłonie na rączce wózka z zakupami. Była wściekła na siebie. Machinalnie wrzucała kolejne produkty. Trasę w tym markecie miała już tak dobrze wyćwiczoną, że mogłaby wędrować między półkami nawet z zawiązanymi oczami. Dzisiaj brała wszystkiego dwa razy tyle, co zwykle. Po pierwsze, była teraz odpowiedzialna także za tatę, po drugie, miała ochotę ugotować coś dobrego dla Marcina, no i – najważniejsze – przed chwilą dostała wiadomość, że mama została wypisana ze szpitala. To oznaczało rodzinną kolację. Zamierzała porządnie się przyłożyć do tego zadania.

Wzięła do ręki dorodnego kurczaka ze sprawdzonej hodowli i już go sobie wyobraziła z chrupiącą złotą skórką, jak pachnie, napełniając dom aromatem, który ładnie się komponuje z zapachem chleba, takiego samego, jak ten upieczony przez mamę tuż przed

zasłabnięciem, wciąż przenikającym ściany kuchni. Nagle jednak wypuściła foliowe opakowanie z rąk, a kurczak wtoczył się bezwładnie do wózka, rozrzucając misterną konstrukcję z jogurtów. Maryla miała wrażenie, że tuż za rogiem, w następnej alejce, mignęła jej kwiecista spódnica w towarzystwie wyjątkowo jasnych włosów. Biodra, które opinał modny ciuch, kołysały się w charakterystyczny sposób.

– Co ona tu robi? – wyszeptała z oburzeniem. Paulina mieszkała na drugim końcu miasta. Nie miała powodu, by robić zakupy właśnie tutaj. – Nie wierzę w takie przypadki.

Maryla niczym szpieg powoli podeszła do końca regałów i ostrożnie wyjrzała.

Tak, to była ona. Paulina. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Co gorsza, kupowała wino, bagietki, ser i winogrona. Marcin uwielbiał taki zestaw. Zawsze, kiedy tylko finanse na to pozwalały, świętowali w ten sposób swoje rocznice albo spędzali wieczory. Nieodłącznym elementem był jeszcze dobry film.

Maryla poczuła, jak robi jej się gorąco. Co innego dawać związkowi szansę, a co innego być naiwną idiotką. Nie miała zamiaru dać się nabrać. Jeśli oboje ją oszukiwali, to była gotowa na wszystko. Zwłaszcza że stawką mogło być także ogromne rozczarowanie dzieci. Tak bardzo się cieszyły, że rodzice znów są razem.

Paulina ruszyła w stronę kas. Kołysała swoimi krągłymi biodrami z denerwującą pewnością siebie, charakterystyczną dla kobiety, która wie, jak wielką ma władzę nad przedstawicielami płci przeciwnej, także tymi, którzy teoretycznie pozostawali w stałych związkach.

– Niech cię diabli... – wyszeptała Maryla. Poczekała, aż rywalka zapłaci, zostawiła swój koszyk i ruszyła za nią, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości. Ale żołądek bolał coraz mocniej, bo Paulina, jak po sznurku, szła prosto w stronę mieszkania Marcina.

Będą świętować przeprowadzkę? – Maryla nie mogła się nadziwić. To wszystko nie trzymało się kupy. Przecież jej mąż wiedział, że ona robi tutaj sprawunki. Umówili się za pół godziny. Miał ją zawieźć do domu. Gdzie tu miejsce na romantyczne spotkanie z byłą?

A jednak Paulina stanęła pod właściwą klatką i nacisnęła przycisk domofonu. Po chwili wystukała kod i weszła do środka. Maryla skuliła się z bólu na tej samej co wcześniej ławce. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Biec tam i rozpędzić romantyczną parę? Zrobić im karczemną awanturę? Pobić, podrapać? Nic nie mogło ukoić jej cierpienia. Taka ilość zbiegów okoliczności nie mogła być przecież przypadkiem.

Siedziała na ławce i wpatrywała się w wejście. W końcu, pchnięta impulsem, nad którym nie zdążyła się nawet zastanowić, podbiegła i również nacisnęła mocno, agresywnie dzwonek domofonu. Potem jeszcze jeden raz i drugi. Nikt nie odpowiedział. Poczucie żalu zatamowało jej oddech. Oparła się o drzwi, a potem chwiejnym krokiem wróciła na ławkę. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w miejsce, skąd jeszcze niedawno zniknęła Paulina. Jej wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, podsuwając coraz to gorsze obrazy.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Z odrętwienia wyrwał ją dźwięk telefonu.

– Gdzie jesteś? Czekam na parking, tak jak się umówiliśmy. Kwitnę tu już od dziesięciu minut, a ciebie nie ma.

Zajęło jej dłuższą chwilę, zanim zdołała odpowiedzieć. Miała wrażenie, że traci zmysły. Nic do niczego nie pasowało.

– Hej, słyszysz mnie? – niecierpliwił się Marcin.

– Tak – odpowiedziała z trudem. – Poczekaj jeszcze chwilę. Zaraz będę.

– Dobrze, ale pospiesz się. Musimy zdążyć do przedszkola.

– Wiem – odparła i rozłączyła się.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Czy Marcin mógł wyjść z mieszkania w taki sposób, że tego nie zauważyła? Czy były tu jakieś piwnice łączące poszczególne klatki, boczne wyjścia czy niewidoczne z tego miejsca okna? Tego nie wiedziała. Miała jednak świadomość, że spiskujący kochankowie są zdolni do tkania misternych intryg. Nigdy nie brakuje im nowych pomysłów, by wprowadzić w błąd oficjalnego partnera. Doznają takich przyłyków inspiracji, że gdyby wykorzystali je w dobrych inicjatywach, mogliby osiągnąć coś naprawdę wielkiego. Ale życie pokazuje też wyraźnie, że każda, najlepsza nawet kombinacja kłamstw kiedyś się sypnie.

Czy to był taki właśnie moment? Nie miała na to żadnych dowodów. Prócz widoku Pauliny znikającej za drzwiami klatki schodowej prowadzącej do mieszkania Marcina.

Maryla wstała. Nie mogła sobie pozwolić na dłuższe medytacje. Mąż miał rację. Trzeba było odebrać dzieci z przedszkola. Ten prozaiczny fakt zadecydował o tym, że ruszyła z powrotem w stronę sklepu, mając nadzieję, że wózek z zakupami wciąż tkwi w tym samym miejscu. Na szczęście bez trudu udało jej się go odnaleźć. Zapłaciła, po czym z wysiłkiem, jak człowiek bardzo zmęczony, zaniosiła reklamówki do samochodu.

Marcin wyskoczył, by jej pomóc. Z pewnością w ciągu ostatniej godziny nie pił alkoholu, bo prowadził. Nie poczuła też od niego zapachu francuskiego sera, kiedy przytuliła się specjalnie mocno na przywitanie. Ale czy to był dowód jego niewinności? Co do tego nie była przekonana. Wsiadła do auta z ciężkim sercem.

ROZDZIAŁ 17

Jan wbiegł do budynku szpitala. Szybko pokonał schody i zatrzymał się na piętrze. Dopadła go mocna zadyszka. Trzymał się balustrady i opanowywał ciemne plątki fruujące przed oczami.

To już nie dla mnie – pomyślał. – Praca na pełen gwizdek, kariera i duża rodzina. To zadanie dla młodych.

Wiedział już, że ta myśl, skoro raz zakiełkowała, tak łatwo już go nie opuści. Choroba Heleny zmieniła bardzo dużo w życiu rodziny. Ale jednocześnie poczuł żal. Rezygnacja z pracy oznaczała pogodzenie się ze starością, w pewnym stopniu odstawieniem na boczny tor. Julia była do niego bardzo podobna. Oboje potrzebowali do szczęścia działania. Pracy zawodowej, zarabiania pieniędzy i poczucia, że są w głównym nurcie życia. Jan nie był tylko pewien, czy to go nie zaczęło przerastać.

– Ciągłe zmiany – mruczał pod nosem. – Ledwo się człowiek do czegoś przyzwyczai, zorientuje w nowej sytuacji, już jest inaczej. Ktoś wyjeżdża, wraca, kłóci się lub godzi.

Zatęsknił trochę za dawnymi czasami, kiedy wszystko działo się wolniej, a przynajmniej takie odnosił teraz wrażenie.

Podszedł do pokoju Heleny i zajrzał dyskretnie do środka.

Leżała na łóżku. Miała przymknięte powieki i blade policzki, ale była już gotowa do drogi. W wygodnej niebieskiej sukience, którą jej przywiózł, wyglądała tak dziewczęco. I bezradnie.

– Cześć, kochanie – pocałował ją w czoło, a ona spojrzała mu w oczy. – Zabieram cię do domu i nigdzie już się stamtąd nie ruszymy. Oboje.

Była to obietnica złożona pod wpływem impulsu. Widok Heleny, tak bardzo słabej, sprawiał, że Jan nie miał już ochoty na nic innego, jak tylko trwać przy niej i ją chronić. Ale to w praktyce mogło się okazać nie takie łatwe.

– Dobrze – odparła i podniosła się z trudem. Powoli odzyskiwała siły. Lekarz zapowiedział, że będzie musiała teraz dużo odpoczywać i ograniczać stres, bo w przeciwnym razie natychmiast wróci na oddział. Okazało się, że jej serce niedomagało już od dawna. Ale ona nie badała się, nie leczyła. Bagatelizowała objawy, aż niewydolność krążenia zaatakowała z całą mocą, omal nie pozbawiając jej życia.

Jan posadził żonę na wózku i zawiózł do samochodu.

Jechali w milczeniu. Tak samo cicho pokonali bramę, starając się nie myśleć o tym, co się tu niedawno wydarzyło. Powoli weszli do środka...

Przywitał ich dobrze znany, kojarzący się z bezpieczeństwem zapach świeżego chleba i wpadający przez otwarte okna aromat sadu. Helena od razu poczuła się lepiej. Żadne szpitalne lekarstwo nie miało takiej mocy.

– Babcia! – Szymek rzucił się w jej stronę.

– Ostrożnie – powstrzymał go Marcin. – Delikatnie. Babcia jest jeszcze bardzo słaba.

– Już mi lepiej – odparła Helena, ściskając chłopców. Przywitała się też z Marylą i Marcinem. – Boże, jak ja za wami tęskniłam – westchnęła. – Byłam pewna, że już mi się nie uda wrócić.

– Nie mów tak – Maryła objęła ją serdecznie. – Daliśmy straszną plamę, ale teraz wszystko się zmieni.

– To nie wasza wina – uśmiechnęła się i usiadła. Jej siły były jednak mocno nadszarpnięte. Spojrzała na pięknie zastawiony stół, a potem na rodzinę.

– Julia zaraz tu będzie, a i Anielka dzwoniła. W razie potrzeby natychmiast przyjedzie.

– Spokojnie – odparła Helena. – Była przecież już dwa razy. Wszystko jest pod kontrolą, a ona ma teraz nową pracę. Nie może wciąż brać urlopów.

– Zaparzyłem herbatę – powiedział Marcin.

Potrawy były pięknie przygotowane, choć proste, bo Maryła nie zdążyła przyrządzić niczego bardziej wyszukanego. Dzieci tuliły się do odzyskanej babci, ich rodzice patrzyli na te wyrazy czułości z uśmiechem, ale Helena czuła, że coś jest nie w porządku. W powietrzu wisiało jakieś napięcie. Ukrywane ze wszystkich sił.

Coś się wydarzyło – domyśliła się i westchnęła ze smutkiem. Tak się cieszyła, że w małżeństwie Maryli znów się układa. Tymczasem w czasie jej nieobecności coś ważnego się stało. Nikt jej oczywiście nie zamierzał powiedzieć o kłopotcie, bo teraz wszyscy uparli się ją chronić. Ale ona sama przecież widziała. Miała tylko nadzieję, że to, co poróżniło młodych, to jakiś drobiazg, a nie poważny problem.

* * *

– Możesz powiedzieć, co się stało? – Marcin starał się mówić szeptem. To był jeden z negatywnych skutków przeprowadzki. Trochę stracili na prywatności i nawet kłócić musieli się po cichu. Za to dzieci biegały po słonecznym ogrodzie i mogli bez świadków porozmawiać. – Masz dziwną minę, kiedy na mnie patrzysz – powiedział. – Nie odpowiadasz na pytania.

Dźwięk telefonu przerwał im rozmowę. Marcin przelotnie spojrzał na wyświetlacz i szybko odrzucił połączenie.

To ona – domyśliła się Maryła i w tym momencie pękły jej wszelkie blokady. Nie potrzebowała już żadnych kolejnych dowodów. Granica została przekroczona. Święty by dostał szału. Zabolało tak mocno, że nie była zdolna do żadnych wyjaśnień. Nie miała na nie siły. Sama nie wiedziała, co byłoby gorsze. Słuchanie kłamstw i wymówek czy przyznanie, że wszystko jest prawdą i Marcin prowadzi podwójne życie.

– Dla mnie to za dużo! – zawołała. – Wychodzę.

Trzasnęła drzwiami.

– Czy możesz mnie chociaż wysłuchać?! – usłyszała jeszcze krzyk Marcina. Ale nie odpowiedziała. Żadne wyjaśnienia nie wchodziły w grę. Poziom żalu był zbyt wysoki. Wbiegła do salonu z zamiarem schowania się na tarasie, ale tam dostrzegła rodziców. Siedzieli ciasno objęci i cicho rozmawiali. W ogrodzie piszczeły chłopcy. Z kuchni płynęły jakieś apetyczne aromaty i słychać było stukot pokrywek, co oznaczało, że ciotka Marta opuściła już posterunek w księgarni i przybyła coś jeszcze dodatkowo ugotować z okazji

powrotu siostry. Może zrobić na wszelki wypadek zapasy. Chyba jeszcze nie wierzyła do końca w umiejętności siostrzenicy.

Maryla rozejrzała się w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby się spokojnie wypłakać. Otworzyła boczne drzwiczki i stromymi schodkami zbiegła do piwnicy. Zadrżała pod wpływem chłodnego powietrza. Potem weszła do spiżarni. Spojrzała na równe rzędy słoików, gromadzone od miesięcy przez mamę i ciotkę. Wyglądały pięknie. Wszystkie kolory lata zamknięte w ładnie ułożonych wekach. Pełne witamin warzywa i słodkie konfitury. Ale i one miały swoją ciemną stronę. Kosztowały sporo wysiłku i też miały swój udział w chorobie mamy.

Tych zmartwień było ostatnio zbyt wiele. Gabrysia wciąż leżała w szpitalu i nieustające czekanie na wieści sprawiało, że wszyscy bardzo nerwowo reagowali na dźwięk telefonu i byli ogólnie mocno zestresowani. Anielka nawet rozważała, czy nie rzucić wszystkiego i nie wracać do domu. Pomóc ojcu w księgarni i mamie w domu. Kiedy ona tutaj mieszkała, dobrze sobie radziła z tymi obowiązkami. Ojciec wciąż wspominał, jak mu teraz bez niej ciężko. Była jego prawą ręką w pracy i w domu. Mama tego nie komentowała, ale mogła myśleć podobnie.

Maryla skuliła się. Siostra nie powiedziała jej ani jednego złego słowa. W czasie każdej wizyty w szpitalu, kiedy się spotykały, była serdeczna i wciąż pytała, czy może jakoś pomóc. Ale Maryla czuła się winna. Nie była dość dobra i nie zdołała sprostać zadaniu. Nosila to uczucie cały czas, a choroba mamy tylko je pogłębiła.

Sprawa spotkań Marcina i Pauliny była ciosem padającym na człowieka bardzo osłabionego, który z trudem podnosi się po kryzysie. Łatwo było ją zranić. Miała tak mało pewności siebie. Czuła się przegrana na każdym polu.

Usiadła na podłodze i skuliła w kłębek. Łzy popłynęły od razu.

ROZDZIAŁ 18

– Ja bym zaczęła od skoszenia trawy.

Julia spojrzała na stary sad i próbowała znaleźć odpowiedni system, który mógłby mu stopniowo przywrócić dawną świetność. Nie była przesadną zwolenniczką sprzętania, ale bolało ją serce na widok tej pięknej posiadłości chylącej się ku upadkowi.

– Masz tutaj jakiś sprzęt?

– Coś tam chyba w szopie po dziadku zostało – Bartosz drapał się po głowie w zamyśleniu. – Będzie z tym strasznie dużo roboty.

– Oj tam. Nie przesadzaj. Dla takiego faceta jak ty to minutka. Machniesz kilka razy i nawet nie zauważysz, kiedy skończysz.

Mina Bartosza wyrażała powątpiewanie.

– Niech ci będzie – zgodził się w końcu. – Jak już postanowiłem, to nie ma się co ociągać.

– To dobrze. Bierz kosę spalinową i rozpraw się najpierw z największymi zielskami. A ja ci w tym czasie wysprzątam ganek. Zakochałam się w nim.

– Tylko bez stałych związków – zastrzegł Bartosz i z wyraźnym brakiem wprawy zaczął zakładać na ramiona specjalne pasy. – Ja nawet nie wiem, czy będę umiał to obsłużyć.

– Boże! Co za facet! Stałych związków nie uznaje, na robocie się nie zna. Istny antyideał.

– Ale umiem żyć – roześmiał się zawadiacko. – To mi wystarcza. A w kwestii ganku masz moje błogosławieństwo. Nawet jeśli miałyby z tego wyniknąć coś poważnego. To solidna robota mojego dziadka. Powinien utrzymać ciężar odpowiedzialności.

Julia spojrzała na Bartosza uważnie. Słońce zabawnie prześwietlało jego rozwichrzoną fryzurę. Z rozpiętej koszuli wystawała dobrze zbudowana męska pierś, a odsłonięte rękawy pokazywały silne ramiona. Miał zadatki na wzorcowego faceta, ale te jego poglądy skreślały go już na wstępie.

– Ty tak na poważnie z tymi związkami? – zapytała.

– Tak – odparł. – Taką mam życiową filozofię. Możesz się przy mnie czuć bezpiecznie. Nie będę cię atakował żadnymi propozycjami, jak twój były na przykład. Słowa „zaręczyny” to nawet nie znam.

Uśmiechnęła się, bo bardzo zabawnie wyglądał. Silny facet, wyraźnie nieradzący sobie z podstawowymi czynnościami gospodarskimi, próbujący ogarnąć obsługę prostego urządzenia.

Podobał jej się mimo ewidentnej wady, jaką stanowiła niemożliwość zbudowania z nim związku. Ale nie była pewna, czy jej podstawową potrzebą jest teraz poczucie bezpieczeństwa. Może jeszcze wczoraj tak by powiedziała. Ale teraz, stojąc w słonecznym, opuszczonym sadzie, miała ochotę na coś innego. Na przygodę. Tylko że przecież nie będzie się narzucać obcemu facetowi. Nie w ten sposób.

Odwróciła się w stronę ganku. Prezentował się wyjątkowo. Właściwie była to weranda,

trochę podobna do tej, którą przed laty zbudował jej tata. Drewniana, ozdobiona rzeźbionymi ornamentami. Można sobie było wyobrazić, jak fajnie siedzi się tutaj wieczorem. Byle nie samemu.

Spojrzała w stronę Bartosza. Z odległego zakątka sadu niósł się dźwięk silnika spalinowego. To oznaczało, że mężczyzna dał radę przynajmniej włączyć urządzenie. Pozostawało mieć nadzieję, że potrafi nad nim zapanować.

– Może sobie nie zrobi krzywdy – westchnęła i zabrała się za porządki.

Zwykle za tym nie przepadała, ale dzisiaj, w tym miejscu, fizyczna praca sprawiała jej przyjemność. Zbiegła po schodkach, by wyrzucić zmiecione śmieci. Spojrzała z pewnej odległości na dom. Był niewielki. Miał pomalowane na zielono ściany, brązowy dach i duże okna. Wymagał z pewnością pilnych napraw i gruntownego odświeżenia, ale można się było w nim zakochać.

Westchnęła, bo przypomniała sobie ostrzeżenia Bartosza. Nie można było wykluczyć, że mówi poważnie. To był jego spadek. Dom, ogród i koty. Przywiązywać się do tego miejsca byłoby wielkim ryzykiem.

Trzy godziny później padli oboje na trawę pod starą gruszą. Bartosz przyniósł kilka butelek wody, po czym zawartość jednej z nich wylał sobie na głowę.

– Co za robota! W kamieniołomach mają lżej – zawołał. Wytarł czoło w koszulę, a potem ściągnął ją i rzucił na trawę. Julia poczuła się trochę skrępowana. Odsunęła się nieco, by ich ramiona bezpośrednio się nie dotykały. – A tobie jak poszło? – zapytał, pochylając się w jej stronę. – Wyglądasz świeżutko jak po turnusie w spa.

Zarumieniła się, bo rzeczywiście po skończonych porządkach poszła do łazienki, starannie się umyła, a nawet zrobiła sobie pełny, jak na nią wyjątkowo staranny makijaż. To musiało się rzucić w oczy.

– Trzeba umieć pracować – uśmiechnęła się wymijająco. Nie chciała, by wiedział, że starała się z pomocą kilku kosmetyków, leżących na dnie torebki, zrobić na nim wrażenie.

– Chyba tak. Ja tego nie potrafię – Bartosz padł na trawę, a następnie polał się resztą wody po torsie. – Mam nadzieję, że na ten rok z obowiązkami gospodarskimi koniec.

– Oszalałeś? – zdumiała się. – Jeszcze dzisiaj trzeba by to wszystko zgrabić, wywieźć, a potem skosić niższą trawę i poobcinać suche gałęzie – mówiła szybko. Geny mamy i ciotki Marty nagle odezwały się w niej z całą siłą. – Pociąć je na mniejsze kawałki i zostawić do wysuszenia. Potem...

– Spójrz na to inaczej – Bartosz przerwał i przyciągnął ją, by się położyła tuż obok niego. Ułożył jej głowę tak, by mogła spojrzeć w niebo. – Z tej perspektywy moja działka prezentuje się doskonale – powiedział.

Julia zmrużyła oczy. Przez liście drzewa sączyło się światło słoneczne. Wyglądały jak pozłacane sztabki na tle błękitnego nieba.

– Popatrz na to i wrzuć na luz. Mamy wszystko, czego nam trzeba.

Pokręciła głową, ale nie zaprotestowała. Miło się tak leżało w trawie, z rękami podłożonymi pod głowę. Nie pamiętała, kiedy robiła to po raz ostatni. Przymknęła oczy. Słyszała wokół kojące brzęczenie pszczelich skrzydeł. A w ciele czuła wszystkie ostatnie miesiące pracy, każdy stres i zmartwienie, łącznie z trzema godzinami spędzonymi na szorowaniu werandy Bartosza.

– Oddychaj spokojnie – powiedział do niej. – Nie bój się. Zaczepnij powietrza. Tutaj jest bardzo czyste. Samo dobro.

Posłuchała go i po chwili poczuła, jak całe jej ciało się odprężyło. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

* * *

Maryla wyszła z piwnicy spłakana, ale silniejsza. Zająłoby jej to sporo czasu, ale uspokoiliła się i dokładnie wszystko przemyślała. Jeszcze jeden raz postanowiła dać Marcinowi szansę. Nie wyciągać pochopnych wniosków. Źródłem jej siły był fakt, że pragnęła niewinności męża ponad wszystko. Zakochała się w nim po raz drugi. Jeszcze mocniejszą miłością kobiety po przejściach, która wiele spraw lepiej rozumie i docenia inne rzeczy niż kiedyś. Pragnęła, by ten związek był trwały, także ze względu na dzieci. Tak się cieszyli, że rodzice znowu są razem.

Bezszelestnie weszła do pustej kuchni. Wokół panowała cisza. Chłopcy przestali hałasować w ogrodzie, a rodzice zniknęli z tarasu. Zamknięte drzwi ich sypialni świadczyły o tym, że zapewne już się położyli. Zerknęła na zegar. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Weszła do łazienki i przeraziła się własnym wyglądem. Dobrze, że chłopców nie było w pobliżu. Na pewno jej widok w tym stanie by ich zaniepokoił.

Spojrzała ze smutkiem na własne odbicie. Było jej tak bardzo przykro. Czy to taka zbrodnia, że miała nadzieję, iż jej życie wreszcie się ułoży? Czy musiała natychmiast zostać za to ukarana?

Starła płatkami kosmetycznymi resztki makijażu i przemyła twarz zimną wodą. Odetchnęła kilkakrotnie, po czym znów ochlapała policzki. Wyglądała odrobinę lepiej, ale efekt wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Posmarowała policzki i skórę pod oczami fluidem, żeby nie straszyć dzieci, i spojrzała w stronę drzwi prowadzących do ich pokoju. Nie słyszała żadnych głosów, a na podłodze nie kładła się zwykła plama światła. W środku musiało być ciemno.

Pewnie oglądają z tatą film – domyśliła się. Zajrzała do największego pomieszczenia w ich nowym mieszkaniu, ale tutaj też było pusto. Wyłączony telewizor błyszczał w mroku lekko zakurzonym ekranem. Wróciła do dzieci. Ostrożnie uchyliła drzwi.

Spali. Nawet się nie poruszyli, kiedy weszła. Marcin musiał się dobrze postarać, by ich położyć o tak wczesnej porze. Teoretycznie powinni byli zasypiać o dwudziestej, ale w praktyce różnie to bywało. Poprawiła chłopcom kołdry i pogłaskała po głowach. Świeży zapach szamponu świadczył o tym, że zostali również starannie wykąpani.

Ojciec ideał – pomyślała i żołądek skrzywił się od nagłego impulsu stresu.

Wróciła do drugiego pokoju i zajrzała do sypialni. Marcin też spał. Albo udawał. Trudno było stwierdzić. W każdym razie leżał w łóżku, w piżamie, do połowy przykryty kołdrą. Miała ochotę jemu również poprawić pościel, ale powstrzymała się. Zrobiła kilka kroków w tył, po czym wróciła do łazienki i też przygotowała się do pójścia do łóżka. Sprawdziła jeszcze wyświetlacz telefonu, skasowała kilka nieodebranych połączeń od Marcina i, czując lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, położyła się obok męża.

Pchało ją gwałtowne pragnienie, by mocno się do niego przytulić. Ale nie zrobiła tego.

Jej pewność siebie w tym związku została mocno osłabiona. Choć postanawiała sobie, że nie pozwoli, by podejrzenia zniszczyły jej na nowo tworzone małżeństwo, to jednak nie umiała wrócić do bez troski ostatnich dni.

Nie wiedziała, czy Marcin zauważył, że przyszła. Nawet nie drgnął, ale oddychał wyjątkowo spokojnie. To by świadczyło o tym, że jednak nie śpi. Zwykle sapał, pochrapywał i trzeba go było szturchać łokciem, by się uspokoił. Dzisiejsza cisza w małżeńskiej sypialni sprawiała wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie. Marcin zachowywał się dziwnie. Czy był niewinny i obraził się z powodu jej dziwnego zachowania? Czy też grał do końca, by jak najdłużej chronić swój potajemny związek? Nie umiała tego zinterpretować.

ROZDZIAŁ 19

– Co ja robię? – Julia zerwała się, rozmasowując zdętwiałą rękę. Słońce już zaszło, zrobiło się chłodno i tym właśnie wytłumaczyła sobie fakt, że obudziła się szczerze przytulona do Bartosza, z nogą na jego kolanie. – Tak się kończy uleganie spontanicznym nastrojom – pomyślała z irytacją.

Wstała cicho, otrzepała się z resztek trawy i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu mężczyzny. Miała dość na dzisiaj. Sprząatanie czuła we wszystkich kościach. Po zachodzie słońca niebo zrobiło się szare, ogród też stracił wiele ze swojej magii. Paradoksalnie, w zapadającym półmroku widać było jeszcze wyraźniej, ile pracy trzeba by włożyć w to miejsce, by stało się możliwe do zamieszkania.

– Zawsze tak jest – mruzczała pod nosem. – Najpierw romantyczne porywy, a potem wszystko cię boli, mnóstwo komplikacji, a facet śpi w najlepsze. To nie dla mnie.

Bez skrpułów pożyczyła od Bartosza sweter. Ledwo rozbudzona, trzęsła się z chłodu.

– Nawet nie zauważy, że go nie ma – wyszeptwała, ściągając golf z oparcia krzesła i zakładając go przez głowę. Odetchnęła z ulgą. Był niezwykle przyjemny w dotyku, grzał, choć nie był zbyt gruby. Na niej wyglądał jak całkiem zgrabna tunika.

Oddam go tylko, jeśli się upomni – postanowiła w duchu, przeglądając się z zadowoleniem w lustrze. – Co się ze mną dzieje? – zastanowiła się zaraz potem. – Śpię pod drzewami z nieznanym w gruncie rzeczy facetem, myję mu za friko werandę, kradnę sweter. To mi się jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło. Czas uciekać – pomyślała.

Ten wniosek nasuwał się sam. Szaleństwo było może i przyjemne, ale z pewnością miało swoją cenę. Julia nie zamierzała jej płacić. Ledwo zdołała osiągnąć jaką taką stabilizację, poczuć prawdziwą wolność po poprzednim zauroczeniu. Nie zamierzała od razu pakować się w kolejne kłopoty.

Bartosz nie nadawał się do tego. Co to za facet, który boi się kota! Ludzie! Dajcie spokój.

Wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę swojego mieszkania. Tata przysłał jej wiadomość, aby odwiedziny u mamy przełożyła na jutro, bo wprawdzie mama wróciła ze szpitala, ale wciąż jest bardzo słaba i musi dużo odpoczywać. Julia stłumiła niepokój.

Zaparkowała na osiedlu, po czym z ulgą zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Nie przepadała za nim. Urządzone dawno temu przez leciwego właściciela, który nie pozwalał na żadne zmiany, nie było specjalnie piękne, a już na pewno nie nowoczesne. Ale za to jakie bezpieczne.

Wszystko było tutaj takie normalne. Kuchnia, meble, podłoga. Żadnych niespodzianek jak u Bartosza, który na przykład suszone kabanosy trzymał w szafce przy łóżku, żeby mieć blisko, kiedy zgłodnieje podczas czytania książek. Całe stosy powieści wały się również pod ścianami w sypialni, ozdobione skarpetkami bez pary i jakimiś papierami z biura.

Julia podeszła do pojemnika i wzięła Żwirka na ręce.

– Nie masz pojęcia, gdzie ja dzisiaj byłam. Nie przetrwałbyś ani dnia w takim chaosie. Rozejrzała się wokół.

– U nas też czas wreszcie zrobić porządek z prawdziwego zdarzenia – powiedziała i pogłaskała zwierzątko z czułością, jakiej nigdy nie doczekał się z jej strony Ksawery. – Nie ma się co łudzić, że prędko się stąd wyprowadzimy.

Wypuściła ulubieńca na podłogę, żeby sobie pobiegał.

– W przychodni nie dzieje się najlepiej – zwierzała się dalej. – A nasze cztery kąty są może niezbyt ładne, ale za to wyjątkowo tanie. Poza tym od czego kreatywność? Posprzątam i coś wymyślimy, żeby zrobić temu mieszkaniu mały lifting. Co ty na to?

Jeśli nawet Żwirek się zgadzał, to nie miał zamiaru brać czynnego udziału w pracach. Schował się za szafą i tylko się przyglądał.

– Jesteś dokładnie taki sam jak Bartosz – powiedziała Julia z wyrzutem. – Interesują cię wyłącznie przyjemności. A tak się na dłuższą metę nie da. Ale za jedno jesteśmy naszemu pogromcy kotów bardzo wdzięczni. Trochę odczarował rzeczywistość. Czuję się o wiele mniej spięta niż wcześniej.

Żwirek przyglądał się z ciekawością, jak Julia wyciąga rękawice i zabiera się energicznie za szorowanie kuchni. Nie był to w tym mieszkaniu aż tak częsty widok. Ale nieliczne popołudnia z Bartoszem dały jej dwie cenne lekcje. Po pierwsze, życia nie ma co brać tak bardzo na poważnie, czasem warto po prostu odpuścić. A po drugie, jeśli się pozwoli, by w otoczeniu zapanował zbyt wielki chaos, może on przejąć kontrolę nad życiem.

Julia pracowała do późna, ale kiedy już skończyła, mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej. To był pierwszy widoczny na zewnątrz znak, że wiele się zmieniło, a spotkanie z Bartoszem, rozmowy i wspólnie spędzony czas mają na nią o wiele większy wpływ, niż przypuszczała.

ROZDZIAŁ 20

Maryla i Marcin obudzili się rano, wyrwani ze snu podwójnym trąbieniem budzików. Zerwali się jednocześnie, co spowodowało lekką konsternację. Oboje spojrzeli na siebie, po czym jak na komendę gwałtownie odwrócili głowy w przeciwnych kierunkach, nie wiedząc, od czego zacząć rozmowę. Pojawiło się między nimi trudne do pokonania napięcie.

– Możesz iść pierwsza – Marcin wskazał łazienkę.

– Dziękuję – odpowiedziała. Wstała i zawinęła się szczelniej szlafrokiem. Było coraz gorzej. Każda chwila milczenia pogłębiała dzielącą ich szczelinę. Za moment mogła się ona zamienić w przepaść.

Ale Maryla nie czuła się na siłach, by coś w tej sprawie zmienić. Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Słyszała jednak, że Marcin zaczął budzić chłopców. Od momentu, kiedy postanowili jeszcze raz dać sobie szansę, był naprawdę dobrym ojcem. Angażował się, wykazywał inicjatywę. Nie trzeba mu było wszystkiego wskazywać palcem.

Westchnęła. Chłopcy za nim przepadali. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak zareagują na kolejny kryzys w związku rodziców.

Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Wyglądała dzisiaj zdecydowanie gorzej niż jeszcze kilka dni temu. Obawy, zmartwienia, kilka godzin płaczu – to wszystko wyraźnie odbijało się na jej wyglądzie. Miała czterdzieści lat. W tym wieku można oszukiwać czas, ale płaci się za to konkretną cenę. Miłość i szczęście były jedynymi darmowymi i na dodatek doskonałymi zabiegami kosmetycznymi. Przekonała się o tym na własnej skórze. Ledwo straciła dostęp do tego źródła energii, natychmiast zobaczyła zmianę.

Weszła pod prysznic i próbowała odbudować życiową energię. Kiedy wyłączyła już wodę i zaczęła się wycierać, usłyszała wesołe piski po drugiej stronie drzwi. Miała wrażenie, że żołądek zwinął jej się w supeł. Nawet sobie nie potrafiła wyobrazić, że zaraz usiądzie z chłopcami na kanapie i powie, że tata znów się będzie musiał wyprowadzić.

Ale z drugiej strony godzić się na zdradę? Udawać, kłamać na każdym kroku? To było niemożliwe.

Może jej wcale nie ma? – bardzo chciała w to uwierzyć. Z całego serca. Przecież mogła się mylić. Czasem zdarzają się w życiu takie nieprawdopodobne sploty przypadków, że gdyby je opisano w powieści, nikt by nie uwierzył, iż mogłyby się wydarzyć naprawdę. A jednak tak było. Czy warto z powodu podejrzeń, które przecież wciąż były jedynie przypuszczeniami, niszczyć rodzinę?

Oczywiście, że nie warto – odpowiedziała sobie i odetchnęła trochę głębiej. Ciężar odrobinę się zmniejszył. Na tyle, że kiedy się ubrała i wyszła, zdołała spojrzeć Marcinowi w oczy i uśmiechnąć się. Odpowiedział tym samym.

– Ja już się umyłem u babci... – Kubaś wpadł do pokoju, gotowy do wyjścia. – Tak długo

siedziałaś w łazience, że nie mogłem już wytrzymać.

– Przepraszam – powiedziała i pogłaskała synka po głowie. – Ale świetnie sobie poradziłeś. A zapukałeś do babci? – zaniepokoiła się nagle. – Zapytałeś, czy możesz wejść? Mam nadzieję, że jej nie obudziliście.

– Skąd – oburzył się chłopiec. – Bardzo się ucieszyła. Teraz Szymek się myje. Ale śniadania nie ma – dodał.

– I nie będzie – Maryla nagle przyspieszyła. Lata przyzwyczajęń robiły swoje. Wciąż zapominała, że w domu rodzinnym wiele się zmieniło i trzeba będzie od nowa podzielić obowiązki. – Chyba że sami zrobimy.

– Zaraz ci pomogę – powiedział Marcin. – Tylko się umyję i ubiorę – dodał i zniknął za drzwiami łazienki.

Maryla znów poczuła skurcz żołądka.

– Błagam! – wyszeptwała. – Niech to nie będzie prawda.

– Co mówiłaś, mamusiu? – zapytał synek.

– Nic takiego. Chodź ze mną. Zobaczymy, co jeszcze zostało w lodówce i czy da się z tego przygotować jakieś znośne śniadanie.

– Jest nutella – Kubuś machnął dłonią. – To wystarczy.

– A wiesz, że dzisiaj to sama chętnie zjem porządną bułkę z czekoladą. Potrzeba mi energii.

Synek spojrzał na nią czujnie. Włączył mu się system ostrzegawczy.

Sprawnie działa – pomyślała Maryla i ścisnęła jego dłoń. Chciała mu dodać otuchy, ale też zaczerpnąć trochę siły dla siebie. Czekał ją niełatwy dzień.

* * *

Śniadanie minęło w przyjemnej atmosferze. Zrobili mnóstwo kanapek i część z nich zanieśli nawet dziadkom do sypialni. Posprząтали pospiesznie i w lepszych nastrojach wyszli z domu. Chłopcy kopali jeszcze jakieś kamyki, więc Marcin musiał ich popędzać. W końcu wsiedli do samochodu i ruszyli.

Początkowo Maryla nie mogła zrozumieć, skąd się wzięło dziwne uczucie niepokoju, które natychmiast zaczęło jej towarzyszyć i narastało z każdą minutą. Chłopcy przekomarzali się na tylnym siedzeniu, a ona nie mogła się skupić. Co gorsza, dostrzegła, że Marcin też się z tym zмага. Kierował autem, ale cały czas dziwnie poruszał nozdrzami, jakby próbował coś wyczuć.

Zapach – uświadomiła sobie. To w tym był problem. W aucie wyraźnie dawał się wyczuć aromat dobrych, mocnych, damskich perfum. Z pewnością nie należały one do Maryli. Nie trwało długo, żeby równie silna, świdrująca myśl przeszła jej mózg. Przypomniała sobie, skąd zna ten zapach. Chyba w tym samym momencie, co Marcin, bo mężczyzna wyraźnie się zmieszał i nawet przestał odpowiadać na wesołe zaczepki synów.

Perfumy Pauliny.

Maryla zamknęła oczy i oparła głowę o fotel. Nie miała już siły. Dołożyła wszelkich starań. Wykazała się ogromną ilością dobrej woli, ale dłużej nie mogła ignorować faktów. Nie odezwała się ani słowem, nie chciała robić awantury przy dzieciach. Nie miała też na

nią siły. Straciła wszelką energię i wyłącznie sile woli i mocnemu przekonaniu, że dobro synów jest najważniejsze, zawdzięczała fakt, że zdołała chłopców zaprowadzić do sal w przedszkolu i jeszcze zamienić kilka uprzejmych słów z nauczycielkami.

Kiedy wróciła na parking, zobaczyła, że Marcin wietrzy auto. Przednie i tylne drzwi były otwarte na przestrzał. Miała ochotę uciec.

– Chodź tutaj – złapał ją za ramię. – I przestań mieć głupie myśli. Nie wiem, co się dzieje. Może coś się wylało. Sprawdzam to.

Kiwnęła głową. Miała wrażenie, że kręgosłup zmienił jej się w nitkę. Stracił zdolność do utrzymywania jej ciała w pionie. Padła na siedzenie samochodu.

– Maryla! – Marcin usiadł obok, złapał jej twarz w obie ręce i zmusił, by mu spojrzała w oczy. – Co ty myślisz? O co mnie podejrzewasz? Wiesz, jakie to by było świństwo?!

Kiwnęła głową. Tego jej nie trzeba było tłumaczyć. Czuła mdłości na samą myśl.

– Naprawdę sądzisz, że mógłbym to zrobić? – zapytał z naciskiem.

Czas płynął. Oboje powinni już pędzić do pracy. Ale Maryla nie mogła znaleźć odpowiedzi. Patrzyła na mężczyznę, którego dobrze знаła, i przypominały jej się w tym momencie same najlepsze chwile ich związku. Wszystkie te wydarzenia, które świadczyły dobitnie, że jej mąż, choć ma wady, to nie jest skończonym draniem ani kłamcą. Owszem spotykał się wcześniej z inną kobietą. Ale byli wówczas po rozwodzie. Zrobił to jawnie. Ona też nie kryła się ze swoimi nowymi znajomościami. Oboje próbowali na nowo ułożyć sobie życie. Dlaczego teraz miałby ją tak okrutnie oszukiwać? Nie wiedziała.

Ale cała sprawa nie wyglądała na dzieło przypadku.

– Nie sądzę, że byłbyś do tego zdolny – odpowiedziała po naprawdę długiej chwili. Mimo wszystko nie mogła inaczej. Jednak w głębi serca czuła, że w to nie wierzy. Że ta niepewność nie da jej żyć w spokoju.

Marcin zaciskał dłonie na kierownicy. Był blady i wyglądał na zmartwionego. Chciała go przytulić, pocieszyć i zapomnieć o wszystkim. Ale wciąż wyczuwalny, mimo wietrzenia, zapach perfum nie pozwalał na to. Nie wydawało jej się. Naprawdę działo się coś niepokojącego i jej mąż też sobie z tego zdawał sprawę. Był wyraźnie zdenerwowany, ale nie zamierzał przyznać się do winy.

– Jedźmy – poprosiła bardzo znużona. – Porozmawiamy o tym wszystkim wieczorem.

To nie było najlepsze wyjście, ale innego chwilowo nie umiała znaleźć. Musiała odłożyć myślenie na później, żeby nie zwariować. Marcin ruszył i po chwili wysiadła pod biurem. Była już mocno spóźniona, jednak stała tak przez chwilę i spoglądała za odjeżdżającym samochodem. Jeszcze chyba nigdy w życiu nie cierpiała tak bardzo.

ROZDZIAŁ 21

Helena siedziała na tarasie. Ułożona wygodnie na leżaku, z nogami owiniętymi w koc. Dobrze się czuła. Ale nie wolno jej było tego powiedzieć głośno. Rodzina reagowała wtedy bardzo nerwowo. Sama była sobie winna. Zataiła przed nimi swój zły stan i teraz nikt jej nie wierzył. Helena nie do końca rozumiała, dlaczego tak postąpiła. Wrzało w niej wtedy dużo emocji. Wiek niczego tutaj nie zmienił. Człowiek cierpi z powodu tęsknoty tak samo mocno na każdym etapie życia.

– Przyniosłem ci herbatę – powiedział Jan i usiadł obok niej. – Myślę, że po tym wszystkim kawa już na dobre odejdzie z naszego życia.

Poprawiła uczesane w kok włosy i uśmiechnęła się do męża.

– To ty musisz bardziej uważać na serce. W moim przypadku to była tylko mała awaria. Naprawdę jest mi już lepiej, więc nie muszę cały dzień siedzieć i odpoczywać.

– Zapomnij... – Jan umiejscowił się obok niej i pociągnął spory łyk aromatycznego napoju. – Będę cię teraz pilnował niczym tolkienowski smok skarbu. Nawet na minutę nie spuszczę cię z oka.

– Musisz przecież chodzić do pracy – westchnęła. – Już prawie południe. Naprawdę możesz spokojnie zostawić mnie samą. Mam telefon. W razie czego...

– Nawet o tym nie myśl. Na krok się stąd nie zamierzam ruszyć. I to nieprawda, że coś jeszcze muszę. Te czasy minęły w momencie, kiedy nasze dzieci dorosły. Teraz już tylko mogę.

– Ale księgarnia...

– Już jej nie ma – westchnął Jan. – Uświadomiłem to sobie tej nocy, kiedy stałem na korytarzu i czekałem na wieści o twoim stanie, a w międzyczasie biegałem do Gabrysi. Fakt, że jeszcze żyję, świadczy o tym, że moje serce ma się doskonale. Lekarze kłamali. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się wtedy bałem.

– Owszem, wyobrażam sobie – powiedziała. – Ale proszę cię – położyła mu dłoń na rękę. – Przestań się zadręczać i obwiniać. To ja ci przecież nie powiedziałam prawdy.

– Nie bez powodu – odparł. – Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że tak się zachowywałem. Że można tak się dać wkręcić. Sukces oszałamia, pozbawia zdrowego rozsądku. Zwłaszcza jeśli przychodzi po takim długim czasie posuchy i kłopotów. Miałem takie marzenie, że wreszcie raz w życiu będziesz mogła sobie kupić wszystko, czego potrzebujesz. Bez tego wiecznego zaciskania pasa.

– Ależ ja mam wszystko, czego potrzebuję. Nie muszę już niczego kupować. Żadnych rzeczy. Ciebie mi brakowało. Dziewczynek. Ale rozumiem...

– Przestań, proszę – przerwał jej Jan. – Jeśli teraz powiesz, że nie masz do nas żalu, to wyrzuty sumienia zagryzą mnie na śmierć. Miej żal, błagam cię.

– Dobrze – roześmiała się. – Ale robię to tylko dla ciebie. A teraz jedź do pracy. Proszę cię, nie rezygnuj pod wpływem emocji. Tak dobrze sobie tam radzisz. Jesteś stworzony do

tej pracy i dobrze o tym wiesz.

– Marta mnie dzisiaj zastąpi – powiedział stanowczo. Nie dał po sobie poznać, ale słowa żony zrobiły na nim mocne wrażenie.

– Nie możemy jej tak obciążać.

– Wydawało mi się, że była zadowolona. Pewnie Leszek do niej przyjdzie i będą razem doglądać interesu. Nie wyobrażam sobie bardziej właściwych ludzi na tym miejscu.

– Ty też świetnie sobie radziłeś. Odniosłeś przecież wielki sukces.

– Może – westchnął. – Ale zupełnie mi nie smakował. Był jak źle skomponowana herbata.

– Daj spokój. W księgarni ruch jak w ulu, dochody rosną.

– A ja nie. Kiedyś, w tamtym starym miejscu, byłem sobą. W naszym małym sklepie. Galeria mnie zjadła. I o mało nie zabrała mi wszystkiego. Na szczęście nie zdążyła.

Helena nie odpowiedziała. Była dumna z dokonań męża, ale nie chciała, by tak ciężko pracował. Kto wie, ile im jeszcze zostało wspólnych lat.

– Może mógłbyś to inaczej zorganizować? – zaproponowała. – Zmniejszyć liczbę godzin?

– Nie ma szans. To nie jest takie miejsce, które ci pozwala mieć własne warunki. Musisz się dostosować albo zginiesz. Nie ma opcji pośrednich. Biznes się kręci, masz wielu klientów i harujesz od rana do nocy, że nawet nie masz czasu wydać tych pieniędzy, które zarobisz. Albo nie masz klientów i nie stać cię na czynsz, więc błyskawicznie wylatujesz.

– Jeśli tak mówisz, pewnie coś w tym jest – westchnęła. – Ale to nie w twoim stylu poddawać się tak łatwo. Ile już razy byliśmy w życiu w takiej sytuacji, która wydawała się nie mieć wyjścia. A jednak ty je znajdowałeś.

– Przecież nie lubisz, jak wpadam na jakiś pomysł – przypomniał jej.

– Tylko się o ciebie niepokoję, bo masz ułańską fantazję – uśmiechnęła się i spróbowała herbaty. Cudownie było znów znaleźć się w domu. Naprawdę się bała, że już nigdy do niego nie wróci. I była teraz na siebie zła, że naraziła siebie i rodzinę na takie ryzyko. Przecież już od dłuższego czasu czuła, że coś jest nie w porządku. – Ale ja też niejedno zawałam – przyznała się.

– Najważniejsze, żebyś była zdrowa – powiedział Jan poważnym tonem. – Wszystkim innym zmartwieniom podołamy. Z księgarnią też sobie poradzę.

– Ależ jestem już w dobrej formie. Naprawdę ten jeden malutki zawałek to nie powód do zmartwień.

– Jasna cholera! – zdenerwował się Jan. – Ten jeden rozległy zawał mógł cię kosztować życie. I prawie tak się stało.

Milczał chwilę, oddychając pospiesznie. Nie chciał jej przysparzać stresu, ale nie dał rady się opanować.

– Ale wszystko dobrze się skończyło – powiedziała łagodnie. – Nie ma co panikować. Chciałabym pojechać do Gabrysi – poprosiła.

– Byłem w szpitalu rano – powiedział stanowczo Jan. – Zawiozłem każdą rzecz, o jakiej wspomniałaś. Wyściskałem Gabrysię i pozdrowiłem od całej rodziny. Twoja córka dobrze się czuje. W przeciwieństwie do ciebie. Nie możesz na razie tam pojechać.

– Powinnam teraz być przy niej. Tak długo czekała...

– To niemożliwe – uciał dyskusję Jan. – Drugi raz bym tego nie zniósł. Ona również.

Kiedy karetka cię zabrała, zadzwoniłem do Gabrysi w pierwszej kolejności. Skąd mogłem wiedzieć, że ona też jest w szpitalu. Nie przyznała się nawet słowem, dopóki jej nie powiedziałem wszystkiego. Wyobrażasz sobie, jak się potem czułem?

– Za to ja o wszystkim wiedziałam – westchnęła Helena. – Dostałam esemesa od Kornela. Nie miał pojęcia, że ja z kolei źle się czuję.

– Kompletny chaos komunikacyjny – Jan pacnął się w czoło. – Jak mogło do tego dojść? Byliśmy taką zgraną rodziną. A w najważniejszym momencie cały układ się posypał.

Milczeli, głowiąc się nad tymi dziwnymi kolejami losu. Drzewa w sadzie straciły już swoje liście. W ogrodzie kwitły jeszcze późne astry i chryzantemy, a w rogu czerwieniły się nasyconym kolorem liście aronii. Wciąż było ładnie, choć coraz bardziej zimno. Ale lubili tutaj siedzieć i teraz też cieszyli się swoim ukochanym miejscem, choć musieli donieść dodatkowe koce, by nie drzeć z chłodu.

– Gabrysia ma przecucie, że to będzie dziewczynka – powiedział Jan.

– Ma rację – odparła Helena. – Ja też tak czuję. Tamtej nocy w szpitalu, kiedy tylko odzyskałam przytomność, miałam takie mocne przekonanie. Że jedna dziewczynka nadchodzi, a dla innej musi nastąpić koniec. Zgodziłam się.

Jan uścisnął jej dłoń i pokręcił głową. Ciarki przeszły mu po plecach, a włosy na rękach stanęły jak pod wpływem silnego zdenerwowania.

– Ale nasza córka nie przyjęła twojego daru – powiedział drżącym głosem. – To niesamowite, że ona opowiada to samo. Jakbyście się umówiły. Ale Gabrysia się nie zgodziła. Nie za taką cenę. I zostałyście obie.

– Wierzysz w takie rzeczy? – Helena nie wiedziała do końca, co o tym wszystkim myśleć.

– Sam nie wiem – zawahał się. – To były takie silne emocje. Trudno teraz stwierdzić, co działało się naprawdę, a co nam się tylko wydawało. Jak mogliśmy nie zauważyć, że Gabrysia jest w ciąży? No powiedz sama.

– Mogliśmy. Człowiek nie jest maszyną. Tyle lat się starali. Przeżyli dziesiątki przedłużających się cykli. Wszyscy dookoła im radzili, by przestali się tak mocno skupiać na tym czekaniu i w kółko robić testy. Skąd mogli wiedzieć, że tym razem jest inaczej? Każdy mógł się pomylić.

– Więcej do tego nie dojdzie – stanowczo powiedział Jan. – Będziemy bardziej czujni.

– Dobrze – uśmiechnęła się. Nie chciała studzić jego entuzjazmu, choć to oczywiste, że wszystkiego nie da się zabezpieczyć, zauważyć, domyślić się.

– Bałaś się? – zapytał. – Bo ja strasznie – odpowiedział, zanim ona zdążyła sformułować zdanie. – Nie o siebie oczywiście – dodał, mrużąc oczy. – Ale o ciebie. Co byś robiła sama na tamym świecie?

– Poczekałabym spokojnie na ciebie – odparła. – Upiekłabym ciasto, żebyś miał świeże. Kwiaty posadziła w ogrodzie i jabłonie, żeby zakwitły, kiedy przyjdiesz.

– Myślisz, że tam będą kwiaty? – zapytał zupełnie poważnie.

– Oczywiście. Jestem o tym całkowicie przekonana. Cóż by to był za raj bez domu z ogrodem, otoczonego brązowym płotem? Bez zapachu drożdżowych bułeczek. Będą też zielone wzgórza i wszyscy nasi przyjaciele. Cóż by to był za raj bez przyjaciół?

– A dzieci?

– Też. Oczywiście, w swoim czasie. Raj bez nich byłby obcym miejscem. A tak będzie w nim także nadzieja.

– Naprawdę się nie boisz? – zdumiał się.

– Nie.

– Jesteś niezwykła.

– Dziękuję.

– Już nigdy cię nie zostawię.

– Proszę cię, tylko nie to. Oszaleję, jeśli będziesz mi ciągle siedział nad głową i trząśł się o moje bezpieczeństwo.

– A widzisz – powiedział z satysfakcją. – Ja tak miałem przez całe lata. Kiedy wszyscy myśleli, że mam słabe serce. A ono jest mocne jak dzwon, skoro przetrwało tamtą noc.

– To będziemy się dzielić sprawiedliwie – zaproponowała. – Pół dnia ty się martwisz, a potem ja. A teraz jedź do pracy.

– Nie ma mowy – zerknął na zegarek. – Za godzinę będzie tu Julia. Dopiero wtedy cię zostawię w jej dobrych rękach.

– A ona czemu o tej porze nie w przychodni? – zaniepokoiła się Helena.

– Mówi, że ma mały ruch. Tylko się przypadkiem nie zdenerwuj z tego powodu – zastrzegł się od razu i spojrzał na nią czujnie.

– Przestań. To dla mnie żadna nowość. W biznesie różnie bywa. Dobrze, że Julia nie ma długów do spłacenia. Przetrwa trudny czas – Helena owinęła się szczelniej szalem, bo od strony ogrodu powiało chłodnym wiatrem.

– Miejmy nadzieję – westchnął Jan. – Poza tym coś się jeszcze u niej dzieje. Wyobraź sobie, wpadłem rano, gdy wracałem od Gabrysi. Bez zapowiedzi, jak typowy, okropny ojciec. Zatelefonowałem dopiero spod bloku. I nie uwierzysz, co zobaczyłem.

– Ksawerego w samych bokserkach? – Helena wyraźnie się ożywiła.

– Ależ skąd! – obraził się Jan. – Nie wiem, co ci twoja wyobraźnia podpowiada, ale zastałem zupełnie co innego.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– Julia posprzątała.

– Ach, przestań. To nic takiego.

– Ja bym tak nie powiedział. Mieszkanie błyszczało jak nigdy! I nawet wyrzuciła swoje kartony. Po pięciu latach!

– Rzeczywiście, to by sugerowało pewną zmianę w jej życiu – przyznała Helena i przytuliła się do ramienia męża. Tak bardzo tęskniła za tymi ich wspólnymi rozmowami.

– To jeszcze nie wszystko – Jan zawiesił głos.

– Mów szybciej. Pamiętaj, że jestem po zawale – popędziła go.

– A ja przed – roześmiał się. – Więc daj mi złapać oddech. Otóż była odziana w męski sweter.

– Może sprzątała stare rzeczy po Ksawerym?

– Coś ty! On by nigdy w życiu czegoś takiego na siebie nie założył. To miłośnik stonowanych szarości, eleganckich beży i śnieżnej bieli. A golf był zielony jak nie wiem co. O, wiem! Jak żołądek krowy w szczycie wypasu.

– Daj spokój – pacnęła go łyżeczką do herbaty w kolano. – Niedobrze mi. Wiesz, że moja

wyobraźnia szybko pracuje.

– Powiem ci jedno. To oznacza jakiegoś luzaka w jej życiu. Z jednej skrajności wpadła w drugą. Wybadaj ją dzisiaj.

– Czy to polecenie służbowe? – uśmiechnęła się.

– Tak. Ja będę wtedy w pracy, a ty na posterunku w domu. Tylko zwartym szykiem można coś osiągnąć.

– Niech ci będzie. A teraz idź już, ubierz się.

Westchnął i ruszył w kierunku sypialni. Helena oparła głowę na leżaku i przymknęła oczy. Naprawdę lepiej się czuła. W domu szybko odzyskiwała siły. Ale wiedziała, że musi być ostrożna. Cień wrócił ze szpitala razem z nią. I wciąż był obok. Może trochę słabszy, ale nadal niebezpieczny.

ROZDZIAŁ 22

Maryla skończyła pracę i czekała przed biurem na Marcina, który miał ją zabrać po drodze. Została dzisiaj dłużej z powodu porannego spóźnienia, więc mąż wcześniej pojechał jeszcze odebrać chłopców z przedszkola. Wysłał wiadomość, że jest już w drodze, więc stanęła na parkingu.

Zawahała się lekko, kiedy sięgnęła po klamkę samochodu. Ale wsiadła. Żadnych niepokojących zapachów nie było, co przyjęła z ulgą. Niepokój wciąż jej jednak towarzyszył.

– Tata nam obiecał plac zabaw po drodze – zawołał radośnie Kubuś z tylnego siedzenia, kiedy tylko zapięła pasy.

Zależało mu, by potwierdzić ostatecznie ważną dla niego decyzję. Spojrzał na mamę uważnie, bo jej mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Jeśli tata tak powiedział, to raczej tego... – brat próbował mu pomóc, ale nie mógł znaleźć odpowiednich argumentów.

– Spokojnie – Maryla potarła czoło. – Jasne, że pójdziemy. Wszyscy razem. Może jeszcze jakieś lody po drodze uda się nam zaliczyć? Mnie też się coś należy. Miałam ciężki dzień.

– Tak, tak! – chłopcy zaczęli podskakiwać w fotelikach, na ile tylko pozwalały im ciasno zapięte pasy.

– Ja cztery gałki – negocjował Szymek. – Czekoladowe.

– Dwie – powiedział stanowczo Marcin.

– Mnie siedem – Kubuś nie miał oporów.

– Stańmy na trzech – zakończyła sprawę Maryla. – To i tak potężna porcja, i tylko dzisiaj się na to godzimy, wyjątkowo.

– Ale super! – Szymkowi zaświeciły się oczy. Zwykle nie wychodzili powyżej dwóch gałek.

– Dużo miałaś dzisiaj pracy? – Marcin spojrzał na nią. Był trochę spięty. Poranne wspomnienia wciąż były żywe.

– Sporo – odpowiedziała. – Jestem zmęczona. Na szczęście jutro już piątek. W weekend odpoczniemy.

Marcin zaparkował w małej zatoczce niedaleko placu zabaw.

– Mam znakomity pomysł – powiedział. – Pojedźmy w góry. Całą rodziną. Odetchniemy trochę po remoncie, przeprowadzce i wszystkich ostatnich stresach. Na sobotę zapowiedziała się z odwiedzinami Anielka, więc babcia będzie pod dobrą opieką. Możemy się zerwać.

Marcin teraz, podobnie jak wszyscy członkowie rodziny, zanim coś zaplanował, w pierwszej kolejności sprawdzał, czy Helena dobrze się czuje. Widocznie też go męczyły wyrzuty sumienia.

– Dobrze – Maryla spróbowała się uśmiechnąć. Miała wielką ochotę na taki wypad. Bała

się tylko, że wewnętrzny niepokój, mocne przeczucie, że jednak dzieje się coś niedobrego, nie pozwolą jej cieszyć się w pełni rodzinną wycieczką.

Wysiedli i chłopcy pobiegli przodem w stronę dość mocno obłożonych huštawek i zjeżdżalni.

– Jutro już ostatecznie zamknę sprawę tamtego mieszkania – powiedział Marcin, a ona poczuła zimny dreszcz na plecach. Źle jej się to skojarzyło.

– Proszę cię – Marcin wziął ją za rękę. – Nie dajmy się zwariować. Przecież wiem, co jest prawdą, a co nie.

Ja nie mam takiego komfortu – pomyślała Maryla, ale nie powiedziała tego głośno. Starła się ze wszystkich sił postąpić mądrze w tej sprawie. Zbyt wiele miała do stracenia. I nie chodziło tylko o fakt, że wreszcie na cudem wolnej ławce usiadła razem z mężem, że mogli wspólnie patrzeć na bawiących się chłopców i podziwiać, jak fantastycznie rosną i jak szybko się rozwijają. Ważna była także inna sprawa. Kochała Marcina. Zarówno spokojną, stałą miłością dojrzałej kobiety, która przeszła w życiu dość, by się nauczyć rozeznawania we własnych uczuciach, jak i siłą zauroczenia, silnego tak samo, jak na początku związku. Stracić męża teraz byłoby czymś niewyobrażalnym.

Zebrała się na odwagę i położyła mu głowę na ramieniu. Chyba się ucieszył, bo uśmiechnął się i mocno ją objął. Było dobrze, właściwie prawie doskonale. Gdyby tylko uciszyć mózg, produkujący nieustannie logiczne, a jednak tak nieprawdopodobne podejrzenia.

* * *

Tego dnia Bartosz zaczekał grzecznie na swoją kolejkę w przychodni, co było pewną nowością. Poza tym nie miał ze sobą żadnego zwierzaka.

– Cześć – przywitał się od progu gabinetu. – Niełatwo się do was dzisiaj dostać.

– Tak też u nas bywa – uśmiechnęła się Julia. Bartosz miał rację. Ten dzień był wyjątkowo udany. Przyjęły w ciągu ostatnich godzin sporo pacjentów, a ona teraz spieszyła się do domu, by zaopiekować się mamą. Nie miała wiele czasu na pogaduszki. – Ania ci dziś pomoże, dobrze? – powiedziała, wskazując na koleżankę. – Zostaje w przychodni do końca dyżuru.

– Nie sędzę – Bartosz pokręcił głową. – Chciałbym...

– Jak możesz? – Julia nie pozwoliła mu dokończyć. – Ania jest świetnym lekarzem.

– W to nie wątpię – mężczyzna nerwowo poprawił włosy, po czym spojrzał na Julię z naciskiem, jakby chciał jej coś dać do zrozumienia.

– O co chodzi? – zapytała. – Możesz powiedzieć wprost?

– A chcesz tego?

– Jeśli o mnie chodzi, to mogę was zostawić samych – wtrąciła Ania.

– Nie ma mowy – powiedziała Julia. – Ty masz pacjentów, a ten pan i tak chyba w innej sprawie. Będzie lepiej, jeśli to my wyjdziemy. I tak już muszę pędzić do domu.

Bartosz wyraźnie się ucieszył i, pożegnawszy się uprzejmie, wyszedł z gabinetu.

– Co się stało? – zapytała Julia, kiedy tylko znaleźli się na parkingu przed przychodnią.

– Cóż to za tajemnicza sprawa? Nie mam zbyt dużo czasu. Muszę jechać do rodziców.

– Miałem kradzież w domu – zaczął ostrożnie.

– Czy ja wyglądam jak posterunkowy? – zawołała, pospiesznie otwierając drzwi samochodu. Martwiła się o mamę i szkoda jej było czasu na pogaduszki. – O, rany! – poczuła, jak rumieniec rozpala jej policzki. – Chodzi ci o sweter?

– Tak – kiwnął głową. – Mój ulubiony i przy okazji jedyny. Nie jestem zwolennikiem gromadzenia rzeczy, lecz do tych nielicznych, które posiadam, jestem bardzo przywiązany.

– Ależ w twoim domu pełno jest gratów – oburzyła się.

– Po dziadku – powiedział Bartosz, po czym bezceremonialnie wpakował się na fotel pasażera w jej samochodzie.

– Co robisz?

– Fajne rzeczy – opowiedział. – Albo jadę z tobą po mój golf, albo odwiedzić twoich rodziców. Jedno i drugie mnie kręci. Decyzja należy do ciebie.

– Chyba oszalałeś! Jak można tak postępować? Wsiadać człowiekowi do samochodu i zgłaszać swoje plany?

– Można. To całkiem łatwe. Bierzesz i robisz.

– Jesteś niemożliwy.

– Ale potrafię ładnie prosić – pochylił się w jej stronę i zrobił błagalną minę. – To jak będzie? Zabierzesz mnie dzisiaj na wyprawę czy wystawisz na bruk jak biednego kota?

– Jedźmy – westchnęła z rezygnacją. Nie miała teraz czasu na negocjacje. A towarzystwo Bartosza nawet ją cieszyło. Mama z pewnością go polubi. Może więc nie był to taki zły pomysł.

– Świetnie – ucieszył się. – Jaki kierunek?

– Dom moich rodziców. Chcę dzisiaj odwiedzić mamę, spędzić z nią wieczór. Twierdzi, że lepiej się czuje, ale nie wiadomo, jak jest naprawdę.

– Nie będę wam przeszkadzał. Pospaceruję sobie trochę po sadzie, a potem podrzucisz mnie do miasta i odbiorę mojego zielonego potwora. Jestem do niego przywiązany.

Pokręciła głową. Spontaniczność Bartosza w takim samym stopniu bawiła ją, co irytowała. Ale jechali dalej i wkrótce znaleźli się na znajomej ulicy.

Dom przywitał ich ciepłym światłem w oknach i ładem. Mama samą swoją obecnością sprawiała, że codzienność układała się zgodnie z prawidłowym rytmem. Julia odetchnęła z ulgą.

Może mama naprawdę czuje się lepiej?

– Dzień dobry! – zawołała wesoło od progu. – Przywiozłam gościa.

Helena uśmiechnęła się serdecznie na widok Bartosza. Siedziała na krześle przy dużym stole i patrzyła, jak Szymon i Kuba kolorują ciężarówkę w malowance. Ich mama mieszała w garnku bigos, kierowana instrukcjami.

– Witajcie. Rozgoście się – zwróciła się do przybyłych. – Przyjechaliście w samą porę. Właśnie szykujemy z mamą kolację.

Julia podeszła do starszej siostry i pocałowała ją w oba policzki.

– Źle się czujesz? – zapytała szeptem, żeby nie niepokoić mamy. Siostra wyglądała na bardzo zmęczoną albo, co gorsza, zmartwioną.

– Później ci opowiem – odpowiedziała równie cicho Maryla. – Mam nadzieję, że martwię

się na zapas – uśmiechnęła się słabo.

– Bardzo lubię bigos – powiedział Bartosz, siadając przy stole. – I malowanki – dodał, a chłopcy bez słowa podsunęli mu wolną kartę z traktorem. Wziął do ręki kredkę i zaczął wypełniać na brązowo sporych rozmiarów koło.

To zastanawiające – pomyślała Julia. – Jak ten mężczyzna, który rzekomo tak nie lubi stałych związków, łatwo wpasowuje się do jej rodziny. W tym domu trwałość była jednym z filarów. A jednak jemu to nie przeszkadzało. Wyraźnie dobrze się tutaj czuł.

Nie chciała jednak wyciągać z tego faktu zbyt daleko idących wniosków. Może po prostu dobrze się bawił? Wiedziała, że Bartosz nigdy nie przepuszcza okazji, by przyjemnie spędzić czas. Być może było to jedyne wytłumaczenie zaangażowania, z jakim rozmawiał teraz z chłopcami, i ciepłych uśmiechów, które posyłał w stronę zgromadzonych w kuchni kobiet.

Julia odpowiedziała mu pełną chłodu miną. Niech sobie nie myśli, że ona nie potrafi zachować dystansu.

ROZDZIAŁ 23

Piątek był ciężki pod wieloma względami. Maryla musiała skończyć kilka pilnych zadań, a poziom jej skupienia w ostatnich dniach skutkował mniejszą wydajnością. Zaległości gromadziły się i teraz musiała pracować w wyjątkowym tempie, by ukryć to przed szefem. Atmosfera między nimi była ostatnio dość napięta. Zawirowania w życiu prywatnym sprawiły, że dziewczyna była w pracy bardziej rozkojarzona niż zwykle, a spóźnienia zdarzały jej się częściej niż wtedy, gdy jako samotna matka musiała godzić wszystkie obowiązki.

Nie każdemu się to podobało. Andrzej, z którym jeszcze nie tak dawno się spotykała i nawet snuła w związku z tym poważne plany, był służbistą do szpiku kości. Co rusz rzucał publicznie jakieś aluzje i uwagi. Zapewne to jemu między innymi zawdzięczała zły nastrój szefa. Nie miała wyjścia. Musiała jakoś to znieść.

Ale kiedy skończyła pracę, poczuła te wszystkie obciążenia bardzo wyraźnie. Każdym mięśniem. Całe jej ciało domagało się odpoczynku. Spokoju. Chwili relaksu, oddechu koniecznego, by zebrać myśli. Lecz Maryla nie chciała wracać po pracy do domu.

„Nie idź tam” – wyraźnie słyszała głos intuicji. Nie posłuchała jednak. Wsiadła w autobus jadący w stronę mieszkania Marcina. Umowa była inna. Miała się spieszyć po pracy, by odebrać chłopców z przedszkola, a w tym czasie mąż zamierzał zabrać samochodem ostatnie rzeczy, oddać klucze właścicielowi i przyjechać do domu.

Powinna mu była zaufać. A jednak nie zrobiła tego. Zadzwoiła do Julii i poprosiła o przywiezienie synów. Sama zaś, po pokonaniu kilku przystanków, zajęła strategiczne miejsce na ławce przed blokiem. Wiedziała, że Marcin jest już w mieszkaniu. Rozmawiała z nim, zanim wyszła z pracy, i meldował radośnie, że skończył pakowanie, właśnie umył podłogę, wyniósł ostatnie śmieci i jeszcze mu tylko została łazienka do przetarcia. Za dwie godziny miał przyjść właściciel.

Maryla siedziała i wpatrywała się w wejście.

Kiedy człowiek cierpliwie na coś czeka, to zwykle to dostaje, choć... nie zawsze się wtedy cieszy. Dziesięć minut później żołądek podszedł jej do gardła. Jedyna w swoim rodzaju, absolutnie nie do podrobienia ani nie do pomylenia piękna Paulinka podeszła do wejścia, ubrana tym razem w niebywale obcisłe czarne spodnie. Bluzkę w tym samym kolorze rozjaśniała piękna bursztynowa apaszka.

– Boże! – wyszeptała Maryla. – Więc jednak to prawda.

Paulina podeszła do domofonu, wstukała coś na klawiaturze, po czym weszła do środka. Zanim zamknęła za sobą drzwi, obejrzała się za siebie. Maryla miała wrażenie, że w jej oczach dostrzega nutę triumfu. Ale nie mogła mieć pewności, bo wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy.

Świat pobladł. Jesień stała się nagle czarno-biała, dźwięki i obrazy odpłynęły. Ale ona już nie płakała. Wiedziała, że właśnie została porzucona po raz kolejny i teraz przede

wszystkim musi się zatroszczyć o dzieci. Choć to właściwie było niemożliwe, jakoś trzeba ich było przygotować na ten cios. Nie pierwszy w ich życiu.

Siedziała jeszcze dłuższą chwilę, po czym zebrała wszystkie siły i wstała. Wyprostowała się i ruszyła w kierunku przystanku. Obliczyła czas i wyszło na to, że zdąży nawet odebrać chłopców z przedszkola, jeśli nie będzie żadnych opóźnień w komunikacji miejskiej. Wysłała wiadomość siostrze, że odwołuje prośbę, i w ostatniej chwili wsiadła do autobusu. Na szczęście to był ten właściwy, bo nawet nie spojrzała na oznaczenia. Zachowywała się jak automat. Oprogramowanie miała mocne. Wszystko działało jak należy. Kupiła bilet, skasowała. Usiadła na wolnym miejscu, nie przegapiła przystanku, na którym trzeba było złapać tramwaj. Tylko uczuć nie było w niej żadnych. Uległy trwałemu zmrożeniu. Jej autopilot obsługiwał jedynie konieczne życiowe czynności.

Znała ten stan. Korzystała z niego już wcześniej, w trudnych chwilach. Jest on właściwy matkom, które wiedzą, że nie mogą sobie pozwolić na komfort pograżenia się w rozpacz, bo mogłyby w tę przepaść pociągnąć dzieci.

Kiedy weszła do przedszkola, nikt by się nie domyślił, co przeżywa. Uśmiechała się do matek i nawet obejrzała zaproszenie na urodziny, które chłopcy dostali od wspólnego kolegi.

– Idziemy piechotą – powiedziała do synków. – Tata wróci później. – Tu głos jej jednak trochę odmówił posłuszeństwa. Zakaszła, żeby ukryć ten fakt. Na razie nie miała pojęcia, jak rozwiązać tę sytuację. To ją całkowicie przerastało.

– Ja bym wolał autem – marudził Kuba. – Albo rowerem.

– Ja też, ale nie mam – odpowiedziała mu.

– To może się chociaż pościgamy – zaproponował Szymek. – Mama jest świetna w wyścigach.

To była akurat prawda. Maryla umiała się bawić, a dzisiaj miała nawet odpowiednie buty, bo wysokie szpilki, których używała w biurze, zamieniła przed wyjściem na wygodne baleriny. Jakby wiedziała, co ją czeka.

– Zgoda – powiedziała. – Zapnijcie plecaki i patrzcie pod nogi. Biegniemy przez park, po trawie. Broń Boże nie po ścieżce rowerowej. Ale i tak uważamy. Mamy oczy dookoła głowy...

– Mamo! – zniecierpliwził się Szymek, który już parę razy próbował wystartować w czasie jej przemowy. – Lepiej już ruszajmy.

Pobiegli i to był dobry pomysł. Wprawdzie nie zdołali w ten sposób pokonać całej trasy, ale dotarli do domu o wiele wcześniej, a ruch na świeżym powietrzu wszystkim poprawił humory. Nawet Maryla poczuła nagły przypływ sił.

Weszła do domu, przebrała się, zabrała za przygotowywanie obiadu. Porozmawiała z Bartoszem, który znów ich odwiedził wraz z Julią i od progu zasypał tysiącem pytań o prowadzenie domu. A potem spokojnie przywitała męża, który przybył wieczorem, bardzo z siebie zadowolony. Taszczył w objęciach ostatnie duże pudło i opowiadał na prawo oraz lewo, że właśnie zakończył przeprowadzkę. Uściskał i połaskotał chłopaków, pocałował żonę, po czym usiadł naprzeciwko niej, śmiało spoglądając jej w oczy.

– Odpoczęłaś trochę? – zapytał. – Lepiej wyglądasz.

Kiwnęła głową, niezdolna do stworzenia bardziej rozbudowanej odpowiedzi. Absurd

zataczał coraz szersze kręgi. Zachowanie Marcina wymykało się wszelkim logicznym próbom zrozumienia. Widziała tylko dwa rozwiązania. Albo jest jakimś cudem niewinny albo fałszywy aż do szpiku kości. Niestety miała podstawy, by brać pod uwagę tę drugą opcję.

– To dobrze – ucieszył się. – Spotkałem po drodze Antka, tego kolegę naszego Kuby. Chciał przyjść za chwilę, żeby u nas pograć w piłkę. Pójdę z nimi – uśmiechnął się. – Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

Mama spojrzała na nich z zadowoleniem. Wydawało jej się, że ma przed sobą szczęśliwych ludzi. Jeśli mieli jakiś kłopot, to chyba został rozwiązany. A tymczasem Maryla w środku była jak skuta lodem. Mimo tego uśmiechnęła się do mamy. Jednak na samą myśl, że i ją trzeba będzie teraz rozczarować, traciła ochotę na cokolwiek.

– Ja się chętnie przyłączę do zabawy, dobrze gram w piłkę – Bartosz, koneser życiowych przyjemności, zgłosił swój udział. – Jeśli chcecie, oczywiście – zwrócił się do chłopców.

– Bardzo! – powiedział Szymek. – Inaczej będzie niesprawiedliwie, bo w jednej drużynie znajdzie się dorosły, a w drugiej nie. Naprawdę umiesz nieźle grać? – przyglądał mu się badawczo, szacując jego wartość.

– Chce dokonać transferu do twojej ekipy – wyjaśnił mu Kuba poważnym tonem.
– Zgadza się – zawołała Julia, odwracając się od blatu, na którym kroїła ogórki. – Te wszystkie ciężkie miliony, które masz zamiar zapłacić za Bartosza, proszę do mnie. Nie zapominaj, że to ja go przywiozłam.

– A mnie nikt nie chce? – obraził się Marcin. – Ja też mam swoją wartość – dodał i przytulił Marylę. Tego było już dla niej za wiele.

– Przepraszam was – wstała od stołu. – Nie poczekam na obiad. Wszystko gotowe, nałóżcie sobie sami. Trochę mnie głowa boli. Położę się, a wy potem pograjcie w piłkę.

Julia spojrzała na nią zaniepokojona i wymieniła ukradkiem znaczące spojrzenie z mamą. Domyśliły się, że coś jest nie tak. Ale nawet nie przypuszczały, jak okropny ciężar przygniata Marylę. A ona poszła po schodach do swojego mieszkania na piętrze, poszarzała na twarzy. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić, ale słyszała kiedyś, że tak się właśnie zachowują zdradzający małżonkowie. Są jeszcze miłsi niż zwykle. Nagle zaczynają przynosić kwiaty, bawić się z dziećmi, pamiętać o rocznicach. Jakie to było okropne.

Po jakimś czasie zza okna dobiegł ją radosny pisk dzieci. Negocjacje transferowe najwidoczniej się zakończyły i mecz mógł się odbyć bez przeszkód. Weszła do sypialni, w ubraniu położyła się na łóżku i przykryła głowę poduszką. Chciała, żeby ktoś wyłączył świat.

* * *

– Masz świetną rodzinę – zmachany Bartosz leżał na trawie, tym razem w ogrodzie Julii, i z przyjemnością kontemplował widok. Z pewnością nie było mu ciepło ani nawet wygodnie. Ale wyglądał na zadowolonego. – Widzisz, nawet z kradzieży może wynikać świetne popołudnie, a nawet dwa. One właściwie wciąż mi ze wszystkiego wynikają.

– To była pożyczka – westchnęła Julia. Jednak mu tego zazdrościła. Trochę upraszczał

życie, ale jego patent przynosił nadspodziewanie dobre efekty. – Dzisiaj naprawdę dostaniesz już swój sweter z powrotem. Sam się wczoraj zbyt długo zasiedziałeś, więc nie zwalaj winy wyłącznie na mnie.

– Wiem. Masz rację. Lubię tutaj być – przyznał się. – Ale muszę wracać do kotów – westchnął. – Tak się kończy branie na siebie odpowiedzialności. Nie możesz robić tego, na co masz ochotę. Musisz myśleć o innych – dodał z boleścią. – Nikt nie wie, ile szkód poczyniły od rana.

– Kto je karmi, kiedy ciebie nie ma całymi dniami? – zapytała.

– Sąsiadka – odparł, a Julia poczuła zupełnie nieuzasadnione ukłucie zazdrości. – Przyjaźniła się jeszcze z moim dziadkiem – dodał Bartosz. – To jeden z plusów życia na wsi. Ludzie się lubią.

– Ja tam na miasto też nie narzekam – odparła Julia. – Wszędzie są fajni ludzie.

– Masz rację – spojrzał na nią z uznaniem. – Słusznie powiedziałaś. Ja zresztą też chyba jednak wrócę do bloku. Coraz bardziej się skłaniam ku temu rozwiązaniu.

– Co ty mówisz? – zdumiała się.

– Taka decyzja dojrzewa we mnie od trzech godzin.

– Daj spokój – machnęła lekceważąco dłonią. – To żałośnie krótko jak na taki poważny temat.

– Nie ma żadnych wiarygodnych badań, które by potwierdzały, że im dłużej nad czymś myślisz, tym jesteś mądrzejszy. Czasem pierwszy impuls niesie dobrą odpowiedź.

– Ale nie w takiej sprawie. Co ci się nagle stało? – Nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zrobiło jej się żal tego starego domu i zaniedbanego sadu.

– Porozmawiałem trochę z twoim tatą – Bartosz usiadł i otrzepał spodnie z liści. – Opowiedział mi, ile to wszystko kosztuje trudu. Utrzymanie domu, praca w ogrodzie. To nie dla mnie. Jeśli będę chciał poleżeć na trawie, zawsze mogę wyjechać na weekend za miasto.

– Ale nie będziesz miał swojego miejsca na ziemi. To przecież dom dziadka! – zawołała Julia.

– Jemu już wszystko jedno, a ja ci mówiłem: nie lubię trwałych związków. Ograniczają.

Milczała. To przecież nie była jej sprawa. Nawet nie mogła mieć pewności, czy jeszcze kiedykolwiek spotka się z Bartoszem. Koty dobrze się chowały, te półdzikie zwierzaki obdarzone były wielką witalnością. Poradzą sobie bez pomocy lekarza. Pretekst do kolejnych odwiedzin wkrótce zniknie.

– Przykro ci? – Bartosz błyskawicznie przewrócił się na bok i spojrzał jej w oczy z bliskiej odległości.

Zaskoczył ją. Wstała szybko.

– Ależ skąd – odpowiedziała odruchowo. – Może trochę – przyznała po chwili. – To wyjątkowo piękne miejsce i myślę, że fajnie by ci się tam żyło. Przez długie lata. Mógłbyś spróbować innego szczęścia. Bardziej przewidywalnego. Ale oczywiście każdy układa sobie życie po swojemu.

Uśmiechnął się szeroko. Bawiło go jej słabo skrywane oburzenie.

– Kobiety zawsze dążą do gniazdowania – powiedział. – To naturalne. Ale ja mam inne priorytety.

– Jedźmy po ten golf – powiedziała. – Tata wrócił do domu. Maryla też, więc na mnie już pora.

Nie protestował. Wstał posłusznie i ruszył za nią.

Minęli zmęczoną grupę chłopców, którzy po skończonym meczu pili lemoniadę na ganku. Bartosz pożegnał się wylewnie ze wszystkimi i został odprowadzony życzliwymi spojrzeniami. Polubili go.

– Zanim dostaniesz swoją własność, jeszcze musisz przeżyć jeden przystanek – powiedziała Julia, kiedy już zapięli pasy. – Bardzo chcę zobaczyć się z siostrą, a boję się, że lada moment skończy się czas odwiedzin.

– Rozumiem. Twoja mama wspominała, że jej ciąża jest zagrożona.

– Tak. Tyle lat czekali. Nawet sobie nie wyobrażam tego strachu, który ona musi czuć – Julia pobladła. Tak mocno się utożsamiała z emocjami siostry, jakby to jej własne dziecko walczyło teraz o życie.

Bartosz odwrócił nagle wzrok. Życie pełne spontaniczności ma swoje wady. Czasem prowadzi na niebezpieczne ścieżki. Nigdy się nie oszukiwał. Teraz też natychmiast przyznał przed sobą, że polubił Julię. Z każdym wypowiedianym przez nią słowem ta sympatia się pogłębiała.

A najbardziej kiedy patrzył, jak bardzo kocha swoją rodzinę. W tym domu działały się rzeczy zupełnie mu nieznanne. Wszyscy bardzo się sobą nawzajem przejmowali. Zauważali, że ktoś jest blady, zastanawiali się, czy nie ma jakiegoś zamartwienia. Dyżurowali przy chorej mamie, przeżywali ciężą Gabrysi. Julia wciąż o tym mówiła.

W jego rodzinie rozmowa zwykle się nie kleiła. Wiedzieli o sobie nawzajem tylko najbardziej podstawowe rzeczy. Kto gdzie pracuje. Czy jest w miarę zdrowy. Czy wszystko u niego w porządku. Nikt by się nie zadreślał całymi dniami, że nie zauważył choroby mamy. A Zagórcy, choć mocno charakterni i pełni wad, byli jednak bardzo ze sobą zżyci. To im dawało wielką siłę.

Julia też ją miała, chociaż nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, i tak samo, jak jej tata, kochała domy i ogrody. Choć mieszkała w ciasnym mieszkaniu i twierdziła, że to jej wystarcza. Ale on widział, w jaki sposób spogląda na stary budynek postawiony ręką jego dziadka.

Fascynowała go ta kobieta. Bardziej niż jakakolwiek inna w całym jego życiu.

Nie był głupi, wiedział, że tak zwykle zaczyna się miłość. Ale jego to uczucie zastało nieprzygotowanym. Miał dwa wyjścia. Uciekać natychmiast lub spróbować zaangażować się w niezobowiązującą relację. Oba były złe.

Ucieczka zwykle potęguje u mężczyzn objawy zakochania. Zbyt wiele książek przeczytał, by tego nie wiedzieć. Z kolei Julia absolutnie nie sprawiała wrażenia osoby chętnej na cokolwiek, czego uprzednio dobrze nie przemyślała i co nie ma perspektyw. Była absolutnym przeciwieństwem takiej osoby.

Westchnął. Mógł jeszcze spróbować zignorować to wszystko. Właściwie była to jego jedyna szansa. Uznał, że niepotrzebnie wprosił się na wizytę do jej domu, a teraz jeszcze zmierzał w odwiedziny do Gabrysi. Chciał zrezygnować, ale nie zdążył.

– Potrzyj to – poprosiła Julia, kiedy podjechali pod szpital, i włożyła mu do rąk duży, wiklinowy koszyk. Jego dno było przyjemnie ciepłe. Zapewne od jakichś potraw. Wiedział

już, że tę rozgrywkę przegrał. Pójdzie na ten oddział, a to, co zobaczy, spowoduje przyływ jeszcze większej sympatii do trochę zasadniczej, ale bardzo dzielnej i pełnej empatii pani doktor.

Jak sobie z tym poradzi? Postanowił później się nad tym zastanowić. Bliskość Julii nie wpływała dobrze na jego zdolność trzeźwego myślenia.

ROZDZIAŁ 24

Litościwy los w pewnym sensie spełnił życzenie Maryli. Weekend minął jak we śnie. Nie pojechali w góry. Żadne z nich nie wróciło do tego tematu. Unikali się nawzajem i niewiele rozmawiali. W niedzielę wieczorem Maryla była tak wyczerpana, że zasnęła tak mocno, iż świat dla niej naprawdę zniknął. Była też tak szczelnie zawinięta w kołdrę, że Marcin dopiero rano zauważył, iż spała w pełni ubrana.

– Coś się stało? – zapytał z niepokojem, który sprawiał wrażenie tak doskonale szczerego, że Maryla poczuła mdłości. – Od dwóch dni czekam na jakieś wyjaśnienia. Wciąż się martwisz tymi głupimi perfumami?! – krzyknął.

– Tak – odpowiedziała. – Ale są też inne powody do niepokoju. Porozmawiamy o tym, gdy już bezpiecznie odwieziemy chłopców do przedszkola. Tym razem nie zdołam się opanować. Wiem to na pewno. Przepraszam, że dopiero teraz, ale czułam się przytłoczona. Potrzebowałam czasu.

Zmartwił się wyraźnie. A może tylko wystraszył, że sprawa wyjdzie na jaw? Skąd mogła to wiedzieć? W ciągu weekendu schodził jej z drogi, jakby się czegoś bał.

Umyła się i przebrała. Obudziła chłopców, po czym – wciąż działając na autopilocie – nakarmiła i przygotowała do wyjścia.

Coś złego wisiało w powietrzu. Wszyscy to czuli. Nawet chłopcy przestali żartować.

Mama parzyła sobie kawę zbożową. Okryta wielką chustą powoli chodziła już po domu, rzucając dyskretne, ale pełne niepokoju spojrzenia w stronę córki.

– Wychodzimy – zarządziła Maryla i wzięła chłopców za ręce. Marcin ruszył za nimi. Kiedy podeszła do samochodu, czuła się mocno zestresowana. Bała się kolejnych dowodów. I tak miała ich już zbyt dużo. Ale wsiedli bez problemów, zapięli pasy. Nie wyczuła podejrzanych zapachów. Marcin ruszył i chłopcy też w lepszych humorach coś sobie zaczęli opowiadać, kiedy Maryli nagle odplynęła krew z twarzy. W bocznej szufladzie drzwi zobaczyła charakterystyczną bursztynową apaszkę.

Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Chciała pewności, to ją otrzymała. Już nie było żadnych wątpliwości. Nie odzywała się, bo nie zamierzała robić awantury przy dzieciach, ale kosztowało ją to niewyobrażalnie dużo siły.

– Mama tylko śpi i śpi – powiedział Kuba, spoglądając w jej stronę. – Jak mama Antka tak ciągle spała, to potem on miał siostrę.

Marcin omal nie wjechał pod ciężarówkę.

– Ty nie będziesz miał – odpowiedziała sucho Maryla. W tym momencie nie było jej stać na uśmiech, nawet przeznaczony dla synka.

– A to szkoda – odparł Kuba. – Ja bym nawet chciał.

– Ja nie bardzo – odparł Szymek. Jeszcze pamiętał czasy, kiedy jego młodszy brat był malutki. Nie kojarzyły mu się dobrze.

Marcin w rekordowym tempie dotarł pod przedszkole. Odpiął chłopców z fotelików

niczym uczestnik zawodów na najszybszego ojca. Wziął ich obu pod pachy i popędził w stronę wejścia.

Jakby się już nie mógł doczekać, aż sytuacja wreszcie się wyjaśni – pomyślała Maryla. – Co wtedy zrobi? Przeprowadzi się do Pauliny?

– Powiesz mi wreszcie, co się stało? Czekam na to wystarczająco długo – wpadł zdyszany do samochodu i zamknął drzwi. Maryla zasunęła roletę przeciwsłoneczną, żeby inni rodzice nie zaglądali do środka. Czują, że za chwilę dojdzie do jakiejś okropnej sceny.

– Proszę – podała mu apaszkę.

Patrzył na nią, jakby naprawdę widział ją po raz pierwszy.

– Dlaczego ty nie zostałeś aktorem? – zapytała gorzko. – Z takim talentem Oskara miałbyś gwarantowanego.

– Nie wiem, o czym mówisz, i mam już do cholery dość tych półsłówek, aluzji, znikania bez słowa, westchnień, milczenia przy stole. Co się dzieje? – krzyknął. – Masz kogoś? Chcesz odejść? To mów wprost.

– Ja?! – zatkało ją z oburzenia. – Jak śmiesz tak mówić. Przecież to ty ciągle się spotykasz z Pauliną. Tu masz dowód. O wszystkim wiem.

Marcin jeszcze raz spojrział uważnie na apaszkę. Widać było, że wszelkimi siłami próbuje skojarzyć fakty, ale nic mu się nie układa w całość.

– To nie twoje? – zapytał.

– Ta apaszka należy do twojej byłej... – tłumaczyła Maryla, czując się jak w jakimś absurdalnym alternatywnym świecie, gdzie logika nie działa. – Widziałam Paulinę w piątek, miała na szyi to cacko. Szła do twojego mieszkania. Wtedy, kiedy rzekomo pakowałeś pudła i czekałeś na właściciela. Pojechałam tam, siedziałam pod blokiem i na własne oczy wszystko widziałam. To charakterystyczny kolor. Jestem pewna, że się nie mylę. A dzisiaj znajduję apaszkę w twoim samochodzie. Co mam myśleć?!

– Że gdybym, kurwa, chciał cię zdradzić, to może lepiej bym to zorganizował?! – Marcin tak wrzeszczał, że mimo zamkniętych drzwi z pewnością słyhać ich było na całym parkingu. – Że nie pozwoliłbym Paulinie spryskiwać wnętrza samochodu perfumami ani zostawiać w widocznym miejscu żarówki szalika?!

Siedziała jak skamieniała. Jej obolały od ciągłego myślenia mózg nie był zdolny do żadnych działań. A co dopiero do rozwiązania tak zawilej zagadki.

– Czy ty naprawdę mnie nie rozumiesz? – zapytała cicho. – Widziałam ją, jak wchodziła do bloku. Na własne oczy. Nie ma mowy o pomyłce. To była ona. Dobrze wiesz, że ubiera się i porusza w dość charakterystyczny sposób. Weszła do środka, jestem tego pewna. Tylko ty ją mogłeś wpuścić.

– Nie musiałem, przecież ona zna kod. Była u mnie niejedynym razem – zmieszał się lekko w tym miejscu. Mieszkał teraz z Marylą, ale tamtych obrazów i wspomnień tak łatwo nie potrafił usunąć z pamięci. Niektóre były wyjątkowo gorące.

– Dobrze, ja się nie upieram – westchnęła. – Jakie to ma teraz znaczenie? Może rzeczywiście weszła sama, ale przecież nie po to, żeby stać na schodach! Do mieszkania też ma klucze?

– Nie – powiedział Marcin, po czym nagle odwrócił głowę i zaczął się intensywnie wpatrywać w Marylę, mrugając przy tym dość szybko. – Ale do samochodu tak! – zawołał

i palnął się w czoło. – Na śmierć o tym zapomniałem przy całej tej przeprowadzce, remoncie, pakowaniu. Zapasowy komplet został u Pauliny.

– Nawet jeśli, to co z tego wynika? To się nie trzyma kupy. Po co miałyby podrzucać tu szalik, jeśli się nie spotykacie naprawdę?

– Nie wiem, ale zaraz zapytam – powiedział Marcin. To był nieprzemyślany impuls, spowodowany zdenerwowaniem, które narastało od kilku dni. Gdyby choć chwilę się nad tym zastanowił, może by wpadł na to, że to nie najlepszy pomysł.

– Witam serdecznie! – Maryla usłyszała przytłumiony głos ze słuchawki i od razu zrobiło jej się zimno. Wywoływał skojarzenia z najgorszym koszmarem. – Widzę, że wreszcie wpadłeś na właściwe rozwiązanie, choć, muszę przyznać, że nie byłeś specjalnie szybki.

Marcin nerwowo przełknął ślinę. Nie wiedział, jak zareagować.

– Była żona już ci wystawiła walizki za próg? – szczebiotła Paulina. – Może jeszcze kartony z rzeczami masz nierozpakowane? Łatwo zaczniesz nowe życie – jej głos ociekał złośliwością. Zwykle była wobec Marcina nadskakująco uprzejma. Kontrast był spory. Maski opadły i wszystko stało się jasne.

– Nie zrobiła tego – powiedział mężczyzna zachrypniętym z nerwów głosem. – Nie miała powodu, by mnie wyrzucić.

– Ach tak, wyjątkowo wyrozumiała gołąbeczka. Zdrada jej nie rusza. Przecież mnie widziała i to nie jeden raz. Łatwa do sprowokowania dziewczyna.

Maryla poczuła zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

– Paulina, co ty mówisz? – odblokował się wreszcie Marcin. – Zrobiłaś to specjalnie? Taką prowokację, żeby moja żona myślała, że wciąż się spotykamy? Z zimną krwią? Wiesz, do czego to mogło doprowadzić? Mamy dzieci, budujemy życie na nowo...

– Ty draniu! – krzyknęła Paulina tak głośno, że Maryla odsunęła się i prawie przykleiła do drzwi. – Ja też mam dzieci. I one za tobą tak samo tęsknią. Co ty sobie myślałeś? Przyszedłeś do mnie po rozwodzie, mamiłeś pięknymi słówkami, a potem co? Raz, dwa i powrót do żonki? Przecież wy nawet nie jesteście małżeństwem!

Marcin zbladł i nerwowo poruszał ustami, ale nic nie mówił. Był jak ogłuszony.

– Myślisz tylko o sobie – mówiła dalej Paulina. – A ja? Sądziłeś, że pozwolę się porzucić z dnia na dzień, po tych wszystkich wspólnych planach? Bardzo żałuję, że żona nie wystawiła cię do wiatru za niewinność. Zobaczyłbyś, jak to jest.

Rozłączyła się.

Siedzieli w samochodzie, niezdolni do żadnego ruchu. Takiego rozwiązania nikt się nie spodziewał. Marcin czuł do siebie cholerny żal. Rzeczywiście, wtedy po wspólnym obiedzie u teściów zareagował trochę spontanicznie. Przytulany przez dzieci, dopieszczony przez całą rodzinę, z wciąż buzującą miłością do byłej żony łatwo dał się nakłonić do powrotu. Jego związek z Pauliną był już i tak w fazie rozpadu. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Ale to nie takie proste odbudować życie po przejściach. Nie da się wykasować przeszłości jednym cięciem. Za plecami pozostają ludzie, z którymi się związaliśmy, i oni też mają swoje emocje.

– Będę musiał do niej pojechać – powiedział cicho, a Maryla tylko odwróciła głowę i zacisnęła usta. Wiedziała, że i tak to robi.

– Zaraz po pracy – powiedział, po czym natychmiast włączył silnik. Na przedszkolnym parkingu byli już sami. Wszyscy rodzice, spieszący się do biur i zakładów, dawno rozjechali się w swoje strony. Jeszcze tylko jakieś dwie młode mamy spokojnie zmierzały w stronę bramy, ale one raczej miały wolne. – Jesteśmy znowu cholernie spóźnieni.

– Jakże to ma teraz znaczenie?

– Takie samo jak wcześniej – zdenerwował się. – Nadal trzeba żyć i utrzymywać rodzinę – zawołał. – Nie dajmy się zwariować. Paulina ma do mnie żal. Nie wiem, czy słuszny, ale jestem gotowy, żeby spróbować to wyjaśnić.

– Kto wie, co z tego wyniknie...

– Ja wiem. I przestań mnie tak traktować. Jakbym był jakimś gnojkiem.

– Przepraszam – powiedziała. Niczego więcej nie zdołała wykrztusić. Czuła się bardzo znużona całą tą sytuacją.

– Nie spodziewałaś się chyba, że pójdzie nam tak gładko? Oboje narozrabialiśmy i teraz trzeba wypić naważone piwo. Ciesz się, że tobie Andrzej tak łatwo odpuścił.

– Cóż, może rzeczywiście zbyt romantycznie to sobie wyobrażałam – westchnęła Maryla. – Myślałam, że pogodzimy się i już. A przecież ona ma rację, nawet nie jesteśmy małżeństwem. Przynajmniej formalnie. Rozwód wciąż aktualny.

– Ale ślub kościelny nadal jest ważny – powiedział i potarł czoło. Był bardzo zmartwiony.

– Fakt. Unieważnienie to za skomplikowane procedury – uśmiechnęła się słabo. – W tych nerwach nie zdołalibyśmy przez nie przejść. To raczej zabawa dla zgodnych małżeństw.

– Takie się nie rozstają.

– Nie jestem pewna. Popatrz, jak my byliśmy blisko. Jedna prowokacja, może nawet sprytna, ale w całości oparta na kłamstwie, i już po nas. Jesteśmy bardzo słabi – westchnęła.

– To się zmieni, Maryla. Zobacysz. Nauczmy się wszystkiego na nowo. Będziemy ze sobą rozmawiać.

– Dobrze – położyła mu dłoń na ramieniu. – Od dzisiaj. Jestem gotowa raz jeszcze spróbować. A teraz pędzę. Mam nadzieję, że szef okaże wyrozumiałość i moje miejsce pracy wciąż na mnie czeka. Ale nie zdziwię się, jeśli będzie inaczej. Andrzej też za mną teraz nie przepada. Na pewno dołoży starań, by moja nieobecność została przez wszystkich zauważona.

– Do zobaczenia wieczorem. W domu – dodał z naciskiem, zatrzymując się przed biurem Maryli.

Pomachała mu dłonią i powlokła się do firmy. Nic więcej nie mogła zrobić, tylko zaufać, że Marcin załatwi całą sprawę tak dobrze, jak to tylko możliwe w tej zawiłej sytuacji.

ROZDZIAŁ 25

– Angela urodziła synka – ogłosił Kornel, wchodząc do sali, na której leżała Gabrysia, ale zaraz ugryzł się w język.

Jego żona nie wyglądała dzisiaj dobrze. Była bardzo blada, włosy miała w nieładzie, a minę niewyraźną.

– Jest coś, o czym nie wiem? – zapytał i usiadł na brzegu łóżka, jak najbliżej niej.

– Nie – odpowiedziała. Miała ochotę odwrócić głowę, ale powstrzymała się. Jej mąż nie był niczemu winien.

– Co się stało? – zapytał z czułością. – Masz gorszy dzień?

Nie chciała zalewać go potokiem swoich żalów, ale miała już dość. Odgrywanie dzielnej dało jej się mocno we znaki. Nie miała już siły.

– Leżę tutaj tak krótko, a już jestem całkowicie odmóždzona – pożałowała się. – Nie mogę się porządnie wykapać, ruszyć nawet na dwa kroki. Nie narzekam... Wszystko bym wytrzymała dla dziecka. Tylko że to i tak na próżno. Z ciążą jest chyba bardzo źle. Lekarze mieli na obchodzie takie grobowe miny, jakby już było po wszystkim.

– Pewnie tak ci się tylko wydaje. Oni mają tutaj różne przypadki. Ciężko tryskać humorem na tym oddziale.

– Sama nie wiem. Może tylko nie chcą mi powiedzieć. A ja już nie mam siły. Dookoła wszędzie rodzą się dzieci. Tylko nie nasze.

– Spokojnie – Kornel przeraził się na dobre, ale nie dał tego po sobie poznać. Gabrysia do tej pory świetnie sobie radziła i wszyscy ją podziwiali za hart ducha. Nie wiedział, co się stanie, jeśli nagle straci siły. Czy będzie umiał jej pomóc?

Odruchowo pomyślał o teściowej. Helena z pewnością by wiedziała, co należy w takiej sytuacji zrobić. Ale nie musiał do niej dzwonić. Znali się tak długo, wielokrotnie widział, jakie czasem stosuje patenty. Postanowił spróbować.

– Zrobimy tak – powiedział i przytulił żonę. – Najpierw umyję ci włosy. Nie jestem może fachowcem pierwszej klasy, ale podstawowe kroki ogarniam. Potem ładnie ci uczeszę i zrobisz sobie makijaż. Założysz nową koszulkę. Przywiozłem z domu.

Nie reagowała. Głowę miała ułożoną na poduszce, a wzrok nieobecny. Przeraził się jeszcze bardziej.

– Potem – kontynuował, z trudem wypuszczając słowa ze ściśniętego gardła – nakarmię ciebie i dziecko. Ciotka Marta przysłała kurczaka i ciasto śliwkowe.

– Daj spokój. Gdyby takie banalne sposoby mogły pomóc, nie byłaby potrzebna kroplówka i silne leki, które dostaję.

– Leki mają swoją rolę, a domowa magia swoją. Patrz i podziwiaj. Uczyłem się od najlepszych.

Spojrzała na niego. To już było nieźle. Miał nawet wrażenie, że leciutko się uśmiechnęła. Sąsiadka z łóżka obok, która mogła już chodzić, wykazała się taktem i poszła

w odwiedzinie do kogoś z sąsiedniego pokoju, zatem Kornel mógł spokojnie przystąpić do zaplanowanych operacji. Przyniósł miskę, zrobił warstwy ochronne z ręczników, by nie poplamieć pościeli i umył żonie włosy, niemiłosiernie chlapiąc przy tym na podłogę. Ale pościel ocalała. Potem Gabryś odświeżyła się mokrą rękawicą, a on podał jej świeżą, jeszcze pachnącą żelazkiem koszulę. Otworzył szeroko okno, żeby wpuścić trochę rześkiego powietrza, i włączył suszarkę.

– Lepiej? – zapytał, kiedy już zdołali wspólnymi siłami rozczesać splątane włosy.

– Wiesz, że nawet tak – Gabryś naprawdę odżyła.

– Ja ci się wcale nie dziwię. Można zwariować od takiego leżenia całymi dniami.

Zwłaszcza kiedy człowiek się martwi.

– Powiedzieli, że jeśli przetrwamy do końca trzeciego miesiąca, może pozwolą mi wstawać. Ale nie wiem, czy się odważę. Chyba będę się musiała na nowo nauczyć chodzić.

– Dasz radę – uśmiechnął się Kornel. Trochę mu ulżyło. – A teraz jedzonko i garść rodzinnych plotecek. Julia przyprowadziła do domu nowego znajomego. Ponoć bardzo fajny. Marcin mi powiedział. Ale on sam ma chyba z kolei jakieś zmartwienie...

Nowiny płynęły. Gabryś wręcz namacalnie czuła, jak od tej domowej magii jej organizm się wycisza. Nie miała pojęcia, czy to ma jakiś wpływ na ciążę. Ale może to maleństwo, zasłuchane w spokojny głos Kornela i nakarmione rodzinnymi specjałami, będzie miało większą motywację, by zostać?

Była pielęgniarką. Wiedziała, że tak małe dziecko jeszcze nie słyszy. Ale co do tego, że czuje, nie miała żadnych wątpliwości. A już najbardziej była pewna, że narodziny to tajemnica i nikt do końca nie wie, jakimi kieruje się prawami. Trzeba próbować wszystkiego.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Takie wyzwanie, jak ciąża, zwłaszcza zagrożona, to nie jest zadanie dla jednej osoby. Samemu naprawdę jest czasem ciężko.

Kiwnął tylko głową. Bał się kolejnych słów, planowania, nadziei. Na ten strach domowa magia nie pomagała.

ROZDZIAŁ 26

Kolejne dni przyniosły wyraźnie zimową aurę. Na trawnikach srebrzył się szron, a zimny wiatr niósł zapach śniegu i dymu z kominów. Sezon grzewczy był już na dobre rozpoczęty.

Bartosz napalił w kominku i mimo chłodu wyszedł na werandę. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Tęsknił za Julią. Chodził w kółko po pokoju w swoim zielonym swetrze i nieustannie o niej myślał. Od rana postawił już sobie trzy diagnozy, choć z zawodu nie był lekarzem. Jedna była gorsza od drugiej. Zafascynował się, ewentualnie zadurzył, ale nie można było wykluczyć, że naprawdę zakochał. A Julia nie odbierała telefonów, co tylko pogarszało sprawę. Stan się zaostrzał. Czuł coraz mocniej, że musi się z nią zobaczyć.

Nie chciał jednak zmieniać poglądów z tego powodu. Tym bardziej że wbrew temu, co mówił, to nie do końca była kwestia wyboru. Stałe związki po prostu nie stanowiły jego mocnej strony. Podejrzywał, że traci przy bliższym poznaniu. Dlatego partnerki zwykle go opuszczały po kilku tygodniach wspólnego życia. Może to przez ten wszechobecny bałagan albo beztroskę w podchodzeniu do prozy życia?

Kobiety są bardzo romantyczne, ale wystarczy kilka razy nie zrobić na czas zakupów lub zapomnieć o umówionym spotkaniu i zmieniają się całkowicie. Stają się zimne niczym negocjator windykacyjny.

Julia nawet nie udawała, że jest inaczej. Stawiała sprawę jasno. Lubiła ład wokół siebie. Pięknie posprzątała mu werandę. Sam musiał przyznać, że przyjemnie się teraz piło tutaj kawę. Miał też szansę się przekonać, że w mieszkaniu Julia ma czysto jak mało kto. Do tego zwykła długo się namyślać przed każdą decyzją i jeszcze długo po jej podjęciu zastanawiać, czy słusznie postąpiła. Była dobrze zorganizowana.

Nie pasowali do siebie. To było widać na pierwszy rzut oka.

A jednak Bartosz tęsknił. Z niechęcią patrzył na dwa słodkie kociaki, które rozrabiały w najlepsze na środku pokoju. Okazy zdrowia i żywotności. Żaden nie wykazał się najmniejszą nawet wdzięcznością za przyjęcie pod jego dach, życzliwość oraz wyżywienie i nie dał pretekstu do kolejnej wizyty w gabinecie weterynaryjnym.

Tymczasem Bartosz walczył z ochotą, by udać się tam natychmiast. Miał dzisiaj wolny dzień. Niekończąca się lista nadgodzin skłoniła w końcu szefa do wykazania się tym aktem łaskawości. Początkowo mężczyzna bardzo się ucieszył, miał nawet zamiar wykorzystać ten czas na zakup brakujących mebli, ale już po wypiciu porannej kawy uświadomił sobie, że to skazuje go wyłącznie na towarzystwo własnych myśli i dokazujących kociaków. Kiedyś w zupełności by mu to wystarczyło. Ale teraz już nie.

Stał na werandzie ze szklanką wody i patrzył na sad. Jednak widział co innego niż dawniej. Nie dającą wytchnienie przestrzeń, ale masę pracy. Przycinania, plewienia, nawożenia, podlewania. Jan Zagórski bardzo się postarał tamtego dnia, kiedy Bartosz

zawitał do jego domu. Na prośbę o garść informacji dotyczących gospodarowania zasypał młodego przyjaciela Julii całą swoją wiedzą. Tak ogromną, że chłopak poczuł się całkowicie przytłoczony. Zadanie zdawało się być niemożliwe do wykonania.

– To nie dla mnie – postanowił. – Dom trzeba koniecznie sprzedać.

Nie miał zwyczaju długo się zastanawiać nad swoimi decyzjami. Tej też dał już spokój. Była podjęta, a to najważniejsze. Stał jednak nadal i wpatrywał się w korony starych drzew sadzonych ręką dziadka. Szukał pomysłu na spędzenie tego dnia. Najlepiej takiego, który by zakładał odwiedziny u Julii. I znalazł go, a konkretnie dostał w prezencie od puchatej wiewiórki. Ten rudzielec ewidentnie kradł mu orzechy i wcale się z tym nie krył. Ale kształt zwierzątka i jego futerko nasunęły Bartoszowi odpowiednie skojarzenie.

Chomik! – pomyślał i już wiedział, co zrobić, by mieć pretekst do odwiedzin.

* * *

Julia skończyła pracę. Zamknęła gabinet i wsiadła do samochodu. Od południa była sama, bo dzisiaj Ania z kolei pojechała wcześniej do domu. Znowu miały mało pacjentów. Problem zaczynał narastać. Nie było pracy dla nich obu, a jednocześnie w żaden sposób nie dało się zorganizować zajęć w ten sposób, by w przychodni przyjmowała tylko jedna lekarka. Julia musiałaby stać się niewolnikiem tego miejsca, a w godzinach szczytu pacjenci czekali by jeszcze dłużej niż dotychczas. Poza tym przecież nie mogła zwolnić swojej przyjaciółki, która na dodatek była jej współpracownicą. To nie wchodziło w grę.

Co robić? – Julia zaparkowała przed swoim blokiem i rażno ruszyła w stronę wejścia. Miała mnóstwo planów na wolne popołudnie. Zamierzała dopieścić Żwirka i zrobić generalne porządki w kuchni. To, co zrobiła wcześniej, było wielką zmianą w jej życiu, ale nie wystarczało. Nagle włączył jej się instynkt gniazdowy, który do tej pory pozostawał w uśpieniu. Zaczęła tworzyć wokół siebie nową rzeczywistość. Ładniejszą niż wcześniej. Po raz pierwszy w życiu zapragnęła urządzić się na stałe, zapuścić korzenie. Choćby tylko w wynajmowanym mieszkaniu.

– Ups! – wpadła z nienacką na jakiegoś człowieka. – Bartosz! – rozpoznała go. – Czemu ty się płaczesz pod nogami, zamiast odpoczywać po pracy?

– Wpadłem, żeby ci podziękować. Powiedz wprost, jeśli mnie nie chcesz widzieć. Nie musisz koniecznie szarżować jak koń – zakończył z lekką pretensją w głosie.

– No wiesz co? Takie porównanie?

– Przepraszam – otrzepał nogawki spodni. – Ja nie o tym chciałem. Przyszedłem, żeby ci podziękować – powtórzył. W objęciach taszczył wielkie pudło i znów był starannie ubrany.

– Za co? – zapytała, spoglądając na niego z lekkim pobłażaniem.

– Za najpiękniejsze uporządkowanie werandy, jakie w życiu widziałem – odpowiedział.

– Krótco żyjesz, mało sprzątasz. Byle co cię zachwyca – Julia machnęła dłonią.

– Nieprawda. Przyniosłem prezent – zareklamował się i podniósł kartonowe pudło z dziurami.

– Prezenty zawsze mile widziane – uśmiechnęła się Julia. – Ale nawet nie mów, że kupiłeś mi jakieś zwierzątko. Kocham je, ale wiesz, że całymi dniami jestem w pracy.

– Ten da radę – odparł Bartosz i podniósł wieko. W środku był mały puchaty chomik,

zamknięty w specjalnym pojemniku.

– Rany! To Muchomorek – Julia złapała się za policzki. – Skąd wiedziałeś? Jak go znalazłeś? Jesteś jasnowidzem?

Bartosz po męsku przyjął na klatę wszystkie komplementy. Nie miał zamiaru z nikim dzielić się pochwałami, zataił więc współudział wiewiórki w całym przedsięwzięciu.

– Dlaczego Muchomorek? – zapytał.

– Jak to? Nie oglądałeś bajki o Żwirku i Muchomorku?

– Nie. Szczerze powiedziawszy, imię twojego zwierzaka skojarzyło mi się z kocią kuwetą, ale możliwe, że jestem ostatnio trochę za bardzo sfiksowany na jednym temacie.

– Chodź – zaprosiła go Julia. – Poczęstuję cię herbatą. Mam nadzieję, że chomiki się polubią. To wcale nie jest takie pewne.

Weszli do mieszkania. Bartosz rozpakował pudło. W środku znajdowała się kompletnie wyposażona klatka dla chomika.

– Czekał, zrobimy mu miejsce – Julia przesunęła trochę rzeczy na szafce i postawiła nowego gościa tak, by zwierzaki mogły się zapoznać.

Bartosz usiadł na kanapie. Był z siebie bardzo zadowolony. Znalazł się w tym miejscu, w którym najbardziej chciał być. Dobrze się tutaj czuł. Julia zaparzyła pyszną herbatę, podała mu kubek i usiadła obok.

– Wcześniej musiałeś dzisiaj skończyć, skoro zdążyłeś zrobić takie zakupy.

– Miałem wolny dzień – odpowiedział. – Przydał się, bo pilnie musiałem przemyśleć parę spraw.

– Udało się?

– Tak. Zdecydowałem się ostatecznie wystawić dom na sprzedaż.

Julia z przykrością przyjęła te słowa. Żal jej się zrobiło starego budynku, wiekowego sadu. Całej pracy i trudu, jaki ktoś włożył w to miejsce, mając nadzieję, że będzie służyło rodzinie. Może dlatego, że sama wychowała się w miejscu, które od pokoleń służyło jej bliskim, mocno to odczuwała. Nawet nie miała świadomości, że szacunek do tradycji jest w niej tak silny. I miłość do starych miejsc, które mają swoją historię i wyjątkową aurę.

– I co? – zapytała podstępnie, bo w jej głowie zakiełkował pewien plan. – Wystawisz nieruchomości tak jak jest? W takim stanie? W kategorii: zaniedbana rudera?

– Nie ma takich – obraził się Bartosz.

– Sfotografujesz zarośnięty sad i wyschnięty ogród? – atakowała dalej Julia. – Starą farbę na ścianach i popękane linoleum w korytarzu? Przecież nikt tego nie kupi. A jeśli już, to za grosze.

Bartosz wsadził obie dłonie we włosy i orał nimi niczym chłop pańszczyźniany w pełni sezonu.

– Masz trochę racji – przyznał po chwili. – Ale pojęcia nie mam, co mógłbym na to poradzić.

– Jesteś naprawdę niemożliwy – roześmiała się. – A takie proste rozwiązanie, jak ogarnąć wszystko, nie przychodzi ci do głowy?

– Nie sądzę, żebym miał takie moce.

– Daj spokój. Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – przysunął się bliżej. – Tylko szczerze, bez żadnych

matactw.

– To podstępny plan, a one mają to do siebie, że nie wolno ich zdradzać – uśmiechnęła się, choć czuła się nieco stremowana.

– Gadaj! – nacisnął.

– Może się przywiążesz – powiedziała powoli dziewczyna. – Poznasz, polubisz, zobaczysz, jaki w tym miejscu jest potencjał. Jeśli potem będziesz chciał sprzedać, zrobisz to. Zawsze zdążysz.

– Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Pomożesz mi.

Julia wstała. Ta rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku. Nie podobało jej się to. Właściwie żałowała, że w ogóle wdała się w tę dyskusję. To przecież nie była jej sprawa. Po co się angażować? I tak miała do tego miejsca zbyt emocjonalny stosunek.

– To raczej nie będzie możliwe – powiedziała wolno. – Mam dużo pracy.

– Nie masz – zdemaskował ją Bartosz. – Sama się żaliłaś, że klientów coraz mniej. Proszę cię, mówmy sobie prawdę. To nasz dobry układ, po co go zmieniać?

– No dobrze. Boję się – odparła.

– Kotów? Już ich tam nie ma. Dobrze sprawdzaliśmy. Poza tym obronię cię. Już się nauczyłem postępować z tymi bestiami. Teraz się przemieniły w całkiem przyjemne stworzenia. Idzie je nawet pogłaskać.

– Jesteś niepoważny.

– Czasem. Ale nie zawsze. Powiedz, czego się boisz – poprosił i widać było, że w tym momencie naprawdę pyta serio.

– Przywiązania – odpowiedziała po chwili namysłu.

– Do mnie? – zadziwił się, a jednocześnie wyraźnie ucieszył.

– Miałam na myśli, prawdę mówiąc, dom, ale coś jest na rzeczy. Skoro tak gramy w szczerą, to rzeczywiście. Nie chciałabym się znowu zaangażować.

– Zakochać? – machnął ręką i znów poprawił sobie fryzurę, ale nie osiągnął dobrego efektu. – O to się nie martw. Gwarantuję ci, że tak się nie stanie.

– Skąd miałbyś to wiedzieć? Przecież nie możesz mi tego zapewnić.

– Ależ tak. Jestem nawet gotowy dać ci to na piśmie. Z notarialnym potwierdzeniem.

– Przestań, bo jeszcze wezmę to na poważnie i zacznę cię w razie czego ciągać po sądach.

– Niestety, taka jest prawda. Tracę przy bliższym poznaniu. Dziewczyny ode mnie uciekają. Możesz być spokojna. Prędzej ja wpędzę się w kłopoty i będzie mi potem trudno zapomnieć o tobie – dodał z pełną szczerością.

– Nie ma obawy – powiedziała Julia. – Kokietowanie kogokolwiek to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Już nawet chyba nie potrafię. Jestem nieuleczalnym pracoholikiem.

– Ale mój dom lubisz, prawda?

– Tak – przyznała.

– To pomóż mi, proszę. Może rzeczywiście nie zasłużył na to, by go sprzedawać jako ruderę? Trzeba mu znaleźć dobrego nowego właściciela.

– Nie wiem, muszę się zastanowić.

Bartosz czekał cierpliwie. Czuł, że jego szanse z każdą minutą rosną.

– Popatrz, chyba się polubią – Julia wskazała na chomiki, które stały blisko siebie,

każde tuż przy ścianie swojej klatki. Obwąchiwały się zabawnie. – To dziewczynka – powiedziała Julia.

– Tak – potwierdził Bartosz.

– No to się, chłopie, z alimentów nie wypłacisz. Czuję chemię w powietrzu – uśmiechnęła się łagodnie.

Bartosz też ją czuł. Nie tylko w powietrzu, ale także w każdej komórce swojego ciała. Wypełniała go. Musiał się bardzo postarać, by sobie przypomnieć, że niezdolność do tworzenia stałych związków czyni z niego najgorszego możliwego towarzysza dla zasadniczej w tych sprawach Julii.

ROZDZIAŁ 27

– Dobry wieczór – przywitał się Marcin dość oficjalnym tonem, wchodząc do mieszkania Pauliny. Był bardzo spięty. Miał nadzieję, że nie zastanie jej córeczek. Obecność dzieci jeszcze bardziej skomplikowałyby sprawę. Na szczęście Paulina najwidoczniej myślała podobnie, bo zadbała o to, by dzieci nie musiały być świadkami niełatwej i zapewne dość nieprzyjemnej sceny.

Chociaż Marcin sam umówił się na tę rozmowę, zaczął żałować swojej decyzji, ledwo tylko przekroczył próg.

– Co tak sztywno? – zaatakowała go Paulina zaraz na wstępie. – Już nie jestem twoim skarbem najgorętszym, ukochaniem najdroższym?

– Proszę cię... – Marcin uznał, że cytowanie określeń, których człowiek używa w chwilach bardzo intymnych, kiedy dostęp do mózgu jest mocno ograniczony przez inne doznania, to chwyt poniżej pasa.

– Ja cię też prosiłam – Paulina nie miała zamiaru ustępować. – Żebyś dał mi szansę, a nie skreślał po pierwszym kryzysie.

– To nie tak... Po prostu zobaczyłem, że nie jesteś ze mną szczerą.

Naprawdę chciał jej to wszystko wyjaśnić. Ale ona tylko spojrzała na niego z pogardą.

– Jasne! – zawołała szyderczo. – Myślisz, że ci uwierzę? Piękną sobie stworzyliście rodzinną historię. Kłótnia małżonków, a potem spektakularne pogodzenie. A że gdzieś po drodze ktoś został wykorzystany i porzucony? Kto by się tym przejmował! Taki szczegół nie pasuje przecież do waszego idyllicznego obrazka. A może od początku miałeś zamiar wykorzystać mnie tylko do tego, by wzbudzić w żonie zazdrość?

Paulina była mocno wzburzona. Cały zestaw blaszanych bransoletek brzęczał na jej dłoni, purpurowe paznokcie cięły powietrze, a oczy zdradzały zimną niechęć.

Zrobiła krok w stronę Marcina, a on wycofał się prawie pod drzwi.

– Nie zrobiłem tego – powiedział szybko. – Kiedy cię poznałem, byłem przekonany, że z moim małżeństwem koniec. Że nie da się go już uratować. Byłem z tobą szczerą, ale ty już niekoniecznie.

– Nie próbuj zwać winy na mnie. Skrzywdziłeś mnie.

To nie miało sensu. Marcin wiedział już, że wizyta u Pauliny nie była dobrym pomysłem. Ta kobieta nie nastawiła się na słuchanie. Atakowała ostro, mocno przekonana o swojej racji. A przecież nie tylko ona ją miała. Postanowił jednak nie dać się wciągnąć w bezsensowną wojnę.

– Jeśli to zrobiłem, przepraszam – powiedział w miarę spokojnym tonem, ale cofnął się o jeszcze jeden krok. – Nie działałem przeciwko tobie świadomie. Ty natomiast uknułaś podłą intrygę. Mogłaś zaszkodzić całej mojej rodzinie! – nie opanował się jednak i wyrzucił z siebie te słowa z wielkim żalem.

– Dobra jestem, prawda? – uśmiechnęła się złośliwie. – Twoja Marylka tak pięknie

dawała się prowokować. Wystarczyło wejść na klatkę schodową, chwilę tam postać, a ona na tej ławce już zwijała się z bólu.

Marcin cofnął się znowu, jakby go nagle uderzono w twarz.

– Jak możesz?

– Ty mi dałeś takie prawo. Pierwszy mnie skrzywdziłeś. I bardzo żałuję, że mój plan spalił na panewce.

– Rozumiem, że zapasowego kluczyka do samochodu też mi nie oddasz – zawołał, kładąc rękę na klamce. Teraz było mu już wszystko jedno, co Paulina sobie pomyśli i jak ta cała sprawa się zakończy. Ta kobieta właśnie zrzuciła kolejną maskę. I każda, coraz bardziej prawdziwa twarz, jaką przed nim odsłaniała, była gorsza od poprzedniej.

– Bierz! – rzuciła mu kluczyk pod stopy. Zabrzęczał głośno, uderzając o kamienną terakotę.

Marcin z najwyższym trudem wyciszył emocje i podniósł go, po czym schował do kieszeni.

– Przyszedłem tutaj pełny poczucia winy – powiedział jeszcze, zanim się odwrócił. – Bo rzeczywiście byliśmy razem, a zerwanie nastąpiło dość gwałtownie. Głupio mi było, szczególnie kiedy wspomniałaś o twoich córkach. Naprawdę je lubię, a nie widzieliśmy się ani razu od momentu rozstania.

– No właśnie – przerwała mu z satysfakcją.

– Ale kiedy słyszę, co mówisz, wszystko mija – dodał twardo, spoglądając jej w oczy. – Jeśli zawiniłem, odpłaciłaś mi pięknym za nadobne. Jesteśmy kwita.

– Proszę cię – złapała go za rękaw, bo odwrócił się już w stronę wyjścia. – Ja przecież tego nie zrobiłam, żeby cię skrzywdzić, ale po to, by cię odzyskać! Jeszcze mamy szansę.

Spojrzał na nią i przestraszył się. Zachowywała się kompletnie nielogicznie. Miał nadzieję, że jest taka tylko w jego obecności, że wobec dzieci jest inna. Pamiętał ją jako troskliwą matkę.

– Daj spokój – wyrwał róg koszuli z jej ręki. – To niepoważne, co mówisz. Ale jeszcze raz cię przepraszam. Nie chciałem namieszać w twojej rodzinie. Naprawdę myślałem, że będziemy razem. Teraz widzę, że od początku to było niemożliwe. Nawet gdybym nie pogodził się z Marylą.

– Jadłeś mi z ręki – zdradziła się znowu Paulina. – Było cudownie.

– Ale nieprawdziwie – Marcin zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę. Dalsza rozmowa nie miała sensu. – Wcale cię nie znałem – dodał. – Teraz zrozumiałem to bardzo wyraźnie.

Wyszedł i szybko zbiegł po schodach. Bał się, że Paulina będzie jeszcze coś za nim wołać, ale nie zrobiła tego. Trzasnął drzwiami od bloku, aż zadrżały szyby, i pobiegł w stronę samochodu. Był na siebie wściekły. Tak mocno zaślepił go żal do żony, że przez jakiś czas uważał Paulinę za szczerą, miłą dziewczynę. Jakby mu rozum wyparował! Jakby stracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji! Po co pakował się w kłopoty? Teraz zrozumiał, że dał się złapać jak szczeniak na parę gładkich komplementów. Niewiele czułości, trochę zachwyty okazanego z wprawą i rzeczywiście Paulina mówiła prawdę: jadł jej z ręki.

To go strasznie zdenerwowało. Ale najbardziej bolał go fakt, że wciągnęli w to dzieci. Zarówno jego, jak i Pauliny. Zupełnie niewinne, uczestniczyły w rozgrywkach dorosłych i próbowały w nich znaleźć dla siebie miejsce.

Okropne.

Wrzucił zapasowy kluczyk do schowka, a następnie zwinął nieszczęsną apaszkę i wysiadł, by poszukać jakiegoś kosza. Kiedy wrócił do samochodu, czuł już tylko ogromne znużenie. Światem, w którym tak trudno zbudować stały związek, i sobą, bo miał poczucie, że zawiódł jako mężczyzna i ojciec. Pomylił się, a za jego błąd zapłaciło wiele osób.

ROZDZIAŁ 28

Dla Julii kolejny tydzień w pracy znów był bardzo trudny i naprawdę trzeba byłoby dołożyć wszelkich starań, by nadal łudzić się, że sytuacja jest tylko przejściowa. Dwie przychodnie weterynaryjne zlokalizowane tuż obok siebie... To nie mogło się udać. I rzeczywiście, jak można było przewidzieć, klinika z prawdziwego zdarzenia, rozwijając się, stopniowo zajmowała cały rynek. Po zerwaniu z Julią Ksawery rzucił w swoją firmę wszystkie siły i był właśnie w najwyższej formie. Jego niedoszłej narzeczonej zostali już wierni wyłącznie wyjątkowo sentymentalni klienci, którzy przychodzili ze swoimi zwierzakami tylko ze względu na sympatię do Julii. Ale wieść o poziomie usług kliniki Ksawerego szybko się rozchodziła i trzeba by zainwestować sporo pieniędzy, żeby podjąć z nim walkę. Julia ich nie miała. Wyglądało na to, że rozpoczęta jeszcze na studiach i zwykle traktowana z przymrużeniem oka rywalizacja miała się właśnie zakończyć spektakularnym nokautem.

I nie można tego było traktować jak żart. W grę wchodziły dwa etaty i lata pracy włożonej w stworzenie tego miejsca.

Dlaczego ludzie są tacy niewierni? – Julia wpatrywała się rozżalona w znajomą niebieską skodę pani Marii, właścicielki uroczego pekińczyka. Zaparkowano ją po drugiej stronie parkingu. Najwyraźniej kolejna osoba wybrała wysoką jakość za niską cenę. Może i trudno było się temu dziwić, ale to wcale nie zmniejszało bólu.

Julia była dzisiaj w pracy sama. Piątkowy poranek Ania spędziła na przygotowaniach do wyjazdu. Ta niewinna pozornie wyprawa też mogła się okazać o wiele groźniejsza, niż można się było spodziewać na początku. Julia żałowała, że namówiła przyjaciółkę na ten wyjazd. Z drugiej strony nie mogła być taką egoistką i stawać jej na drodze.

Trudno stwierdzić, czy Ksawery działał świadomie, ale celnie uderzał w czułe punkty. Najpierw zabrał jej pracę i klientów, a teraz zarzucał sieci na przyjaciółkę oraz współpracownicę. Wczoraj wieczorem zorganizował kolację w eleganckiej restauracji, aby omówić w miłej atmosferze szczegóły wyjazdu. Julia też została zaproszona, ale odmówiła pod błahym pretekstem. Za to Ania poszła chętnie.

Julia przeczuwała już, że w restauracji doszło do ważnej rozmowy. Może padła jakaś propozycja? Trudno było przypuszczać, że dotyczyła życia prywatnego, tak szybko nie działał nawet Ksawery. Ale jeśli chodzi o sprawy zawodowe, miał pole do popisu. Ania była świetnym fachowcem. Wciąż młoda, energiczna, a jednak ze sporym doświadczeniem. Dla każdego stanowiłaby cenny nabytek.

Julia usiadła za biurkiem. Cisza panująca w poczekalni świdrowała jej mózg.

Jak powinna teraz postąpić? Nie miała przecież możliwości, by złożyć lepszą ofertę. Przebić Ksawerego z pewnością nie było łatwo. A on się nie wahał, śmiało zmierzając do celu. Rozmowa zapewne była konkretna, bo przyjaciółka dziwnie z nią dzisiaj rozmawiała przez telefon, jakby była zmieszana. Pewnie mocno biła się z myślami.

Julia dopiero teraz w pełni zrozumiała, co musiał czuć tata, kiedy tracił swoją księgarnię. Człowiek w takich chwilach jest ze swoimi bliskimi, wspiera ich, mówi, że wie, przez co przechodzą, ale tak naprawdę może się tylko tego domyślać. Dopiero gdy sam znajdzie się w podobnej sytuacji, zaczyna pojmować, co to oznacza.

To było trudne, rzeczywiście trudne. Julia spacerowała po gabinecie, głaskała dłońią blaty i stoły, przypominała sobie momenty, kiedy je kupowała. Pomagała wnosić szafki, własnymi rękami urządzała to wnętrze, malowała ściany, skręcała półki. Każdego roku starała się zamówić jakiś dodatkowy sprzęt. Dopiero co kupiła nową aparaturę. Ale z Ksawerym i tak nie miała szans. Jej tempo było zbyt wolne.

Wiadomość telefoniczna obudziła ją z zadumy.

Już jestem – meldował się Bartosz.

Ścisnęła przez chwilę aparat w dłoni. Wcale nie miała ochoty jechać teraz do niego i kosić starej trawy. Sprzątanie kosmicznego bałaganu też jej nie pociągało. Co to w ogóle za pomysł? Są firmy, które można wynająć, jeśli ktoś nie umie tego zrobić sam.

Ona potrafiła. Dlatego tak trudno było jej zrozumieć niezaradnego Bartosza.

Rodzice pomogli jej trochę finansowo, kiedy zaczynała działalność, ale nie byli zbyt zamożni, więc musiała nauczyć się sobie radzić w rozmaitych sytuacjach.

Potrafiła pomalować ściany, a nawet położyć panele podłogowe. W gruncie rzeczy okazało się to bardzo proste. Była dumna ze swoich umiejętności i nie imponowali jej specjalnie ludzie o dwóch lewych rękach. Jak Bartosz na przykład.

– Cześć – mężczyzna uchylił drzwi gabinetu i wsadził przez szparę rozczochną głowę.
– Czym jesteś zajęta, że do mnie nie pędzisz? Przecież nie masz klientów, a my byliśmy umówieni.

– Myślę – rzuciła mu rozzłoszczona. – Słyszałeś kiedyś o takiej czynności? Ludzie to robią, kiedy mają zmartwienie albo muszą podjąć trudną decyzję.

– Coś mi się obilo o uszy. Ale nie testowałem – uśmiechnął się. A Julia poczuła się kompletnie bezradna.

– Chodź ze mną – zachęcił ją Bartosz. – Mam fajne zabawki. Cały bagażnik. Kupiłem wszystko na twoją cześć.

– O czym ty mówisz? Nie ma żadnej potrzeby, żebyś mi coś kupował. Mam nadzieję, że się przynajmniej nie zadłużyłeś bez sensu.

Nie była zadowolona, że po nią przyjechał, i trochę żałowała pochopnie złożonej obietnicy, że mu pomoże przy porządkach.

– Nigdy tego nie robię – odpowiedział Bartosz. – Dług zabija radość życia, a ja morderców omijam szerokim łukiem.

– To dobrze.

– Nie martw się o moją kondycję finansową. Przecież pracuję, a brak przywiązania do rzeczy materialnych skutkuje zwykle przyjemnie okrągłym stanem konta – uśmiechnął się znowu.

– U mnie to nie działa.

– Chodź – wziął ją za rękę. – Przestań się na chwilę martwić. Zdażysz jeszcze to zrobić, a jak nie, to nawet lepiej. Zobacz lepiej, co kupiłem.

Naprawdę była ciekawa. Wyszła z przychodni, pozamykała wszystkie drzwi. Zbliżyła się

do samochodu Bartosza. W środku był widoczny tylko fotel kierowcy, pozostałe złożono. Całe wnętrze auta, łącznie z bagażnikiem, zawałone było sprzętem ogrodowym i różnymi sprawunkami. A wszystko zostało upchnięte w charakterystyczny dla Bartosza, wybitnie chaotyczny sposób. Sekatory, spora kosiarka, pojemnik z zapasową benzyną poprzetykane były puszkami farby, spomiędzy których wystawały sadzonki roślin.

– Od razu zrobimy wszystko, co trzeba – powiedział Bartosz dumny ze swoich zakupów. – Posprzątam, usuniemy, co zbędne, i posadzimy nowe rośliny. A potem wreszcie usiądziemy sobie spokojnie i będziemy się cieszyć życiem – spojrzał na nią z uśmiechem tak błogim, że bez trudu wyobraziła go sobie na werandzie z kubkiem herbaty, wpatrzonego w zachód słońca. Czasem trochę, mimo pozornej sprzeczności, przypominał jej tatę.

– To jak będzie? – zapytał. – Pomożesz mi? Wiem, że nie mogę ci się odwdzięczyć. Pieniądzy i tak byś pewnie nie przyjęła. Nawet ci nie jestem w stanie obiecać, że zawsze będziesz w tym domu mile widzianym gościem, bo zamierzam go sprzedać, ale proszę cię...

– Tylko ty potrafisz złożyć człowiekowi tak kuszącą ofertę. – Julia już przestała się denerwować. Westchnęła z rezygnacją, choć trochę z rozbawieniem. – Propozycja korzystna jak mało co. Ale powiem ci, że chyba trafiłeś na jelenia, który przyjmie twoje warunki. Chwilowo mam dość znajomości wyglądających na bardzo opłacalne i rozsądne. Jedna taka chyba mnie zniszczy na dobre.

Spojrzała na Bartosza z oczekiwaniem. Każdy inny jej znajomy zadałby teraz dodatkowe pytania, a siostry czy mama wręcz by ją nimi zasypali. Tłumaczyłaby się obficie ze swoich smutków, a oni dawaliby jej dobre rady. Ale tego mężczyzny takie rzeczy nie interesowały.

– Po drodze możemy wstąpić na hot doga – powiedział. – Nie przepadam za fast foodami, ale znam jedno wyjątkowe miejsce. Mówię ci. Palce lizać. Prawdziwa bułka, uczciwa parówka, porządna sałatka i ostra musztarda. Jesz i czujesz się super.

– Wchodzę w to – uśmiechnęła się. – Chcę się poczuć super.

– To świetnie – ucieszył się i odetchnął z wyraźną ulgą. Chyba miał już trochę dość opowieści o Ksawerym. – To jedno mogę ci obiecać. Jestem w tym nawet całkiem niezły. Wiem, gdzie są pochowane różne życiowe przyjemności.

Wbrew pozorom to całkiem cenna umiejętność – pomyślała Julia.

Zostawiła za sobą przychodnię i zmartwienia, których i tak nie umiała pokonać. Myślenie nic tu nie dawało. Wsiadła do swojego samochodu, bo w aucie Bartosza nie było nawet skrawka wolnego miejsca, i ruszyła za nim. Ku przygodzie.

ROZDZIAŁ 29

– Znowu panu spadły jakieś dokumenty – Jacek odezwał się do szefa zniecierpliwionym tonem. Nie polubił swojego przełożonego. Uważał go za człowieka starej daty, który nie zna się na interesach i wzbudza powszechnie niewspółmiernie większą sympatię, niż na nią zasługuje. Powodzenie księgarni dodatkowo wprawiało go w furję, bo jego zdaniem Zagórski nie zapracował na taki sukces.

– Możesz skasować towar? – Jan wskazał na kolejkę przy kasie. To była dla niego nowa umiejętność. Mówienie o rzeczach oczywistych. Najwyraźniej pochodził z innej epoki i nie mógł się przyzwyczaić do pracowników, którzy całą swoją energię wkładali w znajdowanie wymówek, a na rozmowach kwalifikacyjnych tworzyli fikcję literacką. Czas pokazał, że więcej faktów jest w trylogii Tolkiena niż w CV nowo zatrudnionego chłopaka.

Jacek przewrócił teraz oczami i łaskawie stanął za kasą. Fakt, że nie jest to praca jego marzeń, płynął z całej mowy ciała i niestety klienci to wyczuwali.

Nie tak to miało wyglądać – pomyślał Jan, siadając przy biurku. Stał tutaj jak dawniej stos nowości do przeczytania, wciąż większy i większy. Nie było czasu, by się nim zająć. W domu czekała Helena. Czy warto poświęcać ostatnie lata życia na taką szarpaninę? To trudne pytanie wracało do niego z męczącą częstotliwością.

Rozejrzał się po księgarni. Kochał tę pracę. Nawet tutaj, w galerii. Był sprzedawcą książek, dystrybutorem marzeń, strażnikiem innych światów. Choć lat mu przybywało, wciąż chciał to robić. Była to jego pasja. Oczywiście nie zamierzał pracować w taki sposób jak ostatnio. Poblądził i wyciągnął wnioski. Ale czy jedynym wyjściem było znów się poddać? Sprzedać, zostawić, uciec?

Patrzył, jak jego pracownik posyła nad ladą znaczące spojrzenia w stronę parzącej herbatę dziewczyny. Między młodymi coraz mocniej iskrzyło. Ale trudno było kibicować tej miłości, gdy dominującym odczuciem, jakie z tych dwojga ludzi emanowało, była pogarda. Dla klientów, którzy zwracają głowę, dla szefa, bo się czepia o wykonywanie obowiązków, pewnie także dla wielu innych ludzi, miejsc i spraw. Przykro było na to patrzeć.

Jan jednak nie był słabym człowiekiem. Czasem się mylił, rozpaczał i błędził, lecz nie poddawał się tak łatwo. Kochał swoją żonę i nadal pragnął, by miała piękną, dobrą jesień życia. Wcale nie musieli wyłącznie siedzieć w fotelach i patrzeć na sad. Wciąż miał w sobie siłę konieczną do tego, by pracować, coś dla niej zdobywać, żyć w pełni. I nie musiał za to płacić zdrowiem żony ani utratą pracy.

– To się do cholery da pogodzić! – wymruczał rozzłoszczony jak nigdy wcześniej. – To miejsce będzie wyjątkowe i znajdę pracowników, którzy je pokochają, choćbym miał szukać rok. Doświadczenie pokazało mu, że nie wystarczyło dać dobrych warunków finansowych, by zyskać fachowca. Musiał szukać dalej.

Usiadł przed komputerem i wydrukował ogłoszenie, które zaczynało się od słów:

Sympatycznych, energicznych sprzedawców...

Wywieszenie kartki na szybie wywołało nerwowe poruszenie wśród pracowników. Jan stanął za kasą i z uprzejmym uśmiechem zaczął obsługiwać. Czuł, że jest na dobrej drodze. Podjął słuszną decyzję. To dodało mu sił. I miał zamiar wyjść dzisiaj do domu o piętnastej, bez względu na konsekwencje.

– W co pan gra, szefie? – wysyczał do niego Jacek, kiedy tylko księgarnia na moment opustoszała. – Chce mnie pan zwolnić? Nie potrzebujemy przecież dodatkowej osoby do pomocy.

– To zależy tylko od ciebie – godnie odparł Jan. – Na początek proponuję zmienić ton. A potem zacząć się uczyć zawodu.

Chłopak zgrzytnął zębami.

– Dzień dobry pani – Jan, widząc w progu stałą klientkę, wyszedł zza lady i rozpoczął pierwszy etap szkolenia. – Czy książeczki spodobały się wnukowi? Proszę pamiętać, że ma pani prawo zwrotu lub wymiany. Najważniejsze, żeby chłopczyk był zadowolony.

– Ależ wszystko w porządku. Ja wiem, że dla pana każdy klient jest cenny – uśmiechnęła się kobieta. – Dlatego tu przychodzę. Coś się zawsze z tej niskiej emerytury uda wykrobać, to dziecku kupię. On się tak ładnie umie cieszyć.

– To gratuluję! Rzadka umiejętność, także wśród dorosłych – spojrzał z naciskiem na Jacka, a ten skrzywił się z niechęcią.

– Zgadza się – kiwnęła głową klientka. – Ale ja dzisiaj nie przyszedłam po książeczki. Szukam malowanek.

– Jacku, czy możesz pozwolić na chwilę – zawołał chłopaka. – Przedstawiam pani naszego nowego pracownika. Jest bardzo dobrym fachowcem – te słowa powiedział pewnym tonem. – Pomoże pani wybrać coś odpowiedniego. Mamy świetną ofertę. Kompletowałem zamówienie z moimi wnukami – uśmiechnął się.

– Dzień dobry – Jacek podjął rękawicę. Zaprowadził klientkę do odpowiedniego działu i zaczął pokazywać produkty. Słysząc było, że stara się zapanować nad głosem i nadać mu uprzejmy ton.

– Witam serdecznie – Jan rozpromienił się znowu, bo do księgarni weszła rodzina z dziećmi. Lubił takie sytuacje. Dawały nadzieję, że nowe pokolenie będzie się rozwijać i wyrastać na dobrych, mądrych ludzi.

Podszedł do nich i wdał się w krótką, acz treściwą pogawędkę. Kątem oka widział, że Jacek skasował już należność za malowanki i podszedł do kolejnej osoby. A dziewczyna z herbaciarni, wobec faktu, że nie miała żadnych zamówień, zaczęła ścierać półki. Coś drgnęło w dobrym kierunku. Odetchnął z ulgą.

Przed piętnastą ruch w sklepie został opanowany i odbywał się płynnie. Na biurku leżało kilka podań o pracę, lecz Jacek przestał zgrzytać zębami, a przynajmniej nie robił tego jawnie.

Punktualnie, tak jak to zaplanował, Jan wyszedł do domu. Poprosił w przelocie Leszka, by zerknął co jakiś czas, jak młodzi sobie radzą, i zostawił wszystko. W domu od rana Marta dyżurowała przy siostrze. Czas było ją zmienić. Kiedy dojechał do bramy wjazdowej i spojrzał na słupki, które własnymi rękami murował, poczuł wielką wdzięczność. Że znów ma do kogo wrócić.

ROZDZIAŁ 30

W poniedziałek rano Julia omal nie spóźniła się do pracy.

Wróciła wczoraj późno, zmęczona po weekendzie spędzonym u Bartosza, i zasnęła jak drwal. Twardo i głęboko. Kiedy jednak przybyła pod przychodnię, okazało się, że niepotrzebnie się spieszyła. Parking znowu był pusty.

W środku czekała na nią przyjaciółka, ale nie zamierzała rozpoczynać zwykłego dyżuru. Ania stała za biurkiem i nie chciała nawet zdjąć płaszcza. Była bardzo spięta.

– Proszę cię – powiedziała, opanowując z trudem drżące z emocji usta. – Spróbuj mnie zrozumieć. Dzisiaj znowu jest pusta poczekalnia, a ja mam kredyt na mieszkanie i samochód. Nie mogę zostać bez pensji, a obie się tutaj nie utrzymamy.

– Wiem – Julia właściwie spodziewała się tej rozmowy, nie była tylko przygotowana na to, że tak bardzo ją ona zabol.

– Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć – Ania mówiła z przejęciem. – Dostałam propozycję życia. Ta konferencja nad morzem była świetna. Tego mi brakowało od dłuższego czasu. Świeżego spojrzenia. Julia, zobacz, drepczemy w miejscu.

Ania była wyraźnie nakręcona. Mówcy motywacyjni dobrze wykonali swoją pracę. A Ksawery w drodze powrotnej zapewne dołożył swoje trzy grosze. Wspólniczka podjęła już decyzję.

– Lubię cię – powiedziała. – Przyjaźnimy się tyle lat, ale nikomu nie pomoże, jeśli razem utoniemy. Ksawery złożył mi tak dobrą propozycję, że możemy rozstać się łagodnie. Nie musisz mnie na razie spłacać. Poczekam. Jeśli chcesz, możesz zachować przychodnię albo przejść do nas...

– Nie, dziękuję – przerwała jej. – To na pewno nie wchodzi w rachubę.

– Błagam cię. Nie miej do mnie żalu – Ania podeszła i objęła ją. – To nic osobistego. Tak mi się wtedy wyrwało, że lubię Ksawerego, ale on ma dziewczynę. Naprawdę. Przyjechała do nas w sobotę. Mnie chodzi tylko o pracę.

– Rozumiem – westchnęła. – A przynajmniej staram się ze wszystkich sił.

– Mogłabyś dać mu szansę – poprosiła Ania. – Czasem nie warto kierować się sentymentami. W klinice dostali teraz granty na programy badawcze, takie rzeczy to coś niezwykłego. Mogłabyś się rozwijać zawodowo. Ksawery mówił...

– Dziękuję – Julia nie miała już siły tego słuchać. – Proszę cię, pozwól mi znieść to ze spokojem. Nie chcę robić scen. Wiem, że nie masz wyboru. Ale nie opowiadaj już o nim.

Ania uścisnęła ją mocno. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi i wróciła z powrotem. Nie wiedziała jednak, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Jakich słów użyć.

– Przyjdę jutro po moje rzeczy.

– Od kiedy zaczynasz?

– Od dzisiaj. Przepraszam, że zdecydowałam o tym bez porozumienia z tobą, ale wiedziałam, że nie mamy żadnych zabiegów do końca tygodnia.

– W porządku – Julia trzymała się już resztką sił.

Ania chyba to zauważyła. Pożegnała się i wyszła. Całe szczęście. Co jeszcze można było w tej sytuacji powiedzieć? Sprawa przecież była oczywista. Pracowały bez zobowiązań. Każda mogła odejść w dowolnym momencie. A że on nigdy nie jest odpowiedni, to już inna sprawa.

Julia podeszła do drzwi i wywiesiła karteczkę z napisem: „Zamknięte”. To był koniec przychodni. Jeśli zostali im jeszcze jacyś klienci, to teraz odejdą. Przekręciła od środka klucz w zamku. Usiadła na podłodze i zaczęła histerycznie płakać. Ksawery zabrał jej wszystko.

Objęła się mocno ramionami. Trzęsła się, jakby ją zaatakowała tropikalna choroba. Teraz miała już pewność, że postąpiła słusznie, zrywając zaręczyny. Wcześniej czy później wyszłoby na jaw, że jej niedoszły narzeczony tak bardzo lubi kontrolować rzeczywistość wokół siebie, że nie pozwoli nikomu żyć po swojemu. Musiał wygrać.

Pogodził się z rozstaniem, ale nie z klęską. Całe swoje siły zaangażował, by zbudować propagandę sukcesu. Może nawet wziął spory kredyt? Zmiany w klinice musiały być kosztowne. Codziennie patrzył, jak po drugiej stronie ulicy zmniejsza się liczba samochodów na parkingu, jak cichnie zwykły gwar w przepełnionej poczekalni. Jak opuszczają Julię najwierniejsi pacjenci. Nie zdziwiłaby się, gdyby dawał im jakiś specjalny rabat.

Czy to mu sprawiło przyjemność? Ukoilo ból po rozstaniu? Teraz już Julia wiedziała, że nigdy jej nie kochał. W taki sposób nie leczy się bowiem złamanego serca, a wyłącznie zadraśniętą ambicję. Ksawery postanowił już na studiach, że zwiąże się z Julią. Działał w tym celu konsekwentnie, fachowo i z użyciem wszelkich środków. To mu się nie udało. Wymknęła się w ostatniej chwili.

Ale on nie cierpiał jak zraniony mężczyzna, lecz niczym biznesmen, który nie wygrał przetargu. I dążył do wyrównania rachunków. Wojna chyba już się skończyła, bo nie zostało nic, co można by Julii odebrać. Do rodziny nie miał dostępu, była poza jego zasięgiem, choć i w tej kwestii niewiele brakowało, bo w czasie narzeczeństwa okręcił sobie mamę i siostry wokół palca.

Żwirek też był bezpieczny. Taką przynajmniej Julia miała nadzieję, choć na samą myśl poruszyła się niespokojnie.

Ania była ostatnim trofeum Ksawerego. Najlepsza przyjaciółka, współpracowniczka, świetny lekarz. Tworzyły dobry, zgrany zespół. Miały jeszcze przed sobą szansę. Mogły się podźwignąć, stawić czoła konkurencji. Kryzysy w firmach to przecież norma. Nie wszystkie zabijają. Tyle że Julia sama nie była w stanie walczyć o miejsce na rynku.

– Jak mogłam dać się nabrać na to głupie szkolenie? – uderzyła dłonią w podłogę. – Dlaczego w ogóle wpuściłam Ksawerego za próg? Jak można być tak naiwnym i wierzyć, że on przychodzi z dobrą ofertą. Zawsze przecież miał na uwadze wyłącznie swoje cele.

A teraz było już za późno.

Ania odeszła. Ksawery zapewne weźmie kolejny kredyt i da jej fantastyczne warunki, byle tylko nie wróciła do przyjaciółki. To była prawdziwa klęska.

– Nie zabezpieczyłam się odpowiednio – biczowała się Julia. – Nie zauważyłam symptomów katastrofy, nie przygotowałam planu B. Mam nauczkę.

Po tym wniosku zostały jej już tylko łzy. Dostęp do wszystkich sił życiowych chwilowo został zablokowany.

Miłość do Ksawerego wygasła definitywnie. Już nie było miejsca na żadne dylematy. Ale cena za tę pewność okazała się bardzo wysoka.

* * *

– Ileż można do ciebie dzwonić? – denerwował się Bartosz. – Znalazłem tę fioletową hortensję. Sprzedawca powiedział, że jeśli się pospieszymy, można posadzić w tym roku. Kwiatek jest dokładnie w tym odcieniu, jaki ci się podobał. Nikt by nie uwierzył, ile to zachodu, jeżdżenia, sprawdzania na stronach...

– O czym ty, człowieku, mówisz? – Julia próbowała przestawić się na inne tory. Głos miała zachrypnięty, w gardle jej zaschło, a z oczu wciąż płynęły łzy.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Bartosz. – Jakoś dziwnie mówisz. Imprezowałaś beze mnie?

– A nie wolno? – oburzyła się i wytarła nos. – Przecież nie lubisz stałych związków.

– Nic nie jest doskonałe – westchnął Bartosz. – Ale to nieistotne. Jeśli źle się czujesz, to pewnie z naszego wspólnego popołudnia niewiele wyjdzie? – zapytał, a w jego głosie wyraźnie słyhać było rozczarowanie.

– Tak – powiedziała. – Nie czuję się dzisiaj na siłach. Mam dość.

– Coś się jednak stało... – empatia Bartosza włączała się czasem w odpowiednich momentach.

– Straciłam przychodnię, współpracę, wszystko... – ostatnie słowo zginęło prawie w nowym ataku płaczu. – Ja bardzo rzadko płaczę – wychlipała.

– Domyślam się. Zanim zdążysz dobrze przemyśleć, czy to słuszny krok, to ci się pewnie odechciewa. Musi być bardzo źle, skoro tym razem zdołałaś przejść przez całą procedurę. Ale nie martw się. Za chwilę będę u ciebie.

– Po co? – wystraszyła się i przejrzała w wypolerowanej szafce na narzędzia. Nawet takie niedokładne lustro wyraźnie pokazywało, że wygląda jak sto nieszczęść zebranych na wiecu dla pesymistów.

– Mam swój plan – odparł tajemniczo Bartosz. – Zaraz się zerwę z pracy i przyjadę. Powiem, że mi dziecko zachorowało.

– Przestań... – od tego głupiego tekstu aż jej przeszła ochota na płacz. – Nie masz przecież dzieci. Na szczęście, bo nawet koty karmi ci sąsiadka.

– Żartuję przecież. Coś wymyślę! W tworzeniu wymówek, żeby się zwolnić z pracy, jestem prawdziwym mistrzem. Mówię ci. Liga światowa.

– Nie wątpię. Ale spokojnie możesz zostać w biurze. Tak mnie zdenerwowałaś, że aż zapomniałam o swoim zmartwieniu. Tak czy inaczej nie nadają się teraz do odwiedzania.

– To się jeszcze okaże – powiedział Bartosz i rozłączył się.

* * *

Pół godziny później Bartosz walił energicznie w drzwi przychodni. Julia w tym czasie

zdażyła się na szczęście umyć, przypudrować policzki i napić wody.

– Przestań! Dlaczego robisz taki raban? – spojrzała kątem oka na klinikę Ksawerego, ale nikt chyba nie zwrócił uwagi, co się dzieje u upadającej konkurencji.

– Bałem się, że jednak mnie nie wpuścisz. Niby zawsze postępujesz racjonalnie, a jednak jesteś nieprzewidywalna – uśmiechnął się i wszedł do środka. – Mam cały zestaw naprawczy ze sobą – pochwalił się. – Winko, będziesz oczywiście pić tylko ty, bo może jeszcze gdzieś dzisiaj pojedziemy, i sushi – podniósł plastikową pokrywkę w celu dokonania demonstracji. – Najlepsze i najdroższe – dodał.

Spojrzał na nią przelotnie, ale ani słowem nie skomentował jej marnego wyglądu.

– Jesteś bardzo hojny – stwierdziła z przekąsem i skrzywiła się. – Nawet nie wiesz, czy lubię.

– Strzelałem. Do tego mam jeszcze czekoladki – odparł i jedną od razu włożył sobie do ust – oraz pewien stary patent na poprawę humoru, ale to za chwilę. Najpierw coś zjedz, bo potrzebujesz siły.

– Skąd wiedziałeś, że nie jestem w domu? – zapytała.

– Tak czułem, że będziesz płakać na zgliszczach firmy, i trafiłem w dziesiątkę.

– Ze wszystkiego sobie żartujesz, a ja mam prawdziwy problem – obraziła się Julia. Wzięła jednak do ręki pałeczki. Nagle poczuła się bardzo głodna. Płacz ją wyczerpał, a długie, nużące i bezowocne zastanawianie się, co powinna teraz zrobić, dodatkowo pozbawiło ją sił.

Kiedy wspólnie dokonali spustoszenia w pojemniku, zagryzając czekoladkami, Bartosz usiadł na podłodze i podał Julii rękę, zapraszając ją, by do niego dołączyła. Zrobiła to niechętnie.

– Dlaczego ty wybierasz zawsze takie twarde podłóża? – zapytała.

– Tak wychodzi – przytulił ją i zaczął głaskać po głowie. Bez wyznań, zapewnień i obietnic. A potem ją pocałował. Była bardzo zaskoczona, ale zamknęła oczy i poddała się. Czuła się niezwykle bezpiecznie. Bartosz ułożył ją ostrożnie na podłodze, zdjął koszulę, zwinął ją w kłębek i podłożył Julii pod głowę. A potem pochylił się nad nią i zaczął powoli całować. To było tak niespodziewane, że dziewczyna straciła zdolność właściwej oceny sytuacji. Ale chyba tego jej właśnie teraz było trzeba. Chwili odpoczynku i zapomnienia.

* * *

– Jak zwykle... – wymruczała Julia jakiś czas później, wyplątując się z objęć Bartosza. – Najpierw jest romantycznie, a potem bolą plecy.

– Mnie się podobało – chłopak obrócił się na bok i podparł łokciem. – Jesteś wspaniałą kobietą.

– Tak... I teraz pewnie zaproponujesz mi przyjaźń – Julia wygładziła bluzkę i poprawiła przekręconą spódnicę. Bartosz przytulał ją i całował, ale nie posunął się dalej. Była mu za to wdzięczna. Wolała takie decyzje podejmować świadomie, a nie ulegać nastrojowi chwili.

– Masz na mnie zły wpływ – powiedziała mu.

– Ty również – odparł Bartosz. – Uzależniasz. Coraz mocniej.

– Daj spokój. Nie wymawiaj słów, których nie rozumiesz – usiadła obok niego. – Ale

dziękuję ci, że do mnie przyjechałeś. Posiedziałeś ze mną...

– I nie tylko...

– Tak – przyznała. – Chociaż jeśli następnym razem nie zadbasz o miękkie podłoże...

– Będzie następny raz? – zapytał poważnym tonem.

– No... Nie wiem – spłoszyła się. – Miałam na myśli raczej spotkanie, rozmowę – zacisnęła mocniej poły bluzki. Czuła się skrępowana faktem, że tak łatwo mu uległa.

– Pasujemy do siebie. A teraz, kiedy tracisz przychodnię, możesz zacząć od zera. Na przykład u mnie na wsi.

– Nie – powiedziała to ze spokojem i wielkim smutkiem. – Ja wiem, że tobie się to wszystko ładnie składa. Masz dom, można się tam przenieść. Ale to nie dla mnie. Potrzebuję pracy tutaj, w mieście. Nie jestem taką kobietą, jak moja mama, której całe szczęśliwe życie sprowadza się do pieczenia chleba i wieszania firanek.

– Jesteś niesprawiedliwa. Twoja mama to wspaniała kobieta.

– Wiem. Nie chciałam jej krytykować, tylko ci wytłumaczyć, że mam inne cele w życiu. Nawet dziecka nie pragnę tak mocno, jak moje rówieśniczki albo na przykład Gabrysia. Dla niej to najważniejsze. A ja nie wiem... Mogę poczekać. Kocham moją pracę.

– Rozumiem. Na wsi też są zwierzęta. W cholerę tego, o ile się dobrze orientuję.

– To za mała miejscowość. Nie utrzymam się. Poza tym to jest odmienna specyfika. Ja się nie nadaję do odbierania porodów u dużych zwierząt. Mam inną specjalizację.

– A tutaj nie ma już szans?

– Żadnych. Bez Ani nie dam rady.

– To jedź do mnie! – Bartosz wstał nagle. – Nie ma sensu leżeć i rozpaczać ani siedzieć i rozpaczać, ani nawet chodzić i rozpaczać. Lepiej odpocząć, wrzucić na luz i spróbować złapać dystans. Co ci szkodzi? Pakuj chomiki i wsiadaj do mojego samochodu. Posadzimy hortensje... Fioletowe...

– Kuisz umiejętnie – uśmiechnęła się. – Ale chowanie głowy w piasek nie jest w moim stylu.

– Jaki piasek? – oburzył się. – Porządna ziemia orna, prawie czarnoziem. Dziadek był z niej bardzo dumny. Mam nawet na nią jakieś certyfikaty.

Julia uśmiechnęła się, po czym zupełnie poważnie zastanowiła nad jego słowami.

– Właściwie to twoja oferta jest całkiem dobra – powiedziała po namyśle. – Chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że chodzi ci tylko o tanią siłę roboczą. Będiesz mną orał jak mułem.

– Jakie te kobiety są teraz mało subtelne – westchnął Bartosz. – Zaręczam ci, że mam zupełnie inne plany. Także – dodał uczciwie. – No co? – oburzył się, kiedy posłała mu mordercze spojrzenie. – Obiecaliśmy sobie całkowitą szczerość.

Julia westchnęła.

Wrzuciła klucze do torebki, zabezpieczyła przychodnię, po czym założyła kurtkę. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Nie miała złudzeń co do Bartosza, a kiedy podeszła do jego samochodu, tylko się utwierdziła w swoich wnioskach. Na tylnym siedzeniu pełno było wiader i mopów, a także różnokolorowych ścierek. Artystycznie utkanych pomiędzy dwoma dorodnymi krzewami hortensji. Mężczyzna nie ukrywał swoich zamiarów. Woląta to jednak od skomplikowanych podchodów, miłych słów i reżyserowanych randek, za

pomocą których Ksawery chciał realizować własne plany i umieścić Julię tam, gdzie jemu najbardziej pasowało. Na eleganckiej kanapie w pięknym mieszkaniu. No, może do kuchni i sypialni też pozwoliliby jej wejść. Ale na tym koniec.

Wyjechali z parkingu, a ona spojrzała jeszcze na klinikę. Bolało bardzo. Przypomniało jej się, jak tata mówił, że życie każdemu daje to, o co prosi. Julia tak bardzo chciała mieć pewność, czy dobrze zrobiła, zrywając zaręczyny, i dostała ją. Może nie trzeba było tak mocno naciskać w tej sprawie?

– Hej! – zawołał Bartosz. – Co robisz? Znowu się martwisz? To nie do uwierzenia. Taki piękny dzień, jesteś młoda, zdrowa. Jedziesz ze wspaniałym mężczyzną na fascynującą wyprawę. Czego ci, do cholery, jeszcze trzeba?

– Chomika – obraziła się. – Ty wspaniały mężczyzno, skręć lepiej teraz w lewo, bo inaczej wpakujesz się w korki stulecia.

– Tak jest. Moje posłuszeństwo będzie kiedyś opisywane w zbiorach legend. Mówisz i masz.

Uśmiechnęła się i trochę rozluźniła. Urlop nie był planowany, okoliczności niezbyt sprzyjające, ale w sumie co jej szkodziło cieszyć się wyjazdem. Tak dawno już nie miała żadnej przerwy w pracy. Zmiana przyszła nagle, bez zapowiedzi. Jeszcze przed kilkoma tygodniami obie z Anią miały pełne ręce roboty, a teraz nagle wszystko się skończyło.

– A chomika też ci zaraz dostarczę. Nawet dwa. Mam nadzieję, że koty ich nie zezrą. Żartowałem. Są przecież za małe.

– Nie musisz iść do pracy? – zapytała.

– Wziąłem tydzień wolnego na remont. Dałaś mi doskonały pretekst. Nie mogę uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadłem. To się wprost w głowie nie mieści. Siedem dni obijania się od rana do wieczora.

– Jeśli tobie remont kojarzy się z lenistwem, to naprawdę życia nie znasz. Ale jak każdy kombinator wpadłeś właśnie we własne sidła. Bo remont ze mną – podkreśliła ostatnie słowa – to nie przelewki.

Bartosz skrzywił się boleśnie. Chyba właśnie to do niego dotarło.

ROZDZIAŁ 31

Gabrysia leżała na szpitalnym oddziale i przyglądała się rzeczywistości, którą tak dobrze знаła, z zupełnie odmierzonej strony. Teraz, z perspektywy pacjenta, wiele rzeczy wyglądało inaczej. Zrozumiała, co to znaczy być unieruchomionym na dłużej. Nie móc wykonywać samodzielnie najprostszych czynności, takich jak pójście do toalety czy zwyczajna kąpiel pod prysznicem. W każdej sekundzie dnia i nocy drżeć o małe życie, tak powoli, powoli, bardzo wolniutko rozwijające się pod jej sercem.

Wydawało jej się zawsze, że dobrze odczuwa emocje innych. Była wyjątkowo empatyczną osobą i wielu ludziom pomogła. Zachowywała spokój, gdy inni panikowali, wiedziała, jakich użyć słów. Ratowała dzieci. Zawsze cudze. A dla swojego nie mogła zrobić nic. Tylko leżeć i myśleć pozytywnie. To ostatnie przychodziło jej z coraz większym trudem. Jakby źródło, z którego płynęła jej energia, całkiem się wyczerpało. Szorowała łyżką po dnie.

Nie pomagały częste odwiedziny męża. Nawet się cieszyła, że Kornel dzisiaj nie da rady przyjść. Bardzo się starał. Kochała go mocno, ale widziała w jego oczach strach. Zbyt dobrze go znała. Dostrzegała, jak drżą mu mięśnie policzków, kiedy z uśmiechem zapewnia ją, że wszystko będzie dobrze. Sam nie miał takiej pewności, nie mógł więc dać jej siły. Sprawiał tylko, że martwiła się także o niego. Jak sobie radzi w pustym mieszkaniu tylko w towarzystwie własnych myśli?

Tata też się bał. Ostrożnie ważył słowa w czasie każdej wizyty. Chętnie odwiedzał córkę, opowiadał o swoich kłopotach z młodymi pracownikami, dzielił się radością z każdego rumieńca na policzkach mamy, z lepszych wyników badań. Ale on też martwił się o dziecko Gabrysi. Unikał rozmów na ten temat. Tylko mocno ścisnął jej dłoń. To jednak nie dodawało jej siły. Miała wręcz wrażenie, że cała rodzina potrzebuje jej widoku, by się uspokoić. Zniwelować to napięcie. Musiała być dzielna, by im pomóc.

A ona nie była urządzeniem, które można podłączyć do prądu, by miało stale naładowane baterie. Czuła, jak poziom energii spada z dnia na dzień. Działo się to niezależnie od jej woli. Nawet od tego przemożnego, obejmującego każdą komórkę ciała pragnienia, by za wszelką cenę chronić dziecko.

– Dzień dobry – w drzwiach sali pojawiła się Angela w szlafroku luźno zawiązanym wokół talii. Podeszła do łóżka Gabrysi. – Przyszłam w odwiedziny – powiedziała. – Pewnie mnie nie chcesz widzieć, ale pomyślałam sobie, co tam. Najwyżej ciśnienie ci się podniesie, krew zacznie szybciej krążyć. To też się przyda. Wiem, bo z Zuzią też leżałam na podtrzymaniu. Można zwariować od ilości godzin w dobie. W domu nie ma ich tyle.

– Nawet połowy – uśmiechnęła się Gabrysia. Dobrze wiedziała, o czym mowa. – A jeśli pracujesz, to w ogóle masz wrażenie, że tydzień to jeden strzał. Ledwo się zaczął i już go nie ma. Tutaj tydzień to jak epoka, stulecie.

– Ciągnie się niczym guma do majtek – Angela była bardziej konkretna. – My wracamy

już dzisiaj do domu – pochwaliła się.

– Zazdrozczę wam.

– Naprawdę nie ma czego. Zastanów się. Gospodarstwo, małe dziecko, drugie dziecko, dom do wysprzątania, nieprzespane noce...

– Nie ściemniaj. Widzę, że się cieszysz.

– To prawda – Angela odruchowo pogłaskała się po wciąż zaokrąglonym brzuchu i uśmiechnęła szeroko. – Kobiety to jednak szalone istoty. Jak można się z czegoś takiego cieszyć? – dodała i obie zaczęły się śmiać. – A jednak naprawdę jestem szczęśliwa. Aż z samego środka do ostatniego palca u nogi. Zuzia wyzdrowiała. Mały jest cudowny, a mój mąż tak się wystraszył, że nam dzieci odbiorą... Mówię ci, chodzi teraz jak w zegarku.

– To dobrze – westchnęła Gabrysia. – I cieszę się, że przyszłaś. Tego mi było trzeba. Prawdziwie uśmiechniętego człowieka. Ja tu teraz mam codzienny przegląd dzielności. Wszyscy przybierają dziarskie miny, a z oczu wyziera przerażenie.

– Co się dziwisz? – odparła Angela. – Szału nie ma. W każdej chwili bajka może się skończyć.

– Wiem – Gabrysia przyjęła te słowa z ulgą. Stanowiły miłą odmianę po tych wszystkich próbach pocieszania. Wreszcie ktoś mówił wprost, co myśli.

– A twój mąż też jest super – uśmiechnęła się znowu Angela. – Kiedy się poznałyśmy, tak ci go zazdrościłam, że nie mogłam na niego patrzeć. Oczy mnie bolały z żalu.

– To i tak nieźle – odparła Gabrysia. – Ostatnio jedna dziewczyna nie miała takich skrupułów. Próbowала mi go odebrać wszelkimi metodami.

– Franca jedna.

– Zwykle jej bronię, ale przyznaję, masz rację. Franca. Pomogłam jej pogodzić się z rodzicami, przetrwać ciążę, urodzić, ogarnąć się w nowej sytuacji. A kiedy wszystko się ułożyło, więcej się nie odezwała. Prawie z dnia na dzień przestała dzwonić, odpisywać na wiadomości...

Angela niespodziewanie położyła głowę na jej kolanach przykrytych szpitalną kołdrą.

– Moja biedna – pożałowała jej z całą prostotą. – Wszystkim dookoła pomagasz. A kto pomoże tobie?

– Nie jest tak źle. Mam przecież rodzinę – odwróciła wzrok, bo choć była to prawda, dzisiaj potrzebowała rozmowy z kimś innym.

– To nie to samo. Potrzebujesz przyjaciółki – postawiła diagnozę Angela i widać było, że zgłasza swoją kandydaturę na to stanowisko.

– Spokojnie – Gabrysia trochę się wystraszyła obrotem spraw. Nigdy nie szukała takiej osoby, której mogłaby się zwierzać. Trzy siostry zawsze jej wystarczały. Miała do kogo zadzwonić czy pojechać, kiedy tego potrzebowała. Chociaż musiała przyznać, że czasem zbyt angażowanie emocjonalne nie pozwala złapać stosownego dystansu i zobaczyć sprawy we właściwym świetle. Ale Angela była jeszcze bardziej nieprzewidywalna.

– Będę cię odwiedzać. Zapakuję małego do fotelika i zabiorę Zuzię. Kiedy masz samochód, taka odległość to pestka. A właśnie, zapomniałabym. Za godzinkę będzie tu Maciek. Z małą. Na razie oboje pilnują synka i mają dzwonić, gdyby się obudził. Możemy wpaść na chwilkę? Nie chciałam ich przyprowadzać bez twojej zgody.

– Oczywiście – Gabrysia ogromnie się ucieszyła. Ta dziewczynka wciąż była jej bardzo

bliska. Chciała, by jej córeczka była do niej podobna. Wierzyła, że się uda. Dlatego starała się ze wszystkich sił nie zwracać uwagi na coraz mocniejszy ból brzucha. Kazano jej myśleć pozytywnie, więc robiła to.

– Wiesz – powiedziała Angela. – Gdyby nie fakt, że dziecko, które leżało obok Zuzi, zostało już wypisane, poszłabym podziękować tamtej kobiecie. Wredna była i wścibska. Nie umiała słuchać innych, ale bardzo mi pomogła. Maciek tak się wystraszył, jak nigdy dotąd. Teraz lepiej o nas dba.

– Nie ma tego złego... – westchnęła Gabrysia. Nastrój trochę jej się poprawił.

Porozmawiała jeszcze chwilę z Angellą, obejrzała zdjęcia jej synka i wysłuchiwała narzekań na trudności w karmieniu. A kiedy kobieta wyszła, opadła na poduszki i poczuła, że jest bardzo zmęczona. Zasnęła.

Obudził ją doskonale znany ból brzucha. Łzy bezsilności napłynęły jej do oczu. Przecież nic nie zrobiła, tylko leżała i spała. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Musiała natychmiast wezwać lekarza. Skuliła się na łóżku i wcisnęła przycisk. Pielęgniarka pojawiła się natychmiast. To był taki oddział, na którym często o życiu decydowały minuty.

Podłączono ją do aparatury, a lekarz wykonał badanie. Gabrysia miała okazję do podjęcia kolejnych studiów nad skrywanymi ludzkimi emocjami. Pielęgniarki starały się trzymać fason i uśmiechać, by dodać jej otuchy, ale lekarz zachował powagę.

– Proszę zwiększyć dawkę – zapisał lek na karcie. – Podać natychmiast. Niczego więcej nie możemy zrobić...

Spojrzał na pacjentkę, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale nie zrobił tego.

ROZDZIAŁ 32

– To było ciężkie popołudnie – westchnął Jan i położył na stole teczkę z dokumentami. Chciał je jeszcze przejrzeć wieczorem. – Ale najważniejsze załatwione – powiedział. – Pracownicy trochę się ogarnęli, a w razie czego mam rezerwową osobę. Na razie się przyucza.

– Stać cię na kolejne zatrudnienie?

– Wstępnie na pół etatu. Zarobimy mniej, ale będziemy żyć lepiej – pocałował żonę i rozejrzał się uważnie po kuchni, jakby dopiero teraz ją zauważył. – A kto tu tak pięknie posprzątał? – zapytał. – Marta przecież jest u Leszka.

– Nasza najstarsza córka – uśmiechnęła się Helena. – Nie wiem, co się u nich wydarzyło, bo przecież teraz nikt mnie do rodzinnych kłopotów nie dopuszcza. Ale cokolwiek to było, poradzili sobie. Znowu wymieniają między sobą znaczące spojrzenia, kiedy sądzą, że nikt nie widzi.

– A ty oczywiście musisz wszystko zauważyć. Żyłabyś spokojniej, gdybyś była trochę mniej inteligentna.

– To możliwe. I nawzajem – roześmiała się. – Dobrze się już czuję. Przestańcie mnie tak chronić na każdym kroku, to nie będę musiała snuć domysłów.

– Na razie wniosek oddalony – Jan nalał pełny talerz zupy i położył na stole. – Zjesz ze mną? – zapytał.

– Dziękuję. Już mnie Maryla nakarmiła po uszy. A dzieciaki każdą łyżkę mi policzyły. Też mnie pilnują, żebym nie opadła z sił. Długo tego nie wytrzymam.

– Kochają cię – Jan z przyjemnością zanurzył łyżkę i zaczął jeść. – Ciesz się.

– Robię to, ale zrozum, bezczynność mnie wykończy.

Przerwał posiłek i spojrzał na nią. Znał to uczucie. Kiedy człowiek całe życie pracuje, wychowuje czworo dzieci, ma na swojej głowie cały dom, wiecznie nie wie, w co w pierwszej kolejności włożyć ręce, takie nagłe odstawienie na bok może być trudne. Sam tego doświadczył. Był już starym człowiekiem, ale nadal chciał pracować. Zarabiać, decydować o sobie. Znał ludzi, którzy marzą wyłącznie o wygodnym fotelu przykrytym ciepłym pledem. Ale on nie był z tej gliny. Jego żona również.

– Rozumiem cię – powiedział. – Tylko proszę cię, nie przesadz. Nie rzuć się teraz na jakieś piętrowe torty ani skomplikowane sałatki. Tym bardziej że nie ma takiej potrzeby. Codzienne sprawy ogarniamy, a specjalne okazje nas ostatnio omijają.

– I tu się mylisz – Helena wstała od stołu i zaczęła chodzić szybko po kuchni.

– Nawet mnie nie strasz. O czymś nie wiem?

– Czeka nas miłe wydarzenie. Będzie ślub.

– Naprawdę? – zdumiał się tak bardzo, że zupełnie już zapomniał o swojej zupie. – Kto? Julia z Ksawerym się pogodzili? To przecież niemożliwe. Anielka może telefonowała? Bo Gabrysia to wiadomo, że nie. Albo czekaj, pozwól mi zgadnąć. Może ten wariat Leszek

oświadczył się na stare lata?

– To Maryla – podpowiedziała mu.

– Co ty mówisz?

– Tak. Chcą się pobrać jeszcze raz. Oczywiście mam na myśli ślub cywilny. Marcin już załatwia formalności. Ale się nie wygadaj, bo to na razie tajemnica. Jeszcze chwilę potrwa, ale przygotowania powoli można zaczynać.

– Co masz na myśli? – zapytał z niepokojem, czując, jak jego czas wolny, który już sobie zaplanował na lekturę, gwałtownie się kurczy.

– Sporo. Marzy mi się piękne przyjęcie w ogrodzie.

– Znowu? – spojrzał na nią z trochę udawaną, ale szczerą rozpaczą. – Nie zawsze to się w naszej rodzinie udaje.

– Tym razem wszystko będzie pięknie. Może nawet wypuszczą już Gabrysię ze szpitala? Zobaczysz. O nic się nie martw. Zostaw te sprawy mnie.

– A młodzi chcą z taką pompą świętować? – zaniepokoił się Jan.

– Nie chcą. Dlatego będzie skromnie.

– Nie do końca w to wierzę, ale trzymam cię za słowo. Proszę cię tylko, żebyś nam nie kazała płacić za tę imprezę najwyższej ceny. Nie chciałbym znowu wieść cię do szpitala.

Powiedział to poważnym tonem. Tu nie było miejsca na żarty. Żadne domowe jedzenie, żaden porządek, czyste okna ani białe firanki nie są warte takiego poświęcenia.

– Obiecuję – powiedziała Helena. – Bądź spokojny. Popelniam błędy jak każdy, ale nie dwa razy te same.

– Dobrze – uśmiechnął się Jan. Dokończył spokojnie obiad, a potem wziął telefon do ręki, żeby zadzwonić do Gabrysi. Dobrze, że się posilił, bo miała to być ostatnia ku temu okazja tego dnia. Kiedy usłyszał, co się dzieje w szpitalu, natychmiast zaczął się szykować do drogi. Wyjechał z domu jak na sygnale i do wieczora siedział zmartwiony obok córki. Nawet nie miał siły udawać przed Heleną, że nic się nie stało.

Dziecko walczyło o życie.

ROZDZIAŁ 33

Bartosz spacerował po szpitalnym korytarzu. Wiadomość zastała ich w samym środku prac ogrodowych. Teraz system rodzinnych powiadomień funkcjonował bez zarzutu. Szkoda tylko, że znów musiał zadziałać w trudnej sytuacji. Julia od razu zaczęła się trząść ze strachu, więc on natychmiast, bez zbędnych pytań, pobiegł do domu po kluczyki do samochodu. Przyjechali do szpitala jako ostatni, w ubraniach poplamionych ziemią, ledwie zdążyli umyć ręce.

Przy drzwiach tłoczyli się wszyscy. Trochę to nawet było bez sensu, bo zabrano także dzieci. W domu została tylko Helena. Sama podjęła taką decyzję. Nie chciała, by bliscy bali się także o jej zdrowie.

Lekarz dyżurny tylko kręcił z niezadowoleniem głową, widząc to zbiegowisko, ale nie protestował. Bartosz, który zgłosił się na ochotnika do przeprowadzenia działań śledczych na najmłodszej, wyjątkowo atrakcyjnej pielęgnowarce, wrócił z informacją, że w tej sytuacji nic już nie zaszkodzi ani nie może pomóc. Nawet stres. Natura robi, co uzna za stosowne. To nie była dobra wiadomość.

Ból był cały czas wyczuwalny, ale stan ani się nie pogarszał, ani nie poprawiał.

– Jedźcie do domu – zarządził w końcu Jan. – Zwłaszcza Maryla. Zadziałaliśmy pod wpływem emocji, ale przecież trzeba zabrać stąd dzieci. Gdyby coś się stało, nie powinny być świadkami takich scen. Poza tym jest już późno.

– Dobrze, ale kto tutaj zostanie?

– Kornel, oczywiście, i ja. Nawet nie protestujcie – uciszył ich dłonią, bo wielu otworło już usta. – Byłem przy niej, kiedy się rodziła, choć w tamtych czasach to nie było takie proste jak dziś. Ale Gabryś się pospieszyła i poród odbieraliśmy w domu. Będę więc przy niej teraz, chyba że ona mnie osobiście wyrzuci. Będziemy siedzieć tutaj z Kornelem, dodawać sobie nawzajem sił. On sam sobie nie poradzi, ja też – dodał jeszcze na koniec.

Rzeczywiście, Kornel przedstawiał marny widok. Był blady, trzął się na całym ciele. Co chwilę mocno zacierał dłonie, chcąc się w ten sposób trochę uspokoić, ale osiągnął tylko taki efekt, że skóra na jego rękach była czerwona. Nie nadawał się do tego, by w tym stanie pokazać się Gabrysi, a już wsparciem byłby zapewne żadnym.

– Dobrze – Julia postanowiła poprzeć ojca. – Rzeczywiście nic tu nie pomagamy. Najlepiej, żeby ona teraz spokojnie zasnęła. To trzeba po prostu przeczekać. Im mniej Gabryś będzie teraz myśleć, tym lepiej.

– Słusznie mówisz – ucieszył się Jan. Nie miał siły na długie spory. – Obiecuję, że jeśli zajdzie jakakolwiek zmiana, natychmiast was powiadomię. A teraz jedźcie i wykorzystajcie pożytecznie ten czas. Niech nie będzie tylko koszmarem – głos mu zadrżał.

– Tato! – Maryla podbiegła i przytuliła go mocno. Jej synowie natychmiast zrobili to samo.

– Dam radę – wyprostował się i szybko przetarł oczy. – Jedźcie do domu, pilnujcie mamy.

Pożegnali się i ruszyli zwartą gromadą w stronę parkingu. Potem wsiedli do samochodów i rozjechali się. Przed drzwiami zostało tylko dwóch mężczyzn, jeden bardziej przestraszony od drugiego, z misją zaprowadzenia spokoju i reagowania na najgorsze. Jan był tak blady, że widać było wszystkie żyłki na jego szyi.

* * *

Bartosz milczał przez całą drogę. Widział, że Julia się martwi, ale już jej nie proponował, żeby przestała. Kiedy zatrzymał samochód przed niskim, cokolwiek krzywym płotem jego domu, spojrzał na dziewczynę.

– Teraz już rozumiem, dlaczego dla ciebie związki są takie ważne. Zastanawiasz się nad tym, głowisz. Bo u was w rodzinie jest tak dobrze. Wszystko ma sens, jest trwałe.

– Zapewniam cię, że nie jesteśmy idealni. Czasem nic nam się nie udaje – spojrzała na niego. Choć Bartosz dawno już przekręcił kluczyk w stacyjce i zaciągnął ręczny hamulec, oni siedzieli jeszcze w ciepłym wnętrzu samochodu, wyczerpani pracą i stresem.

– Ja nie o tym mówię. Kurczę, takie coś zbudować... – spojrzał na swój straszliwie zapuszczony dom w zadumie.

– Co masz na myśli?

– Być jak twój tata. To musi być naprawdę coś. Mieć prawdziwy dom, taką żonę, mnóstwo dzieci. Jak on to ogarnia? Nie mam pojęcia. Sprawa wydaje się niemożliwa.

– Nie filozofuj, tylko bierz się do roboty. Pudła wypakuj i powiedz mi, gdzie mogę położyć chomiki.

Wzruszyła się, ale nie chciała dać tego po sobie poznać. Była bardzo dumna ze swojego taty i cieszyła się, że ktoś inny też dostrzega, jaki jest kochany i dzielny.

Bartosz poszedł za nią. Posłusznie wyciągnął zakupy, które zrobili po drodze, i nawet nie narzekał, że musi je taszczyć.

– Bardzo martwisz się o siostrę? – zapytał, kiedy ułożył wszystko na świeżo wypucowanym ganku.

– Bardzo – przyznała. – Ale nie pomogę jej moim smutkiem. Dobrze, że mnie zaprosiłeś. Trochę fizycznej, prostej pracy dobrze mi robi. Łatwiej będzie choć na chwilę zapomnieć.

Podszedł do niej i mocno ją przytulił. To był impuls, naturalny odruch, a Bartosz nie był z tych, którzy się w takich sytuacjach zastanawiali, czy wypada. Chyba to była słuszna taktyka. Julia przylgnęła do niego całym ciałem. Nie miała już siły płakać, ale cała się trzęsła od wszystkich przeżyć tego dnia. Żalu z powodu odejścia Ani i strachu o Gabrysię.

– Dziękuję ci – powiedziała, odsuwając się nieco. – Jesteś dobrym przyjacielem, choć tak krótko się znamy. Pomogę ci postawić ten dom na nogi i nie musisz się obawiać, nie będę od ciebie oczekiwać trwałego związku.

Wzięła do rąk pojemniki z farbą stojące na ganku, po czym weszła do domu. Spojrzał za nią i zrobiło mu się przykro. Wbrew temu, co zawsze sądził i mówił, wcale nie chciał przez całe życie być sam. Po prostu nie umiał inaczej, nie widział sposobu, by zbudować coś trwałego. Nie zależało mu na tym, bo nie uważał, że to coś cennego. Znajomość z Julią

i jej rodziną zmieniała jego podejście. Tylko jak to wytłumaczyć dziewczynie zastanawiającej się miesiącami nad każdą decyzją? Jak sprawić, żeby podjęła ją szybko?

On tak właśnie robił. Czekać zupełnie nie potrafił. Czuł jednak, że będzie się musiał nauczyć. Podobnie jak malowania ścian, koszenia trawy i innych czynności koniecznych do tego, by zacząć prowadzić osiadły tryb życia. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie mu na tym zależało. Ale teraz pragnął tego ogromnie. Nawet jeśli ceną było zdrapywanie ze ścian starej farby.

A takie właśnie Julia miała plany na dzisiejszy wieczór, a być może i noc. Pewnie nie będzie mogła zasnąć, a cóż było lepszego w takiej sytuacji niż praca.

– Pożyczysz mi jakiś stary podkoszulek? – zapytała. – Przywiozłam sobie tylko jeden i już się zużył w ogrodzie.

– Starego nie mam – powiedział Bartosz i otworzył niewielką komodę, w której znajdowała się jego skromna garderoba. O dziwo, wszystko było bardzo ładnie poskładane.

– A to? – zapytała, wskazując na wielką staroświecką szafę. Ubrania się z niej wylewały.

– To wszystko dziadka – powiedział Bartosz. – Jakoś nie mogłem się zmobilizować, żeby je wyrzucić. W gruncie rzeczy wcale do mnie nie dociera, że jestem właścicielem tego domu. Wciąż mi się wydaje, że przyjechałem w odwiedziny i nie mam prawa niczego zmieniać.

Spodziewał się, że Julia zmyje mu głowę jak zwykle i zgani za opieszałość, ale uśmiechnęła się tylko.

– Pożyczę koszulę od niego. Sądzę, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Och, z pewnością. Lubił piękne kobiety. A gdybyś jeszcze rozpuściła włosy i niczego nie założyła prócz tego, dziadek byłby szczęśliwy.

– Zapomnij – powiedziała surowo. – Mamy w planach remont.

Wzięła z szafy jedną z koszul i poszła się przebrać. Co chwilę zerknęła na telefon. Żadnych wiadomości od taty nie było. A to oznaczało, że córeczka Gabrysi wciąż walczy.

Tak miało wyglądać wiele kolejnych dni. Miały mijać na sprawdzaniu wiadomości, czekaniu i ciężkiej pracy. Dziecko wciąż trwało, a remont powoli, ale skutecznie posuwał się do przodu.

ROZDZIAŁ 34

Trzy tygodnie później...

W piątkowe przedpołudnie Julia przechadzała się po pustym domu Bartosza. Wnętrza prezentowały się teraz zupełnie inaczej. Przed kilkoma dniami zamówiona ciężarówka wywiozła całą przyczepę śmieci, gruzu i starych mebli. Sąsiadka z domu obok chętnie przyjęła niepotrzebne ubrania i niektóre sprzęty domowe. Bardzo się ucieszyła. Remont właściwie się zakończył. Nie było już niczego, co można by zrobić własnymi rękami.

Julia, ubrana w ciepły polar i czapkę, chroniła się przed zimnem płynącym z pootwieranych na przestrzał okien. Kiedy usunęli wszystkie zbędne sprzęty, malowanie stało się prostą sprawą. Wymyli ściany i pokryli pastelowymi, ciepłymi kolorami. Odświeżyli stare, drewniane podłogi. To miejsce było gotowe na przyjęcie nowych mieszkańców.

– Dziadek byłby z nas dumny – powiedział Bartosz, wychodząc dziś rano do pracy. Urlop dawno mu się skończył i z wielką boleścią powrócił za biurko. Spędzili razem wyjątkowo dobry czas. W tym starym, zachwaszczonym ogrodzie naprawdę można było na chwilę zapomnieć, że istnieje inny świat. Że gdzieś pędzą samochody, ludzie siedzą godzinami w biurach, a po pracy zabierają jeszcze papiery do domu. Że są pilne terminy, nudne zebrania i upadające przychodnie. Liczyło się tylko ostatnie jesienne słońce i fakt, że córeczka Gabrysi wciąż rośnie i radzi sobie z kolejnymi kryzysami. Że Helena upiekła na niedzielę świeży chleb, a na jej policzkach znów były rumieńce.

Julia przez ostatnie tygodnie pracowała ciężko. Na jej delikatnych dłoniach pojawiły się najpierw bąble, a potem twarde odciski. Zacięła się w palec, podrapała nogi podczas wycinania starych krzewów, a we włosach wciąż znajdowała okruszki farby, choć brała prysznic czasem i trzy razy dziennie. Bolał ją kręgosłup od dźwigania i plecy z powodu podnoszenia głowy, kiedy trzeba było pomalować sufit.

Nie sądziła, że ma w sobie taką moc. Nie tylko, by podołać ciężkiej pracy, ale by stworzyć prawdziwy dom. Bo to ona była siłą napędową całej tej zmiany. Bartosz podążał za nią. Coraz bardziej szczęśliwy, coraz lepiej odnajdujący się w nowym miejscu, ale zawsze krok z tyłu. Nie miał swoich pomysłów. Nie chciał wprowadzać żadnych innowacji. Lubił, kiedy jej się podobało. Wsłuchiwał się w jej śmiech odbijający się od pustych ścian i gotów był na każde wygłupy, byle tylko raz jeszcze go usłyszeć.

Wieczorami podejmował setki prób, by jak tamtego dnia dodać Julii sił za pomocą przytulania i pieszczot. Ale ona już odzyskała równowagę i, chcąc go chronić przed nielubianymi zobowiązaniami, wyznaczyła twarde granice. Nie wierzyła w jego zapewnienia, że wszystko się zmieniło.

– Ludzie nie zakochują się tak łatwo – przerywała mu w samym środku najbardziej gorącego wyznania i wkładała szcztokę do ręki. – Lepiej pozamiataj – mówiła.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Bartosz próbował się bronić. – Miłość jest tajemnicą i rządzi się swoimi prawami. Ma tyle odmian, ilu ludzi na świecie. Nie da się jej wpisać w prosty rachunek prawdopodobieństwa.

Ale Julia w to nie wierzyła. Po prostu pracowała i budowała dla Bartosza dom. I choć ogród z każdym dniem stawał się coraz ładniejszy, a pokoje pachniały świeżością, w doskonałym planie była jedna poważna luka. Julia nie widziała tutaj miejsca dla siebie.

Dzisiaj spacerowała po tych wszystkich pomieszczeniach po raz ostatni i z przyjemnością oglądała efekty swoich starań. Został jeszcze zakup mebli, jakichś drobiazgów, które nadadzą wnętrzu klimat, i dzieło można będzie uznać za zakończone. Podeszła do okna. Szron zmroził w nocy resztki pozostałej po letnich miesiącach trawy. Ale ogród robił bardzo dobre wrażenie. Wykosili stare badyle, w ostatniej chwili zdążyli posadzić drzewka i nowe krzewy. Wokół tarasu zrobili otoczkę z bzów podarowanych przez sąsiadkę. Kiedy rośliny podrosną i zakwitną na wiosnę, widok będzie imponujący.

W sadzie kołysał się na wietrze rząd młodych jabłonek, a przed domem, głęboko w ziemi, spały dziesiątki cebulek narcyzów, tulipanów i krokusów.

Wiosna sprawi Bartoszowi taką niespodziankę, że za nic nie będzie chciał sprzedać tego domu – pomyślała Julia.

Na razie nie wspominał o tym, ale sądziła, że po prostu jest zajęty remontem. Nie był człowiekiem, który łatwo rezygnuje ze swoich decyzji. Wciąż było jej żal tego domu, ale pogodziła się już z myślą, że niczego więcej nie może zrobić. Zamknęła okna. Jej rola tutaj właśnie dobiegła końca. Czas było powrócić do rzeczywistości i zmierzyć się na nowo z problemami przychodni.

Wyszła na poddasze. To tam w dwóch niewielkich pokojach mieszkali przez ostatnie dni. Spakowała swoje nieliczne rzeczy. Przy Bartoszu nauczyła się ograniczać. Dwa podkoszulki, spodnie, sweter, trochę bielizny, getry i bluza, w których spała, kosmetyki. Można to było szybko pozbierać. Obejrzała się za siebie trochę z żalem. Wiedziała, że takie dni prędko się nie powtórzą. Jakby poza wszelkim czasem i rzeczywistością. W zaczarowanym ogrodzie i starym domu ze skrzypiącymi miło podłogami. Z kominkiem, w którym palili wieczorami kawałkami drewna, ciętymi i suszonymi jeszcze przez dziadka Bartosza. Dawały niezwykle ciepło. Zupełnie inne niż to płynące z kaloryfera.

Odwróciła się i zbiegła po wąskich schodach. Pozamykała pozostałe okna i drzwi wejściowe. Potem powiesiła klucz na starym gwoździu schowanym za deską stropową na zewnątrz. To był jeden z tych elementów, którego nie zmienili, na pamiątkę po pierwszym właścicielu, na dobrą wróżbę.

Pogłaskała balustradę ganku, rzuciła jeszcze jedno szybkie spojrzenie na ogród i wyszła na ulicę. Na poboczu stało jej auto. Oszronione po nocy, zimne w środku. Jakby wyraźnie dawało do zrozumienia, co czeka człowieka, który do niego wsiądzie. Gwałtowne przebudzenie. Lodowaty powiew powietrza. Normalne życie, mroźna zima nadchodząca wielkimi krokami i wszystkie problemy, od których uciekło się na chwilę. One czekały, żaden nie zniknął w tym czasie, a niektóre zdołały nawet urosnąć w siłę.

Julia wsiadła do samochodu i roztarła dłonie. Kierownica była bardzo zimna, ale stary ford zapalił na szczęście już za pierwszym razem. Ruszyła w stronę Krakowa. Kiedy zaparkowała pod przychodnią, czuła się tak, jakby wróciła z innego świata, z dalekiej

podróży. Po pustym parkingu hulał wiatr, przeganiając z miejsca na miejsce suche liście. Nieśmiało weszła do środka i jak zwykle najpierw odsłoniła okno. Klinika Ksawerego pyszniła się po drugiej stronie. Klientów zapewne było dzisiaj sporo, sądząc po liczbie samochodów na parkingu. Ania pewnie dyżurowała. Julia gwałtownie zasunęła żaluzję.

Należało z tym skończyć. Nie miała wątpliwości. Jeszcze dzisiaj zamierzała złożyć wypowiedzenie najmu lokalu. Dłużej nie sposób było prowadzić tutaj przychodni, zarówno ze względów prywatnych, jak i biznesowych. Ta lokalizacja była już spalona. Trzeba było szukać nowej. Należało się również umówić na rozmowę z byłą współpracowniczką i ustalić sprawę rozliczeń. Miała nadzieję, że Ania zgodzi się poczekać na pieniądze albo pozostać udziałowcem. W przeciwnym razie szanse Julii na rozpoczęcie nowej działalności były niewielkie.

A bardzo chciała to uczynić. Praca była dla niej ważna. Owszem, podobało jej się u Bartosza. Wicie wspólnego gniazda pokazało, że geny Zagórskich są bardzo silne i dochodzą do głosu także u córek, które pozornie wybrały inną drogę. Julia miała we krwi miłość do domu, ogrodu, ciepła i rodziny. Co nie znaczy, że była dla nich gotowa zrezygnować z kontaktów z pacjentami. Miała dość czasu, by to przemyśleć.

Tęskniła każdego dnia. Za poważnymi przypadkami i zwykłymi wizytami kontrolnymi. Adrenaliną i zmęczeniem. Poczuciem, że jest samodzielna i panuje nad swoim życiem. Po takim dniu mogła sobie wyobrazić, że odpoczywa przy kominku, ale nie zamiast...

Rozdzwonił się służbowy telefon. Zanim odebrała, na wyświetlaczu zobaczyła siedemdziesiąt nieodebranych połączeń. Więc jednak nie wszyscy pacjenci o niej zapomnieli.

– Pani Julio. Co się z panią dzieje? Dlaczego przychodnia jest zamknięta? – właściciel Brutusa był mocno zaniepokojony.

– Nie będę ukrywać, że mamy kłopoty finansowe – powiedziała. – Konkurencja nas wykończyła.

– Tak myślałem – wysapał mężczyzna. – Brutus się wprawdzie dobrze czuje, ale jeśli to w czymś pomoże, mogę z nim przyjechać. Nie zaszkodzi, jeśli lekarz go obejrzy.

– Dziękuję – uśmiechnęła się. – Naprawdę to doceniam. Ale chwilowo nie przyjmujemy pacjentów. Szukam nowej lokalizacji. Gdyby panu coś wpadło w oko, będę wdzięczna za informację.

– Chętnie. Nawet popytam znajomych.

– Świetnie. Odezwę się, jeśli coś się wyjaśni. Może uda nam się utrzymać kontakt.

– Oczywiście – stanowczo powiedział mężczyzna. – Na mnie marmury w klinice nie robią wrażenia.

– Naprawdę mają takie luksusy? – zainteresowała się Julia.

– Nie wiem – przyznał się właściciel Brutusa. – Tak strzeliłem.

– Rozumiem, ale i tak jest mi miło. Zadzwoń, gdy tylko będę znać nowy adres. Dziękuję.

Rozłączyła się. To była mała rzecz, a jednak bardzo ją podniosła na duchu. Wiadomo, że opieka nad Brutusem nie zapewni jej przychodni przetrwania, ale cieszyła się, że ktoś o niej pamięta. Miała nadzieję, że takich osób jest więcej. Przypomną sobie, wróca, przyprowadzą znajomych. Musiała tylko znaleźć nowe miejsce. Tutaj nie sposób było

funkcjonować.

Zabrała się do pracy. Napisała wypowiedzenie najmu lokalu i zatelefonowała do właściciela. Nawet nie był specjalnie zaskoczony. Kłopoty przychodni przestały już być tajemnicą. Potem dała ogłoszenie na specjalistycznych stronach, że szuka nowego lekarza. To było trudniejsze, ale nie miała wyjścia. Musiała zacząć nowy etap.

Przejrzała trochę ogłoszeń w sieci, napisała do znajomych na portalach społecznościowych. Nie znalazła jednak żadnego miejsca, w którym mogłaby na nowo otworzyć działalność. To nie było takie proste. Liczyła się nie tylko dobra lokalizacja i wygodny dojazd, ale też odpowiednie warunki, no i oczywiście niski czynsz. To ostatnie kryterium wyeliminowało jej kilka najlepszych ofert. Nie mogła ryzykować. Oszczędności zostało jeszcze tylko tyle, by przeżyć. Na inwestycje nie było szans.

Najbardziej jednak tęskniła za Anią. Ksawery uderzył celnie. I nie miało już teraz znaczenia, czy działał świadomie, czy nie. Udało mu się odnieść spektakularne zwycięstwo nad byłą dziewczyną. Zawodowo i prywatnie.

Podeszła znów do okna, choć jeszcze chwilę temu zarzekała się, że już tego więcej nie zrobi. I wtedy go zobaczyła, jak szedł ze swoją dziewczyną do samochodu. Znów coś wyciągnął z bagażnika, zatrzasnął klapę z fasonem, po czym wrócił do kliniki. Dziwne były te spacery. Jakby specjalnie obliczone na to, że ktoś je obserwuje. Julia zasunęła żaluzję. Jej auto stało widoczne z daleka, ale czy rzeczywiście to wszystko było zaplanowane?

Nie chciała się nad tym zastanawiać. Można było zwariować od takiego myślenia. A i tak niczego to nie zmieniało. Odruchowo sprawdziła pocztę, ale oczywiście żadnych odpowiedzi w sprawie nowych ogłoszeń jeszcze nie było.

Postanowiła zacząć pakować rzeczy, szybko jednak zabrakło jej pudeł. Zostawiła więc wszystko i pojechała do swojego mieszkania. Wiedziała, że musi lepiej przygotować się do wyprowadzki. Miała na to cały weekend.

ROZDZIAŁ 35

W sobotni poranek Marcin wstał skoro świt. Sądził, że będzie musiał jak co dzień zdzierać chłopców z łóżek, ale kiedy tylko uchylił drzwi ich pokoju, zobaczył, że już siedzą, gotowi do działań. Mieli na sobie dresy, a ich miny zdradzały najwyższy stopień zaaferowania.

– Ciii! – upominali się nawzajem, podskakując z przejęcia.

– Nie obudźcie mamy – ostrzegł Marcin. – Bo cała akcja się nie uda. Wszystko gotowe.

– Tak – Kubie zaschło w gardle z wrażenia, kiedy pokazał na mocno przybrudzone pudło, którego róg wystawał spod łóżka.

Chłopcy wyskoczyli na podłogę, wyciągnęli je i podnieśli wieko. W środku znajdowały się liściki o różnym stopniu pomięcia, nad którymi obaj bracia trudzili się w ciągu ostatnich dni. Wspólnie z Marcinem przygotowywali niespodziankę dla mamy. Jednak mogła się ona udać wyłącznie pod warunkiem, że wszystko zostanie zrobione, zanim Maryla wstanie.

Dziadkowie, wtajemniczeni w zawiły plan, obiecali spędzić poranek u siebie, oddając dom w całości do dyspozycji dzieci oraz ich zestresowanego przedsięwzięciem taty.

Pierwszy krok należał do Kuby. To on miał wejść do sypialni rodziców i położyć na szafce nocnej pierwszy list oraz małą różę. W razie gdyby Maryla się obudziła, jego zadaniem było odciągnąć jej uwagę. Miał kilka pomysłów. Od porannego przytulania, po zwierzanie się z przedszkolnych trosk. Gdyby i to nie pomogło, zamierzał symulować ból brzucha. Ale poszło mu dobrze. Prawie nie oddychając, położył mokrą od jego spoconej rączki kartkę, a na niej kwiatek. Wypadł z pokoju i dopiero po drugiej stronie drzwi zaczął piszczeć z radości.

– Dalej! – zarządził Marcin, sam coraz bardziej przejęty. Ruszyli po poszczególnych pokojach, zgodnie z wcześniej zaplanowaną kolejnością. Wszędzie chłopcy zostawiali liściki, własnoręcznie przygotowane, pomalowane i ozdobione, a ich tata dodawał prezencik. A to komplet biżuterii, a to kolczyki, naszyjnik, bransoletkę i pierścionek – po jednej sztuce na każdym przystanku. Były też czekoladki oraz wymarzony komplet włoskich filizanek w pięknych, pastelowych kolorach. No i sukienka. Taka, jakiej ona sama nigdy by sobie nie kupiła, bo zawsze były ważniejsze sprawy. Rachunki, ubrania dla dzieci, remont, pilne domowe potrzeby.

Marcin szukał tej sukienki długo. Konsultował się w tej sprawie z Julią, która przysyłała mu propozycje ze sklepów internetowych, i w końcu razem znaleźli odpowiedni model. Szmaragdowy, nasycony kolor, wcięta talia podkreślająca ładną figurę i bardzo dobry gatunkowo materiał.

Ale nie to miało być gwoździem programu.

Kiedy Maryla wstała i zgodnie z planem, przygotowanym przez najbliższych jej sercu mężczyzn, zaczęła szukać kolejnych listów ze wskazówkami, gdzie ma się udać

w następnej kolejności, zupełnie się nie spodziewała, co czeka ją na końcu tej drogi...

* * *

Julia spędziła sobotni ranek w przychodni. Spakowała wszystkie przyrządy i lekarstwa, posegregowała dokumentację i porozłączała komputery. Wezwała ekipę, która miała się zająć zabezpieczeniem profesjonalnego sprzętu, choć wciąż nie miała gdzie tego przewieźć. Ale jej myśli pochłaniały też inne, bardziej prywatne sprawy. Wybierała się dzisiaj do domu rodzinnego. Szykowała się tam wielka feta. Bardzo kibicowała Maryli i jej mężowi. Cieszyła się, że coraz lepiej się między nimi układa.

W okno nawet już nie spoglądała. Wyleczyła się zupełnie z tego nawyku. Oddzwoniła jeszcze tylko do kilku stałych klientów i wszystkim obiecała, że odezwie się natychmiast, jak tylko znajdzie nową lokalizację.

Sprawa nie była jednak taka prosta. Tęskniła ogromnie za Bartoszem i za jego domem pachnącym farbą. Na zewnątrz było już bardzo zimno. Jesień odeszła na dobre. Sklepy, obwieszane świątecznymi dekoracjami, nasuwały pragnienia, by gdzieś się schronić, przytulić zmarznięte stopy do ciepłej płyty kominka, napić się herbaty zaparzonej według starego przepisu taty. Takiej ze świeżym imbirem, cytryną, miodem i listkiem mięty. Mocnej, aromatycznej, rozgrzewającej.

Julia uparcie nie przyjmowała zaproszeń Bartosza. Po co? Oboje byli w takim samym punkcie. Polubili się. Iskrzyło między nimi tak mocno, że parę piw, kominek i kilka chwil po zmroku momentalnie zaprowadziłoby ich do łóżka. To była łatwa droga. Tyle że nie wiodła w żadnym dobrym kierunku.

Bartosz był bardzo sympatycznym mężczyzną. Julia czuła, że się w niej zakochał. W taki miły, spontaniczny, zupełnie szczerzy sposób. Bardzo dla niego charakterystyczny. Jeśli się w coś angażował, to całym sercem. Ale to piękne uczucie było niezwykle kruche. Opierało się na wrażeniach, doznaniach, niespełnionych pragnieniach. Proza życia momentalnie by je zniszczyła.

Szybko by się okazało, że trzeba myć po sobie kubek codziennie, przynosić zakupy, zdążyć do domu, dzielić się obowiązkami. Na samą myśl, że pracowicie skoszona trawa na wiosnę odrośnie, Bartosz panikował. Oczywiście były to żarty, ale tkwiło w nich ziarenko prawdy. Ten niesforny mężczyzna z trudem odnajdywał się w jakiegokolwiek rutynie. Jego jedynym ustępstwem w tej sprawie była praca. Zmusiła go do tego konieczność zdobycia środków na utrzymanie. Jednak Julia szczerze wątpiła, czy miał w tej kwestii jeszcze coś do zaproponowania.

Dlatego świadomie zwalniała tempo, w jakim rozwijała się ta znajomość. Ograniczała rozmowy telefoniczne i mimo zaproszenia nie zgodziła się przyjechać do niego w weekend. Z niezadowoleniem przyjęła fakt, że sama tak bardzo tęskni. Że przewraca się w nocy w pościeli i nasłuchuje szumu drzew z tamtego sadu.

– Robisz się sentymentalna – skarciła się i naląła wody do wiaderka. Zamierzała porządnie wyczyścić podłogę.

* * *

Kiedy trzy godziny później Julia zaparkowała pod domem rodziców, z ogrodu dochodziły wesołe głosy.

Udało się – pomyślała z radością. Tak bardzo się ucieszyła, że zapomniała na chwilę o własnych zmartwieniach. Przyspieszyła kroku. Mimo iż przyjechała zgodnie z planem, wyglądało na to, że była mocno spóźniona. Weszła do domu, ale nikogo w nim nie zastała. Wszyscy byli w ogrodzie, korzystając zapewne z ostatnich, w miarę ciepłych jeszcze promieni słońca. Wcale znów nie tak wielki tłum jak na zwyczajnie Zagórskich.

Anielka nie mogła przyjechać z Warszawy, gdzie na nowo układała sobie życie z ojcem swojej córeczki. Z rozmów telefonicznych z siostrą Julia wiedziała, że siostrzenica zmieniła szkołę, a jej mama po wielu tygodniach poszukiwań znalazła pracę. Urządzały się w nowym domu i – trochę podobnie jak Maryla – uczyły nowego życia. Ale wiadomości przychodziły ze stolicy bardzo optymistyczne.

Gabrysia wciąż była w szpitalu, a Kornel spędzał u niej coraz więcej czasu. Dzisiaj też miał zamiar towarzyszyć żonie aż do wieczora. Los ich dziecka wciąż był niepewny, chociaż podobno rano lekarz po raz pierwszy uśmiechnął się podczas wizyty kontrolnej, kiedy omawiał wyniki badań. Oczywiście, sporo było w tej nowinie interpretacji tak typowych dla Gabrysi, która choć była pielęgniarką, nie wczytywała się wcale w wyniki badań, tylko wpatrywała intensywnie w twarze lekarzy i analizowała każde drgnienie kącików ust, długość i głębokość zmarszczki na czole, kąt spojrzenia.

Julia uśmiechnęła się na samo wspomnienie porannej rozmowy. Ona sama też ośmieliła się dzisiaj po raz pierwszy lżej odetchnąć. Nabrać nieśmiałej nadziei, że może wszystko dobrze się skończy. Znów pewnego dnia usiądą w komplecie wokół starego, drewnianego stołu na werandzie i będą się serdecznie śmiać.

Stają się podobna do mamy – pomyślała i wyszła do ogrodu.

W drewnianej altance, specjalnie oświetlonej kolorowymi lampkami oraz udekorowanej kwiatami z bibuły o wyraźnie przedszkolnym rysie, zebrali się rodzice, Marcin z synami oraz spłakana Maryla.

– Nie no, ja nie mogę – nie wytrzymała Julia. Szła z zamiarem złożenia eleganckich życzeń, ale sytuacja wyprowadziła ją z równowagi. Najstarsza siostra miała być dzisiaj wcieleniem kobiecej elegancji. Julia osobiście zaplanowała i zakupiła niektóre z upominków, by pomysł Marcina, który uważała za genialny, mógł stać się w pełni doskonały. Finał miał być ukoronowaniem wszystkich starań. A tymczasem co zastała? Spłakaną Marylę, której po policzkach spływał tusz, a włosy oczywiście wymknęły się już spod koka.

– Co ty robisz? – zawołała. – Miałaś być piękna i beztroska.

Siostra odwróciła się w jej stronę i uśmiechnęła się na przywitanie. Julia natychmiast zamknęła usta. Jej uwagi okazały się całkowicie bezzasadne. Maryla była piękna. Jej oczy błyszczały nie tylko z powodu łez, a plama tuszu na policzku niczego nie zmieniała. Zielona sukienka była poddawana intensywnemu procesowi mięcia przez dwóch przytulających się do jej kolan, przejętych synków, ale ich mama była wciąż piękna. Promieniała szczęściem.

Wszystko się udało – pomyślała Julia i sama poczuła na twarzy łyzy wzruszenia.

Maryla przeżyła tego dnia coś wyjątkowego, o czym zapewne będzie się przy rodzinnych obiadach opowiadać latami.

Wstała rano i omal nie zepsuła całej zabawy już przy pierwszym punkcie, ponieważ tak się zaniepokoiła ciszą w mieszkaniu i nieobecnością Marcina, że zerwała się z łóżka, zamierzając natychmiast założyć cokolwiek na kusą koszulkę i biec, by sprawdzić, gdzie są dzieci. Tylko faktowi, że stopa zaplątała jej się w kołdrę, zawdzięczała to, że jej wzrok padł na szafkę i zobaczyła tam troszkę już przywiedły kwiat, a pod nim list. Napisany drukowanymi literami przez starszego synka, nakazywał udać się do łazienki i uśmiechnąć.

Pierwsze zadanie wykonała od razu, bo bilecik ozdobiony był jej podobizną, wyjątkowo komiczną. Postać na obrazku szczyrzyła się do świata kompletnym, ale bardzo dużym użębieniem, jak u konia. Zapewne ów bilecik był instrukcją.

Maryla w doskonałym nastroju weszła do łazienki. A tam na umywalce zobaczyła kolejną różę. W lepszym stanie, bo końcówkę łydgi miała zanurzoną w wodzie. Wzięła ją do ręki i bez trudu odnalazła drugą karteczkę.

Kochanie! – tym razem list napisała dorosła osoba. – *Życzę Ci wspaniałego poranka. Nie ubieraj się jeszcze – to nie aluzja :). Załóż tylko szlafrok i skrop się perfumami, które znajdziesz w niebieskim pudełku na pralce, a potem zaufaj nam i pozwól się porwać przygodzie.*

Kocham Cię. Marcin.

Z wrażenia zapiekły ją policzki. Przyłożyła do nich chłodne dłonie i szybko spojrzała w stronę pralki. Rzeczywiście stało na niej niebieskie pudełko przewiązane wstążeczką. Wzięła je do ręki i zajrzała do środka. Był tam flakonik markowych perfum. Wspaniale pachniały. To był świat luksusu, który przez zapach na chwilę dostał się do jej życia. Nie tęskniła aż tak bardzo za takimi doświadczeniami, ale przyjemnie było poczuć się jak dama. Aż się paliła z ciekawości, co będzie dalej.

Kolejny liścik, który znalazła na pralce, nakazywał jej udać się do kuchni i znów ozdobiony był przez chłopców. Przedstawiał różne smakołyki zjadane przez wyjątkowo chudą, damską postać.

Przyjmę to jako komplement – uśmiechnęła się znowu. Była wzruszona i bardzo szczęśliwa już teraz. A najwyraźniej czekało ją coś jeszcze. Szybko się umyła, założyła szlafrok i skropiła podarowanymi perfumami. Czowała się cudownie. Nawet włosy udało jej się związać w przyzwoicie wyglądający kok i kręcone kosmyki nie wydostawały się z każdej strony. Założyła też najładniejszy komplet bielizny. Wprawdzie propozycja nie była aluzją, a nadawcami wiadomości były także dzieci, więc domyślała się, że nie jest to zaproszenie do łóżka, chciała jednak być przygotowana na każdą opcję.

Zbiegła po schodach. Spodziewała się całej rodziny zebranej przy stole. Ale nikogo nie było. W domu panowała cisza. Za to śniadanie czekało obfite, jakby się spodziewano wielu

gości.

Smacznego! – głosił napis na środku stołu.

Zrobiła, o co ją proszono. Zjadła jajko na miękko przykryte ogrzewaczem, wypija kawę przechowaną w termosie i na koniec pochłonęła smaczne ciastko. Do dań dołączona była książeczka do czytania podczas posiłku, wykonana przez Szymka i Kubę, a opowiadająca o przygodach dzielnej koparki. Maryla śmiała się w głos, przewracając kolejne strony.

Jednocześnie cały czas zastanawiała się, jaka jest przyczyna tych niekończących się niespodzianek. Zrobiła staranny przegląd kalendarza. Z całą pewnością nie miała dzisiaj urodzin ani nie była to rocznica ich ślubu. Rozvodu tym bardziej. Wykluczyła imieniny i wszelkie rodzinne święta, państwowego też w tym tygodniu nie ogłoszono.

Co się dzieje? – głowiła się, kiedy wstała od stołu i zgodnie z instrukcją, którą znalazła na końcu książeczki, udała się do salonu. Tam stanęła w progu i aż wstrzymała na moment oddech. Na kanapie leżała piękna sukienka. Teraz już zrozumiała polecenie, by się nie ubierała. Podeszła bliżej i wzięła do ręki delikatny materiał. To było fizyczne, do głębi przejmujące, przyjemne doznanie. Pobiegła się przebrać, cały czas pełna obaw, że nie zmieści się w to чудо.

Ale sukienka pasowała idealnie. Kobieta czasem potrzebuje spojrzeć w lustro i zobaczyć, że wygląda pięknie, bo to pomaga jej duszy wygładzić zmarszczki spowodowane zmartwieniami, kompleksami i ciężkim życiem. Złapać oddech. Maryla przyglądała się sobie dłuższą chwilę, zanim oderwała się, by znaleźć kolejny punkt. Okazało się, że po całym domu rozłożone były liściki, upominki, kwiaty oraz strzałki prowadzące do kolejnych miejsc. Nie było tylko rodziny. Domyśliła się, że czekają wszyscy razem gdzieś na końcu tej drogi. Spokojnie odszukała części kompletu biżuterii i założyła je na siebie. Ostatni podarunek, ogromny bukiet czerwonych róż, czekał na nią na werandzie. Panował wprawdzie chłód, ale nie założyła kurtki. Żal jej było zakrywać piękną sukienkę.

Wyjęła kwiaty z wazonu i nie musiała już czytać kolejnej instrukcji. Wiedziała, gdzie znajdzie autorów dzisiejszego cudownego poranka. Altana w ogrodzie była oświetlona kolorowymi lampkami, a nawet tutaj słyhać było śmiechy chłopców, które wyrwały im się mimo upomnień taty, by wytrzymali jeszcze chwilę.

Złapała bukiet i pobiegła w ich stronę. Nie mogła się już doczekać, by im podziękować za tę wspaniałą niespodziankę. Ale okazało się, że to jeszcze nie koniec. Kiedy weszła do środka, zobaczyła swoich synów ubranych w galowe stroje, które jeszcze niedawno zakupiła im na rozpoczęcie roku w zerówce i inne uroczyste okazje. Marcin też był w garniturze, a rodzice założyli równie odświętne ubrania. Stół w altanie, przy którym czasem pito kawę, ale głównie służył do wstępnej obróbki warzyw i owoców, był przykryty białym obrusem. Na ławkach ułożono kolorowe poduszki.

– Marylo – zwrócił się do niej Marcin uroczyście, kiedy tylko weszła i otworzyła usta, by za wszystko podziękować. Rozłożyła też ramiona, by synowie jak zwykle mogli w nie wpaść, choć po raz pierwszy nie zareagowali na to zaproszenie. Stali obok taty z równie poważnymi jak on minami.

Ona też zatrzymała się. Z przejęcia zaschło jej w gardle, ale czuła się niewiarygodnie szczęśliwa. Marcin podszedł do niej, wziął ją za rękę i spojrzał w oczy.

– Chciałem zapytać... – zaczął lekko zachrypniętym z tremy głosem. – Czy wyjdiesz za

mnie za mąż? By zawrzeć drugi, poprawiony, edytowany i zaktualizowany związek małżeński?

Odpowiedź była oczywista. Maryla poczuła, jak po policzkach spływają jej pierwsze łzy. Chłopcy też już nie wytrzymali i rzucili się, by ją uściskać, podobnie jak rodzice. I właśnie na tę chwilę trafiła spóźniona Julia, która jako jedyna z sióstr mogła uczestniczyć w tej niezwyklej uroczystości.

– Boże! Jak ja ci zazdroszczę – powiedziała, kiedy tylko zdołała się dopchać do siostry. – Takie oświadczyń! Ja też tak chcę.

– Dziękuję – wyszeptała Maryla i otarła policzki. Życie nie zawsze było dla niej łaskawe. Za błędy, które popełniła, kazało jej bez litości płacić odpowiednią cenę, ale na szczęście zdarzały się też takie dni jak ten, które pokazywały, że nawet na tym pełnym trudu świecie bywają chwile doskonałe.

ROZDZIAŁ 36

Dwa tygodnie później...

Lekarz uśmiechnął się szeroko nad łóżkiem Gabrysi. Stan pacjentki już od dłuższego czasu był stabilny. Pozwolono jej najpierw na wyjścia do łazienki, potem krótkie spacery, aż wreszcie z długą listą zaleceń dziś właśnie wysyłano do domu.

Tego dnia Kornel musiał być w pracy i nie było mowy o kolejnym urlopie. Wykorzystał już cały limit i wszelkie inne możliwości. Dlatego siostrę miała odebrać Julia.

– Proszę cię, pozwól mi jechać z tobą. – Bartosz dzwonił do niej codziennie i zawsze miał jakiś pomysł na wspólne spędzenie czasu. Ale odmawiała za każdym razem. Od tamtego pamiętnego piątku nie zobaczyła już więcej ani starego domu, ani kotów, ani jego samego. Zachowywała dystans. Już nie raz się pomyliła, niepotrzebnie dawała jakiemuś mężczyźnie nadzieję, może nawet wysyłała sprzeczne sygnały. Nic dobrego z tego nie wynikało.

A Bartosza naprawdę polubiła i chciała go chronić. Miała też trochę na względzie własne dobro. Stanowczo za często myślała o tym chłopaku. Bała się zaangażowania. Nie sądziła, by coś dobrego mogło wyniknąć ze związku bez zobowiązań. Choć musiała przyznać, że znajomość z Bartoszem wniosła w jej życie nową jakość. Nauczyła się patrzeć na wiele spraw z większym dystansem. Wrzucać częściej na życiowy luz.

Być może to dzięki niemu nie załamała się w trudnej sytuacji.

Od jakiegoś czasu pozostawała bez pracy i środków do życia. Wciąż nie mogła znaleźć nowej lokalizacji dla swojej przychodni. Wszystkie oferty były za drogie lub nieodpowiednie. Julia starała się przeczekać trudny czas, ale pieniądze powoli się kończyły, a perspektyw dla nowej działalności nie dostrzegała żadnych.

Było jej przykro, bo pojawiła się plotka, że Ksawery zaprosił cały swój zespół na uroczystą kolację, w czasie której wznoszono ponoć między innymi toasty za kolejny sukces kliniki, jakim było wyeliminowanie konkurencji w bezpośrednim sąsiedztwie.

Nie wiedziała, ile w tym prawdy. Może po prostu komuś wyrwał się pod wpływem alkoholu jakiś niezręczny dowcip? I czy była tam Ania? Brała we wszystkim udział? Piła wino na cześć upadku przyjaciółki?

Nie chciała pytać o to wspólnych znajomych. Potwierdzenie tych obaw mogłoby zabołeć zbyt mocno. Nie spotkała się z dawną współpracowniczką od dnia, gdy się pożegnały. Słyszała tylko, że dobrze sobie radzi w nowej pracy. Tak właśnie musiało być.

Julia nie miała jej za złe tej decyzji. Choć jej odejście wciąż bolało, kibicowała Ani. Co nie oznaczało, że nie tęskniła. Za rozmowami, wspólną pracą, codziennym kontaktem z osobą, która rozumiała ją doskonale.

Wsypała chomikom karmę i zaczęła się przygotowywać do drogi. Dobra forma Gabrysi stanowiła przyjemną odskocznnię od jej osobistych zmartwień. Nie pozwalała jej pograć

się w smutku. To dziecko było cudem tak niespodziewanym i wciąż tak nieprawdopodobnym, że ilekroć o tym myślała, świat na chwilę wydawał jej się piękniejszym miejscem.

Zresztą wszystkie jej siostry powoli układały sobie życie. Anielka była szczęśliwa w Warszawie, Maryla szalała wśród przygotowań do ponownego cywilnego ślubu, a Gabrysi coraz mocniej zaokrąglął się brzusek. Do tego mama przyniosła do domu lepsze wyniki, a ciotka Marta pojechała z Leszkiem na wakacje w jakieś egzotyczne miejsce i istniała szansa, że odważą się na kolejny etap w związku. Może zamieszkają razem? Cała rodzina szczerze im kibicowała.

Nawet chomiki się polubiły i spędzały razem całe dni.

Widać, taka cena – pomyślała Julia, przekręcając klucz w zamku. – Wszyscy nie mogą być szczęśliwi i padło na mnie. Może i słusznie, bo zawsze najmniej zależało mi na związkach... Tylko że w pracy też się nie układa – Julia już nawet nie wzdychała, kiedy to spostrzeżenie ją dopadało.

Dziś musiała się spieszyć. Umówiła się z siostrą na trzynastą, licząc na to, że do tego czasu wszystkie szpitalne formalności zostaną już załatwione. A chciała jeszcze wcześniej spakować część wyposażenia dawnej przychodni i zawieźć do rodziców, którzy uczynnie udostępnił jej swój obszerny garaż. Nieubłaganie zbliżał się termin zwolnienia lokalu. Jej dawna przychodnia już znalazła nowego wynajmującego, który naciskał na jak najszybsze przejęcie pomieszczeń. Miał tam powstać niewielki sklep spożywczy i była to zapewne słuszna decyzja, bo w okolicy nie było nawet warzywniaka, a klinika Ksawerego generowała spory ruch. Wygodny parking miał się stać dodatkowym atutem dla takiej placówki.

To jednak oznaczało definitywny koniec dla działalności Julii. Już nie można się było wycofać i dzisiaj w sposób symboliczny Julia musiała się pożegnać z miejscem, któremu poświęciła tak wiele. Podjechała na parking po raz ostatni. Cięższe rzeczy zabrał wczoraj Marcin, wprawiony w działaniach związanych z przeprowadzkami, a jej na dzisiaj zostało tylko spakowanie drobiazgów.

Otworzyła drzwi i stanęła w progu. Poczekalnia, pozbawiona krzeseł i plakatów, sprawiała ponure wrażenie. Julia wciąż słyszała w głowie gwar ludzkich i zwierzęcych głosów, który zwykle wypełniał to pomieszczenie. Stare dzieje.

Weszła do gabinetu. Najchętniej zamknęłaby teraz oczy, żeby nie widzieć tego bałaganu i pustki. Ale po omacku trudno sprzątać. Wybrała więc inne rozwiązanie i postanowiła skończyć z tym jak najszybciej, zabierając się gorliwie do pracy. Ręce trochę jej się trzęsły, ale kolejne kąty pustoszały. Za to bagażnik zapełniał się w szybkim tempie. Zaczęła się nawet obawiać, że trochę przeceniła możliwości swojego samochodu.

Wbiegła właśnie po ostatni worek do gabinetu, zostawiając drzwi otwarte, żeby móc łatwo wrócić, i... zderzyła się w drzwiach z kobietą w białym fartuchu z zielonym logo kliniki Ksawerego.

– Ania? – nie wierzyła własnym oczom. Worek bezwładnie opadł na podłogę.

– Tak, to ja – odpowiedziała przyjaciółka. – Zobaczyłam cię przez okno, ale nie mogłam wyjść od razu. Musiałam skończyć przyjmowanie pacjentów. U Ksawerego nie ma miejsca na negocjacje w tych sprawach.

Julia nie odpowiedziała. Cofnęła się do środka.

– Nie mogę ci nawet zaproponować, żebyś usiadła – powiedziała. – Meble odjechały wczoraj.

– Tak... Widzę, co się dzieje. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam. Ale musiałam mieć pewność, że wiem, co chciałabym ci powiedzieć.

Julia milczała. Mięła w dłoni kawałek folii, nie mając odwagi spojrzeć przyjaciółce w oczy. Minęło sporo czasu i wiele się wydarzyło, a w tych wszystkich sprawach była sama. Teraz już nie potrzebowała pocieszenia ani współczucia. Poradziła sobie z emocjami.

– Pracuję u Ksawerego od kilku tygodni. Decyzja, którą podjęłam, jest dokładnie przemyślana.

– Nie musisz się tłumaczyć – Julia była rozczarowana. – Przecież to wszystko już sobie wyjaśniłyśmy. Masz prawo zmienić pracę.

– Ale ja nie to miałam na myśli – powiedziała Ania. – Przyszłam do ciebie, bo chciałabym wrócić.

– Słucham? – To były bardzo zaskakujące słowa. – Dlaczego? Przecież Ksawery dał ci wszystko, o czym tylko mogłaś marzyć.

– Niekoniecznie – powiedziała ze smutkiem. – Choć na początku mogło to tak wyglądać.

Julia wreszcie odważyła się podnieść głowę i spojrzeć na przyjaciółkę.

– Przyznaję, spanikowałam, kiedy nasza przychodnia zaczęła przynosić straty, a ja miałam rachunki do zapłacenia. Na dodatek Ksawery to prawdziwy fachowiec. Wiedział, jak zaatakować. Dobrze się przygotował. Potrafi oczarować, przyznaj sama. W końcu też masz ten etap za sobą.

Julia kiwnęła głową, trudno było zaprzeczyć.

– Dopiero po pewnym czasie, kiedy codziennie z nim pracujesz, widzisz, kim naprawdę jest. To nie człowiek, tylko automat. Zbroja wypełniona pustką. Lord Vader. Z zewnątrz wygląda imponująco, ale w środku nic nie ma.

Julia spojrzała na nią ze współczuciem.

– Musiał ci nieźle dopiec – powiedziała.

– Za naiwność się płaci, a ja za szybko uwierzyłam, że właśnie propozycja życia spada mi z nieba. Przepraszam.

Julia stała i ścisnęła mocno wymiętolony kawałek folii. Nie czuła żalu. Rozumiała Anię. Nie popełnia błędów tylko ten, kto nic nie robi. Ale było już za późno.

– Ja już nie mam przychodni – powiedziała. – I mogę ci zaproponować teraz jeszcze mniej niż miesiąc temu. Żeby zwrócić ci udziały, będę musiała się zadłużyć.

– Wiem. Znam sytuację. Widzę przecież codziennie, co się tutaj dzieje. I słyszałam o tym bankiecie, na którym Ksawery świętował twój upadek. To nie plotka. Mnie wprawdzie nie zaprosił, ale wiem dokładnie, co tam się działo.

– Powiem szczerze, że nie spodziewałam się tego po nim – westchnęła Julia. – Miał swoje wady, ale zawsze zachowywał się jak dżentelmen. A to jednak bardzo prostackie zagranie.

– Obolała duma. Wciąż się leczy. Twoja odmowa bardzo go ubodła.

– To już bez znaczenia. Aniu, dziękuję, że przyszłaś. Przykro mi, że w twojej nowej

pracy nie najlepiej się układa, ale u mnie jest jeszcze gorzej. Nie mogę ci niczego ciekawego zaproponować. Szukam wprawdzie nowego miejsca, ale...

– Ja nie w tej sprawie – przerwała jej przyjaciółka. – To ja mam dla ciebie ofertę.

– Proszę cię... – Julia miała dość. – Nie chcę już słuchać o klinice.

– Przecież to by było nielogiczne. – Ania zaczęła chodzić po pustym pomieszczeniu. Sprawiała wrażenie bardzo przejętej. – Tam nie mają czego szukać takie dziewczyny jak my. To prawie korporacja. Bezduszny układ, a nam zawsze zależało na czymś innym. Prawda?

– Owszem – przyznała Julia.

– Więc zaczniemy jeszcze raz. Od nowa. W końcu wciąż mnie nie spłaciłaś i nadal jesteśmy współniczkami. Umowy też nie rozwiązałyśmy.

– To nie takie proste – Julia zwykle odważnie podchodziła do nowych wyzwań. Ostatnio też ćwiczyła się w praktykowaniu życiowego optymizmu, zgodnie z zaleceniami Bartosza, ale tym razem nie starczyło jej entuzjazmu.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała Ania. – W ramach rekompensaty za to, że cię tak haniebnie zostawiłam – podała jej wyciągniętą z kieszeni kartkę. – Czytaj – poleciła. – Ja jeszcze do końca miesiąca muszę pracować w klinice, ale potem jestem wolna. Możemy zacząć jeszcze raz.

Julia spojrzała na tekst. Była to oferta wynajmu lokalu, który rzeczywiście odpowiadał ich potrzebom.

– Trochę drogo – westchnęła Julia.

– Może, ale na cud nie ma co liczyć. Musimy zaryzykować. Popatrz – wskazała na wydrukowaną mapkę. – Lokalizacja jest świetna. Interes będzie się kręcił.

– Mam nadzieję – Julia wypowiedziała te słowa z ostrożnością, ale już po chwili zaczęła piszczeć z radości. – Naprawdę to się dzieje?! – zawołała. – Wracasz do mnie? Znów będziemy razem pracować? Nie mogę uwierzyć!

– To zrób to. Ja wracam do kliniki. Zerwałam się tylko na chwilę, bo bałam się, że mi odjedziesz, a to nie była rozmowa na telefon.

Julia rzuciła jej się na szyję.

– Dziękuję ci.

Ania się rozplakała.

– To ja się cieszę, że jeszcze ze mną gadasz.

– No dobra – Julia też otarła oczy. – Skończmy z tymi sentymentami. To do nas niepodobne. Spieszę się do siostry, a muszę jeszcze przewieźć rzeczy do rodziców.

– Jasne. Ja też nie mam czasu. Ale daj znać wieczorem, jak już będziesz wolna. Umówię nas z właścicielem lokalu na rozmowę, a potem pojedziemy do mnie. Zrobię kolację i pogadamy o szczegółach.

– W moim mieszkaniu też ostatnio są lepsze warunki – uśmiechnęła się Julia i otarła jeszcze raz policzek. – Zmieniłam się. Porządnie posprzątałam. Wyrzuciłam niepotrzebne graty. Chyba dojrzałam do innego życia.

– To Bartosz? – Ania puściła do niej oko.

– Nie sądzę – odparła. – Miłość nie jest mi pisana.

– Mnie też – uśmiechnęła się przyjaciółka. – Wyobraź sobie... Tyle lat wzdychać

z daleka do Lorda Vadera...

– Nic nie mów. Ja z nim spałam i to niejedną raz.

– Ale już nam przeszło, prawda? – Ania położyła dłoń na klamce. – Zmykam, zanim dostanę dyscyplinarkę. Głupio by było kilka dni przed końcem umowy. Do zobaczenia wieczorem. I pozdrów Gabrysię.

– Dzięki – odpowiedziała, ale Ania już nie słyszała. Pobiegnęła w stronę kliniki.

Julia znowu usiadła na podłodze, jak tego dnia, gdy wszystko się zawaliło. Przycisnęła dłoń do piersi. Serce biło jej bardzo mocno, krew krążyła w szybkim tempie, a na policzkach zakwitł rumieniec. Na wieść, że znów ma pracę, a przychodzi jest uratowana, zachowywała się dokładnie tak samo, jak większość kobiet, gdy się im oświadczy ukochany. Adrenalina uderzyła jej do mózgu, a wyobraźnia już urządzała nowe miejsce, zapępiała poczekalnię i wyposażała gabinety.

Życie w swej nieprzewidywalności sprawiło jej wielką niespodziankę. Kiedyś postawiła na przyjaźń oraz dobre relacje z pacjentami. I choć był moment, kiedy wydawało jej się, że z tego powodu przegrała, to jednak dobro, jak to zwykle ma w zwyczaju, wróciło do niej w dwójnasób. Takie prawo natury. Woda, która spada jako deszcz, paruje z powrotem, opadłe liście odrastają, a rośliny, nawet jeśli całkiem zwiędną, przechowują w twardym nasionku to, co najlepsze.

Warto było przejść przez to wszystko – Julia zamyśliła się i po raz ostatni spojrzała w nieszczęsne okno, przy którym spędziła tyle czasu.

Teraz była wolna i mogła zacząć od nowa. Pomyślała o Bartoszu i o tym, że chętnie by się z nim podzieliła dobrymi wiadomościami. Ale wiedziała, że zaraz chciałby się umówić, przyjechać, rozmawiać. Nie było sensu zaczynać wszystkiego od nowa.

ROZDZIAŁ 37

Bartosz zamknął dom. Wszystko było gotowe. Teraz pozostało tylko ustalić miejsce pobytu Julii. Szukał jej wczoraj całe popołudnie. Nie odpowiadała, kiedy dzwonił do drzwi mieszkania, a jej dawna przychodnia była w remoncie. Ekipa nic nie wiedziała o byłym wynajmującym.

Oczywiście, Julia mogła być teraz w domu rodzinnym, nie miał jednak śmiałości nachodzić Zagórskich bez zapowiedzi. Pewnie przyjęliby go serdecznie, ale nie o to mu chodziło. Musiał pilnie spotkać się z Julią sam na sam. W tym celu potrzebował pomocy i nawet miał pomysł, gdzie mógłby ją uzyskać. Podjechał pod galerię handlową, w której znajdowała się księgarnia Jana Zagórskiego. Pod pozorem konsultacji w sprawie przechowywania w zimie drewna kominkowego wybadał seniora rodu. Zakupił książkę o obróbce drewna, wypił pyszną herbatę i wyszedł zadowolony. Już wiedział, gdzie szukać Julii.

* * *

– To zwykła parapetówka – tłumaczył się Bartosz trzy godziny później, kiedy zgodnie z oczekiwaniami dopadł Julię, jak wychodziła z lokalu, w którym pracowały z Anią nad organizacją przyszłej przychodni. – Będzie mnóstwo ludzi. Nie wyobrażam sobie, żeby cię zabrakło. Stworzyłaś to miejsce na nowo. Proszę cię.

Spojrzał na nią błagalnie. Było zimno, więc jego włosy, zwykle rozwichrzone, skryte były pod ciasną czapką. Nadawało mu to niezwykle schludny wygląd. Spod rozpiętej kurtki wystawał zielony golf. Julia uśmiechnęła się. Ten mężczyzna miał niezwykle dar. Rozbrajał ją samym swoim widokiem. Ale wiedziała, że to niebezpieczne. Taki męski urok zwykle źle się kończy.

– Dobrze – zgodziła się jednak. Parapetówka była przecież niewinną imprezą i nie widziała powodu, by tak ostro stawiać sprawy. – Przyjdę z Anią, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała. – Chciałabym jej pokazać twój dom. Tyle o nim słyszała.

– Dobrze – zgodził się, choć słyhać było w jego głosie lekkie zawahanie. – Jutro wieczorem. Czekam na was – powiedział to, po czym niespodzianie podszedł do dziewczyny i pocałował ją w policzek.

Julia miała wrażenie, że celował w usta, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Miał rację, bo to by jej się nie spodobało, ale ten mały gest był zastanawiający. Czyżby Bartosz zaczął kontrolować swoje spontaniczne odruchy? Brać pod uwagę także uczucia innych?

– Mogę po was przyjechać? – zapytał jeszcze.

– Nie ma potrzeby – odparła. – Wezmę swój samochód. Pewnie będę musiała szybko wracać.

„Tego się obawiam” – zdradzała jego mina, ale on sam tylko pomachał jej na pożegnanie,

po czym błyskawicznie zniknął za rogiem kamienicy. Pomyślał jeszcze, że osiedle, na którym Julia od nowa budowała swoją działalność, było duże i wciąż się rozrastało. Stara zabudowa komponowała się z nowymi blokami i domkami jednorodzinnymi. W okolicy ponoć nie było żadnego weterynarza, a zwierzaków sporo. Wróżył dziewczynom sukces.

* * *

Dwie godziny później Bartosz wciąż siedział w samochodzie. Czekał. Miał nadzieję, że los będzie mu sprzyjał. Niespodziewana komplikacja w postaci Ani, której towarzystwo zaproponowała Julia, pomieszała mu szyki. Ale nie poddawał się. Jest kłopot, to trzeba go rozwiązać, tej dewizy starał się trzymać.

Tym razem szczęście mu sprzyjało. Właśnie zobaczył Julię wychodzącą na zewnątrz. Wsiadła do swojego samochodu i odjechała. Zatarł ręce z zadowoleniem. Wyskoczył ze swojego auta i stanął na chodniku. Gdyby pierwsza odjechała Ania, musiałby ją ścigać, bo to właśnie z nią chciał porozmawiać. Teraz wystarczyło tylko spokojnie zaczekać.

– Dobry wieczór – zatrzymał współpracowniczkę Julii.

– Cześć, Bartoszu – przywitała się, nieco zdziwiona. – Jestem sama, bo...

– Wiem, że Julia już pojechała – przerwał jej. – Ja do ciebie.

– W sprawie jutrzejszej imprezy? – domyśliła się. – Bardzo ci dziękuję za zaproszenie.

Chętnie przyjadę.

Bartosz zmieszał się. Ściągnął czapkę z głowy i nerwowym gestem wepchnął do kieszeni.

– Jest pewien kłopot i bardzo cię proszę o dyskrecję. Mój los jest w twoich rękach – spojrzał na nią błagalnie, po czym swoim zwyczajem zmierzwił włosy.

– Mów. Jeśli mogę jakoś pomóc, zrobię to. Co się stało? Organizacja przyjęcia cię przerasta?

– Nie o to chodzi – popatrzył jej w oczy. – Nie ma parapetówki – przyznał się. – To pretekst. Niespodzianka dla Julii. Muszę jej coś powiedzieć, ale ona nie chce się ze mną umówić.

– O, nie! – wystraszyła się Ania. – Nie wciągaj mnie w swoje intrygi.

– Proszę cię. Bez twojej pomocy cały plan na nic. Kupiłem meble, zrobiłem porządek, nawet zamówiłem ciasto u sąsiadki. Poza tym przygotowałem całą dokumentację.

– Jaką? – zdumiała się.

– Nieważne – zrobił krok w jej stronę. – Kocham ją – powiedział.

– Dokumentację? – w pierwszej chwili Ania nie zrozumiała.

– Ależ skąd! – zdenerwował się. – Julię! – zawołał. – Męcę się od tyłu tygodni! Pomóż mi.

Przyłożyła dłonie do policzków. Zrobiło jej się ciepło z przejęcia. W słowach Bartosza była jakaś pierwotna prawda, szczerłość i wielka moc. To dobrze wróżyło temu związkowi.

– Dobrze – powiedziała. – Jakoś się wymiksuję w ostatniej chwili z tych odwiedzin. Możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję – uściskał ją spontanicznie.

– Ale w zamian żądam dobrej kawy, jak tylko sprawy się ułożą.

– Dostaniesz, co tylko zechcesz. Będziesz naszym świadkiem na ślubie i chrzestną wszystkich naszych dzieci.

– Tego nie obiecuj. Pamiętaj, że Julia ma wiele sióstr.

– Zobaczymy. Jeszcze raz ci dziękuję i pędzę do domu. Zostało mi jeszcze kilka drobiazgów do załatwienia.

Pomachała mu, po czym wsiadła do samochodu. Cieszyła się szczęściem Julii, choć nie przewidywała, że ona łatwo zgodzi się na ten związek. Miała jednak dobre przeczucia.

Może będą jeszcze jakieś komplikacje, ale pewnie wszystko skończy się happy endem – pomyślała, przekręcając kluczyk w stacyjce. Westchnęła z tęsknotą, bo jej też marzyło się podobne, piękne uczucie.

ROZDZIAŁ 38

Julia poczuła, że coś jest nie tak już w chwili, gdy Ania wymówiła się okropnym bólem głowy i zrezygnowała ze wspólnego wyjazdu. Ale w momencie, gdy zaparkowała pod domem Bartosza, zyskała pewność. Nie było żadnych innych samochodów, choć przybyła spóźniona. Spodziewała się gwaru, świateł, krzywo zaparkowanych aut i roześmianych ludzi na werandzie. Tymczasem dom spowijała cisza i wieczorna mgła. Światło w kuchni błyszczało ciepłym pomarańczem, a ogień z kominka malował na szybach salonu delikatne refleksy.

Zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę furtki. Czowała strach, jakby miała wejść na nieznaną teren, pełen pułapek. A jednak ciekawość skłaniała ją, by się nie zatrzymywać. Położyła dłoń na klamce. Drzwi były otwarte.

Weszła do środka. Bartosz wszystko przygotował. Stół był zastawiony jak do uroczystej kolacji. Dwa nakrycia.

Mogłam się domyślić – Julia była zła na siebie, że dała się wciągnąć w tak prostą intrygę.

Rozejrzała się wokół, szukając gospodarza, ale Bartosza nigdzie nie było. Podeszła bliżej stołu. Z zaskoczeniem zauważyła na nim dokumenty. Jakies wyciągi bankowe, rozliczenia pensji, PIT-y oraz umowę o pracę. Wycofała się szybko, przekonana, że papiery nie są przeznaczone dla jej oczu.

– Cześć! – Bartosz wystraszył ją tak, że aż podskoczyła. Wszedł do pokoju po cichu. Julia zmieszana się. Nie chciała, żeby myślał, iż grzebie w jego osobistych rzeczach, a z drugiej strony nie rozumiała, dlaczego zostawił je na wierzchu, skoro wiedział, że będzie miał gościa.

– Dobry wieczór – odparła. – Bardzo intensywna impreza – rozejrzała się wokół. – Czy wszyscy goście już przyszli?

– Tak – odpowiedział poważnym tonem. – Przepraszam cię za ten podstęp, ale musiałem się chwycić tego sposobu, bo tylko on przyszedł mi do głowy. Proszę, zostań chociaż chwilę. Chciałbym ci coś pokazać.

To było absurdalne, ale podszedł do rozłożonych na stole dokumentów.

– Usiądź – zaprosił ją, wskazując miejsce.

Zrobiła to, choć miała wielką ochotę wstać i uciekać. Podejrzewała, że Bartosz będzie chciał wziąć kredyt i prosić ją o pomoc w tej sprawie albo wręcz od niej coś pożyczyć. To było o tyle bez sensu, że ona niczego nie miała. Ale on chyba jej nie wierzył.

Mężczyzna usiadł naprzeciwko niej i wziął ją za rękę. Wyglądał niezwykle uroczyście. Schludnie ubrany, choć z rozwichrzoną jak zawsze fryzurą. W oczach miał powagę.

– Widzisz, to jest moja umowa o pracę. Możesz sprawdzić daty. Pięć lat w tym samym biurze. Nie lubię go. To bardzo ograniczające miejsce, ale projekty są fajne, koledzy z zespołu także, a ja potrzebuję pieniędzy na utrzymanie. I trwam. Nikt mnie nie

zwalnia. Na dowód masz tu informację o wysokości mojej pensji i stan konta. Wydaję oszczędnie.

– Nie rozumiem – pokręciła głową. Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego. – Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? Chcesz ode mnie pożyczyć...

– Nie! – zawołał załamany. – Chciałbym ci powiedzieć, że cię kocham i nadaję się do stałych związków, bo jeden już zbudowałem. Z pracą.

Julia osłabła. Przyłożyła czoło do blatu stołu. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Pomysł Bartosza na oświadczyzny przechodził jej wszelkie wyobrażenia.

– Proszę cię – powiedział tymczasem Bartosz. – Daj mi szansę. Wiem, że to banał, ale życie bez ciebie nie ma żadnego smaku. Nie mogę już sobie dać z tym wszystkim rady.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Obiecuję, że będę stały jak prąd. Zbudujemy prawdziwą rodzinę. Adoptuję koty, chomiki i co tylko zechcesz. Nie sprzedam tego domu, urodzę dzieci... – rozpędził się.

– Chyba przesadziłeś.

– Może. Sama widzisz, że już nie wiem nawet, co mówię. Ale z tego ostatniego punktu mogę dla ciebie zrezygnować.

– Bartosz... – pokręciła głową. – Jesteś niemożliwy.

Przysunął się bliżej niej. Objął ją i nieśmiało pocałował.

– Proszę cię – powiedział. – Daj szansę nam obojgu. Coś się wydarzyło między nami. Wiem, że też to czujesz. Już nie da się o tym zapomnieć.

Miał rację.

Trochę niepoważne były te oświadczyzny, zwłaszcza pomysł z dokumentacją, ale Julia nie miała wątpliwości, że Bartosz w tym, co mówi, jest szczerzy i bardzo zdeterminowany. Nie chciała się przyznać przed samą sobą, że tęskniła za jego rozkochaną czupryną, luzem i pogodą ducha. A także przytulaniem, pocałunkami i dłońmi niespiesznie wędrującymi po jej plecach.

Tak właśnie jak w tym momencie.

Zamknęła oczy. Nie zamierzała tym razem zbyt długo się zastanawiać. Czasem życie samo przynosi najlepsze rozwiązania.

* * *

Julia wyszła na werandę. Świt ledwo się złocił nad horyzontem, a dom trwał w ciszy. Pogłaskała balustradę i otuliła się szczelniej kurtką. W dłoni trzymała kubek z gorącą kawą. Jeden z kompletu, który podarowała wczoraj Bartoszowi na parapetówkę. Niebieska porcelana z kremowym środkiem. Bardzo jej się podobały. Podobnie jak to wrażenie, że w końcu znajduje się we właściwym miejscu.

Ten dom od początku ją oczarował i obrona przed tym uczuciem okazała się bezcelowa. Tata kiedyś żartował, że w żyłach jego córek prócz krwi płynie też kilka kropel soku jabłkowego. Było w tym trochę prawdy. Przekazał im w genach tęsknotę za rodziną, prawdziwym domem, gniazdem, które można wspólnie od podstaw budować. Wszystkie córki Jana i Heleny miały ten dar, nawet jeśli nie zdawały sobie z tego sprawy.

Julia spojrzała na uśpiony sad i ogród. Potrafiła sobie wyobrazić, jak pięknie będzie tu

wiosną. Łatwo być szczęśliwym w tak niezwykłym miejscu. Ale wiedziała też, że znaczna część uroku tego domu jest zasługą jego właściciela. Niezwykłego mężczyzny, jakiego nie spotkała nigdy wcześniej.

Zakochała się w nim, choć początkowo nie dawała mu żadnych szans. Wydawałoby się, że wcale do siebie nie pasują. Ale serce mówiło swoje. Julia stała na werandzie, chłodny wiatr mroził jej policzki. Czuła nieznany dotąd spokój. Dotarła do portu. Podjęła słuszną decyzję. Wiedziała, że zostanie w tym domu i tutaj właśnie stworzy własną część świata.

Kiedyś, za wiele lat, swoją opowieść zaczyna tutaj tworzyć jej dzieci. Podobnie jak córka Anielki, synowie Maryli i małeńka dziewczynka, której płeć potwierdzili już lekarze, szczęśliwie rozwijająca się pod sercem Gabrysi.

Jabłoniowy sad jest wieczny, ta opowieść nigdy się nie skończy, jest bowiem historią o miłości. A ta jest niewyczerpana.

PODZIĘKOWANIA

Saga *Jabłoniowy Sad* to dla mnie wyjątkowa seria. Najtrudniej było ją napisać, ale też otrzymałam w związku z nią najwięcej dobrych recenzji.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do sukcesu tej opowieści.

Czytelniczkom za listy, spotkania i wiadomości. Za ciepłe słowa, serdeczne uściski, obecność na spotkaniach i wszelkie objawy życzliwości, które sprawiają, że wciąż nie brakuje mi sił oraz entuzjazmu do pisania.

Pracownikom Wydawnictwa Filia, a w szczególności Marii Stefaniak za promocję oraz Oldze Reszelskiej za piękne okładki. Prowadzącej stronę ONA CZYTA – za wsparcie i bardzo dobrą współpracę.

Ekipie firmy SEITON, a szczególnie Krysi Sadeckiej za niewyczerpaną cierpliwość, profesjonalizm i życzliwość.

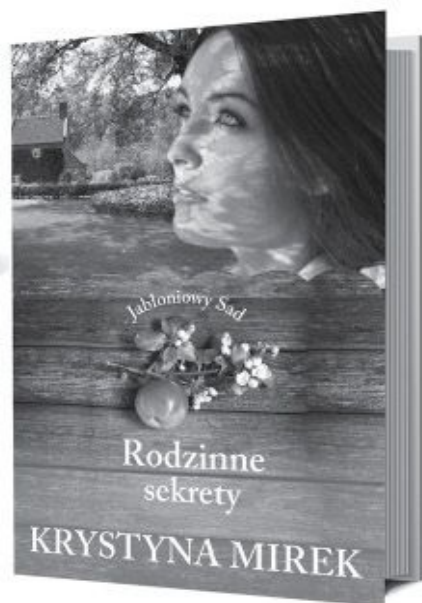
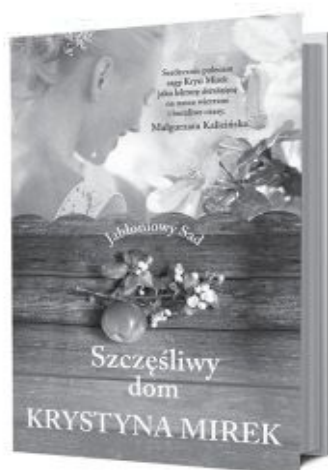
Mojej przyjaciółce, Kasi Wojtas, za wierne trwanie przy moim boku, mimo że to już trzynasta powieść, której fragmenty dostaje do pierwszego czytania zwykle w najmniej odpowiednich porach :). Dziękuję Ci za naszą piękną przyjaźń.

Magdalenie Kordel za serce, życzliwość i zrozumienie. Świadomość, że zawsze mogę do Ciebie zadzwonić, jest bardzo cenna :).

Pracownikom przychodni weterynaryjnej DAN-VET w Niepołomicach za opowieść o ich pracy i możliwość obserwacji zasad działania firmy.

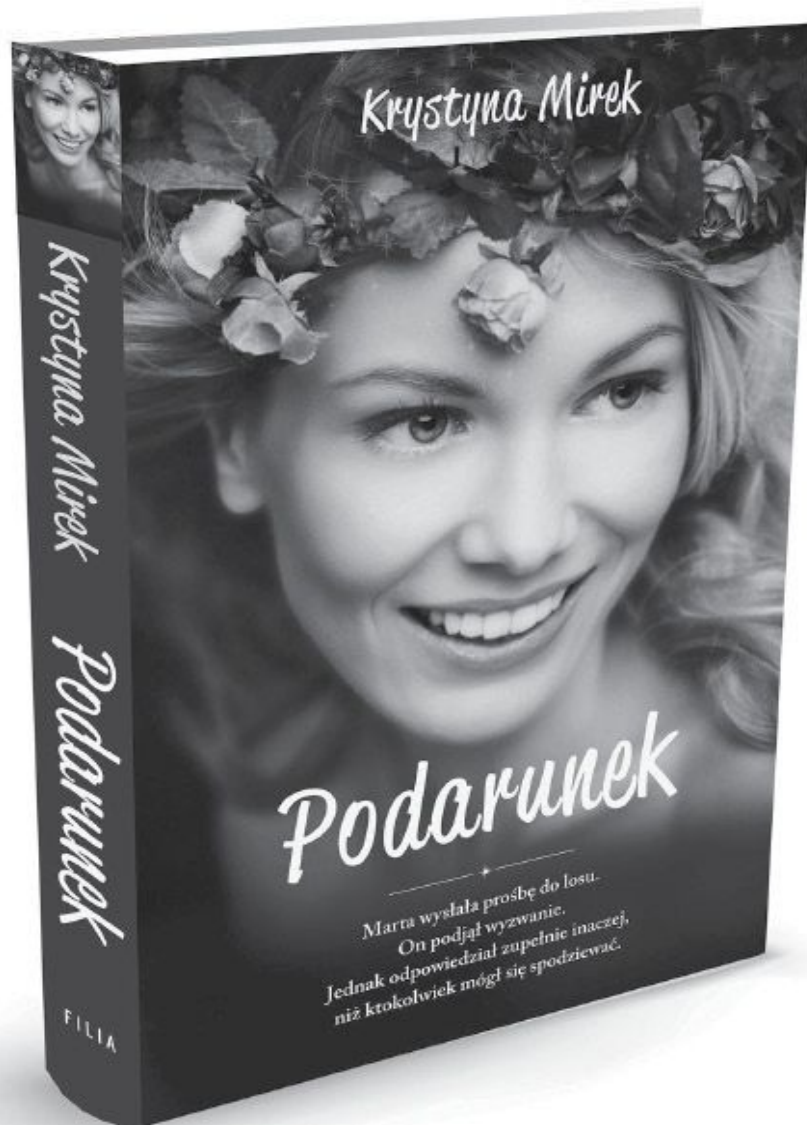
Wszystkim blogerkom i blogerom, którzy już od pięciu lat piszą recenzje moich książek. Wiele Wam zawdzięczam. Wasze zdanie jest ważne, a pozytywne opinie dodają mi sił.

Mojej rodzinie. Mężowi, córkom i najmłodszemu synkowi za niekończące się wsparcie. Bardzo Was kocham :).



WSPÓŁCZESNA SAGA
RODZINY ZAGÓRSKICH
Jabłoniowy sad

FILIA



Podarunek

Marta wysłała prośbę do losu.
On podjął wyzwanie.
Jednak odpowiedział zupełnie inaczej,
niż ktokolwiek mógł się spodziewać.



FILIA

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)
[Karta tytułowa](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)

[Reklama 1](#)
[Reklama 2](#)
[Karta redakcyjna](#)



Jabłoniowy Sad



Spełnione
marzenia

KRYSTYNA MIREK